

B. H. Stowe.

I 1.567.279

BIALI I CZARNI.

Obrazy z życia

POŁNOCNÉJ AMERYKI.

(Z Angielskiego.)

TOM III.

KRAKÓW

NAKŁADEM JULIUSZA WILDTA.

CZCIONKAMI CZASU.

—
1858.



580/244 x 480A

Dr. H. S. W.

BIBLIOTEKA I GYMNASIUM

Christoph. Schöner

POZNOGNEŁ AMERYKI

(2. Angielski)

BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

I 1.567.279

KRAKÓW

NAKŁADEN J. LUBASZ, W. H. D. A.

Wydawnictwo

WYDAWNICTWO
NARODOWE
KRAKÓW

1888

1987 k 746/98c

Rozdział I.

DALSZE ZAMIARY.

Trudno sobie wyobrazić scenę, która po ucieczce Harrego nastąpiła w bibliotece.

Tom Gordon leżał przez kilka minut całkiem ogluszony, tak, że Klayton i p. Jekyl myśleli z początku, iż rzeczywiście ciężki jakiś szwank poniósł. Pan Jekyl o mało już nawet niewylał mu na twarz wszystkiego atramentu z ogromnego kałamarza, aby go ocucić, coby zapewne taki sam skutek było wywarło na Toma, jak poprzednio napomnienia pana Jekyl na Harrego. Szczyściem, Klayton który niestracił przytomności umysłu, powstrzymał go od tego chwalebego zamiaru, i zadzwonił aby podano wody. Po chwili Tom przyszedł do siebie i skoczył jak wściekły.

— Gdzie on jest? — wrzasnął, wyzionawszy przytém całą powódź okropnych przekleństw, które spowodowały pana Jekyl, iż podciągnął do góry kołnierzy-

ków, jak przystało na starszego kościoła presbiteryańskiego, który się gotuje do małego napomnienia i rzekł:

— Mój drogi przyjacielu...

— Idź do djabła z twoim młodym przyjacielem! Gdzie on jest?

— Uciekł, — rzekł Klayton spokojnie.

— Do stu djabłów! czemużeście go nietrzykali? — wrzasnął Tom.

— Jeżeli to pytanie ma się do mnie stósować, — odrzekł Klayton, to muszę pana zrobić uważnym, że ja niewidzę potrzeby mięszania się w pańskie familijne interesy. —

— Pan mięszales się w nie aż za nadto, — ale teraz już nie będziesz! — rzekł Tom grubijańskim tonem. Ale tu szkoda czasu na próżne słowa; trzeba czemprędziej zarządzić polowanie na tego łajdaka. On myśli, że uciekł przedemną, — ale zobaczmy! Już ja jemu dam tak, że to wszystkim stanie za przykład! — Zadzwoił mocno. — Iim, — zawołał na wchodzącego Murzyna, — widziałeś jak Harry odjeżdżał z tąd na moim koniu?

— Tak jest, Massa.

— A czemuś go niezatrzymał, do krośset tysięcy?!

— Ja sobie myśleć, że Mas Tom jego gdzie posłać, doprawdy.

— Wiedziałeś ty dobrze, co się święci, psie jeden jakiś! Ale ja ci powiadam: weź mi najlepszego konia ze stajni i goń za nim, a jak mi go niezłapiesz to będzie źle z tobą!... Albo poczekaj! podaj mi konia, — sam pojedę.

Klayton widząc że dłuższy jego pobyt w Kanemie na nie się nieprzyda, kazał sobie przyprowadzić konia i

odjechał. Tom Gordon rzucił za nim wściekle spojrzenie.

— Niecierpię tego człowieka, — mruknął, — i przy pierwszej sposobności nieomieszkam mu się należycie przysłużyć!

Klayton z gorzkim uczuciem w sercu opuścił Kanagę. Są ludzie, których szaleństwo prawie się chwytą na widok niesprawiedliwości, której przeszkodzić niemogą; jest to przymiot bardzo niewygodny na tym świecie, ale pozbyć się go trudno, — tak jak bólu zębów. Ludzie zwykli perswadować takiemu człowiekowi: „No i cóż? Nieporadzisz nic na to, — a zresztą co ci do tego?“ Ale perswazyje to daremne, — gorączka od nich nieopusza. — Prócz tego Klayton przeżył był właśnie stanowczą kryzys w swém życiu. Czysta a silna miłość wezbrała w nim podobna do fali przybierającego morza, i zaprzętnęła wszystkie władze i uczucia jego serca; ale naraz fala rozbila się o brzeg śmierci i pozostawiła za sobą przepaść bez nadziei. Wśród straszliwej próżni, która po takim przesileniu następuje, dusza doznaje bolesnej tęsknoty za czemś, co by ją wypełnić było w stanie. A gdy serce nieczzewoli, aby opuszczony w niem przybytek zajęła jakakolwiek inna ludzka istota, wtedy człowiek z rozpaczliwem wysileniem chwytą się różnych planów i zamiarów, w których spodziewa się choć małą znaleźć ulgę, lub boleść swoją niemi przygłuszyć.

To też Klayton uroczyście postanowił, za jedyny cel swego życia uważać odtąd walkę z tym wielkim systematem niesprawiedliwości, który podobny do ogromnej pasożytnej rośliny, zapuścił korzenie we wszystkie gałęzie społeczeńskiego żywota jego rodzinnego kraju, i wysysał z niego wszystkie soki żywotne.

Kiedy jechał przez znany nam już las sosnowy, krew wrzała i tętniła mu w żyłach, z oburzenia i gorącej tęsknoty za czynem. Obudziło się w nim to poczucie własnej siły, które czasami niby natchnienie przychodzi na człowieka, i wyrывa z ust jego stanowcze wyrazy: „tego nie powinno być, a to być musi!“, jakgdyby czuł się na sile, prostować kręte ścieżki ludzkiego żywota. Kontent był, że uczynił już pierwszy krok do walki przeciw niesprawiedliwości, wystąpiwszy z sądownictwa krajowego. Ale co potem uczynić wypadało? Z której strony zaatakować najprzód złe, które zniszczyć pragnął, w jaki sposób dokonać swego zamiaru? — na to Klayton nieumiał sobie jeszcze dokładnie odpowiedzieć, i podobnie jak wielu ludzi w takim jak on położeniu zostających, niewiedział co począć.

Należał on jak wiemy do jednej z najstarszych i najznakomitszych rodzin, i dla tego we wszystkich towarzyskich kółkach znajdował chętny posłuch i przyjęcie. Ten kto na wątlej łódce ślizga się za wodą po zwierciadlanej powierzchni wielkiej rzeki, płynie pełen nadziei, i układa plany, jak będzie płynął napowrót, pod wodę; a niewie jaka to ogromna jest siła tej zwierciadlanej na pozór rzeki, gdy kto jednym kruchym wiosłem zechce walczyć z całą masą naprzeciw niemu płynącej jej wody.

Klayton niewiedział, że od niejakiego czasu, z pewnym niedowierzaniem spoglądano już na niego, — bo on ugodził społeczeństwo w drażliwe miejsce, — w miejsce, którego ono nigdy bezkarnie dotykać niepozwała. Klayton miał jeden wielki błąd, właściwy ludziom jemu podobnym, to jest, że sądził o ludziach wedle siebie.—

Zdawało mu się, że to tylko niewiadomość i nieuwaga są przyczyną, że niesprawiedliwość istnieje, i rozumiał, że aby zniesiona została, dosyć jest wykazać ją i zwrócić na nią powszechną uwagę.

Przez drogę myślał tedy w jaki sposób najlepiej będzie przystąpić do dzieła, bo niechciał już dłużej zwlekać. Zamierzał ożywić i na dobrą drogę naprowadzić ten pociąg do dobrego, w którego istnienie w sereu ludzkim wierzył. Chciał zasięgnąć rady innych tak samo jak on myślących, chciał podróżować po całym kraju, zbierać adressy, pisać do gazet, słowem chciał czynić wszystko, co czynić jest w stanie człowiek wolny, usiłujący zniszczyć z gruntu niesprawiedliwe ustawy.

Z tém postanowieniem, po dwudniowej jeździe, Klayton przybył do rodzicielskiego domu. Zaraz po śmierci Niny napisał on był do rodziców, prosząc ich, aby mu oszczędzili wszelkiej nawet wzmianki o tym wypadku. Dla tego téż to pierwsze widzenie się jego z rodzicami było bardzo bolesne, i nosiło na sobie cechę przymusu, nieodłącznego od spotkania się ludzi, których wspólne uczucia gromadzą się około jednego jakiego wypadku, o którym jednakże wspomnieć nie śmieją. Dla tkliwej i pełnej współczucia matki Klaytona, było to daleko przykrejsze doświadczenie, niż dla niego samego. Ona radaby była okazać mu swoje współzucie, rzucić mu się na piersi, skłonić go do wylania swych uczuć, aby z nim podzielić się niemi. Ale Klayton należał do ludzi, dla których takie wynurzenie się czystém jest niepodobieństwem. Przeznaczeniem takich ludzi jest, aby niemówili o tém co cierpią. A przyczyny tego nie trzeba szukać ani w ich dumie, ani w oziębłości, ale w jakiejś smu-

tniej konieczności, która ciało ich czyni podobnym do marmurowych więzień, w których dusza samotnie krwawi się i cierpieć musi. — Jest to najpiękniejszy tryumf prawdziwego przywiązania i wielkości duszy, gdy kochające serce potrafi uszanować bolesne milczenie tego, kogo kocha, i pozostawić mu całą swobodę samotności, która dla wielu jedyną jest ulgą w cierpieniu.

Cierpienie Klaytona zdradzało się tylko niezmiernym zapalem i energią, z jakimi mówił o przedmiocie, który nadal wyłącznym miał być umysłu jego zajęciem.

— Ja, bo niemam najmniejszej nadziei, — mówił sędzia Klayton, — aby ci się twoje zamiary powiodły. — Złe za głęboko się zakorzeniło.

— Czasami, gdy myślę o tém, — dodała Mrs. Klayton, — przykro mi także, że Edward ten krok uczynił. Za mocno zaczepił tém zastarzałe ludzkie przesady.

— Ludzi trzeba silnie uderzyć i wstrząsnąć, — odparł Klayton, — aby ich zbudzić z ospałości w której gniją. Stare zwyczaje czynią nas ślepiemi na wszelkie niesprawiedliwości; ale gdy raz z téj odwiecznej drogi zepchnięci zotaniem, będziemy musieli zacząć myśleć i rozważać.

— Czybyto niebyło lepiej, — rzekła znów Mrs. Klayton, — żebyś był zachował swój wpływ osobisty, i w ten sposób, zwolna, doprowadzał swoje zamiary do skutku. Przeciwno abolicyonistom panuje u nas wielkie uprzedzenie, a gdy kto z nagłą jaką w tym przedmiocie występuje demonstracyą, mianują go zaraz abolicyonistą i wtedy kończy się cały jego wpływ, i nie już uczynić nie jest w stanie.

— To téż wszyscy u nas tak się tego boją, że nie jeden nieśmie mówić, a tém bardziej postępować tak jak myśli. Musi więc być ktoś pierwszy, kto pozwoli że go nazwą szaleńcem, i niezłęknie się powszechnéj nienawiści; — dla czegożbym ja nim być nie miał?

— Czyś sobie już zrobił plan wedle którego myślisz postępować? — zapytał ojciec.

— Jeszcze zupełny plan postępowania w téj mierze w méj myśli niedojrzał; myślę tylko tymczasem, najprzód skierować powszechną uwagę na niesprawiedliwość dzisiejszego prawa niewoli, a następnie pewne zmiany w niem zaprowadzić.

— A które punkta przedewszystkiém chciałbyś zmienić? — pytał dalej sędzia.

— Chciałbym najprzód, aby przyznano niewolnikowi prawo uskarżenia się przed sądem na doznane krzywdy, i prawo świadczenia w sądzie. Aby zniesiono zakaz kształcenia niewolników i zabroniono rozłączać ich rodziny. —

Sędzia siedział przez chwilę głęboko zamyślony, a potem rzekł:

— W jaki sposób myślisz wpłynąć na obudzenie ducha w ogóle?

— Myślę się w tym celu udać najprzód do kościoła i duchowieństwa.

— Ha! Spróbuj! — rzekł ojciec.

— Według mnie, — odezwała się Mrs. Klayton, — ludzkość i sprawiedliwość tak dalece wymagają tych reform, tak dalece są one zgodne z duchem naszego czasu, iż niewątpię, że zyskają przyzwolenie wszystkich dobrych ludzi.

Sędzia Klayton nie nieodpowiedział. Są wypadki, w których milczenie jest najgorszym rodzajem przezeźnienia, bo go żadnymi dowodami odeprzeć niemożna.

— Ja uważam, — mówił Klayton, — że w dzisiejszym położeniu niewolników te okoliczności najprzód usunięte być winny, które są przyczyną ich ciemnoty i niemoralności, i przeszkadzają wyrobieniu się w nich uczucia własnej godności. Rozumiem tutaj brak wszelkiego wykształcenia, brak opieki nad ich rodzinnymi związkami, i pozbawienie ich wszelkiego prawa żądania zadosyćuczynienia za wycierpiane krzywdy. Następnie wypadaloby, tym panom, którzy się okażą skłonni do emancypowania niewolników, pozwolić ręczyć za dobre sprawowanie się ich ludzi. — Niechby ich zatrzymali jako najemników. Tym sposobem emancypacja rozszerzałaby się zwolna, sama z siebie; z początku zdobyliby się na nią tylko najlepsi panowie, a potem przykład ich znalazłby naśladowców. Doświadczenie nauczyłoby wkrótce, o ile robota nieprzymuszona tańsza jest i korzystniejsza, a dobrze zrozumiany interes własny, dokonałby tego, co by rozpoczęła zasada, gdyż pierwszy krok tylko jest najtrudniejszy. Jestem przekonany, że w ciągu mego życia napotkałem mnóstwo takich ludzi, którzy potajemnie wzdychali nad niesprawiedliwością i niedogodnościami niewoli, i chętnie przyłożyliby rękę do wszelkich rozsądnych usiłowań, któreby im dawały nadzieję złagodzenia z czasem i zniesienia tych niedogodności.

— Najgorsze jest to, — odezwał się sędzia, — że system ten, jakkolwiek dla państwa w ogóle szkodliwy, dla pojedynczych jednak ludzi, doraźne przynosi korzy-

ści; — prócz tego, jest on źródłem politycznego ich wpływu i znaczenia. Właściciele niewolników tworzą arystokracją, wspierającą się na pewnych przywilejach. Ogólny interes, wspólne niebezpieczeństwo, nakazuje im wspólnymi siłami walczyć przeciwko duchowi czasu, gdyż instynkt zachowawczy jest tak silny, że żadne logiczne rozumowanie nie przeciw niemu nie może. Ze względu na osobiste uczucia, może niejeden z właścicieli niewolników cieszyłby się z filantropicznych zmian, które masz na celu, — ale cóż, kiedy oni wszyscy wiedzą, że każda zmiana wystawia na niebezpieczeństwo budowę systematu, od którego polityczne ich znaczenie zależy. Staną więc wszyscy naprzeciw tobie, nie dla tego, żeby wielu z nich nie miało sprzyjać wykonaniu sprawiedliwości, ale dla tego, że wykonanie jęj uważać będą za niepodobne. Będą cię słuchać z pobłażaniem, zyskasz nawet współczucie u wielu, dopóki ograniczysz się jedynie na ustnym zasad swoich i przekonaniu głoszeniu; — ale od chwili, gdy usiłowania twoje najmniejsze wstrząśnienie w kraju wywołają, od tęj chwili mój synu, natura ludzka ukaże ci się z innej strony, aniżeli ją dotąd widzisz, i poznasz ludzi lepięj, aniżeli ich dotąd znasz.

— A więc dobrze! — zawołał Klayton; — im wcześnięj, tēm lepięj!

— Ale Edwardzie, — rzekła Mrs. Klayton, — kiedy chcesz zacząć od duchowieństwa, czemu nie pojedziesz do wuja Cushinga i niepomówisz z nim o tēm? Jest to jeden z Presbiteryanów posiadający największy wpływ w kraju, a nieraz słyszałam, jak w nader dobitnych wyrazach wyrzekał przeciw niewoli. — Opowiadał mi kil-

ka straszliwych przykładów wpływu, jaki ona wywiera na wolnych i niewolnych członków kościoła.

— Wiem o tém, — odrzekł na to sędzia; — twój brat wszystko to zrobi; będzie się w zaufanych kółkach żalił na smutne skutki niewoli, — będzie nawet przytaczał mnóstwo przykładów, ale wtedy tylko, jeżeli będzie pewny, że opowiadając to samo innym, nieodwołasz się do jego świadectwa.

— Sądziysz więc że on się nieodważy na żaden krok stanowczy?

— Dopóki będzie prawdopodobieństwo że się sprawa nieuda, — to nie.

— Więc rozumiesz, że obawa niechęci powszechnej powstrzyma mego brata od wypełnienia obowiązku?

— Nie, — odrzekł sędzia; — ale na barkach twego brata spoczywa interes Syonu, jak on zwykł nazywać wyznanie presbiteryańskie; powie ci więc, że trudno od niego wymagać, aby nierozważnym jakimś krokiem wpływ swój na szwank narażał. Toż samo powiedzą ci wszyscy znakomitsi duchowni, do jakiegokolwiek bądź wyznania należący. Episkopalni czuwają troskliwie nad kościołem episkopalnym, — Metodyści nad Metodyzmem, Baptyści nad Baptyzmem. Żaden z nich niepowąży się chwycić jakiegokolwiek sprawy, niemiłej dla ogółu, bo by natychmiast drudzy korzystali z tej sposobności aby wziąć nad nim górę i podnieść się w lasce i opinii powszechnej. Nikt niezechce wziąć na siebie nienawistnej strony takich reform.

— Ależ ja doprawdy niemogę pojąć co tu może być nienawistnego! — zawołała Mrs. Klayton, — gdyż ze

wszystkich możebnych zmian, te o których zamyśla Edward, są najpotrzebniejsze i najszlachetniejsze.

— Mimo tego jednak, znajdują się tacy, którzy je z niewąstnój strony przedstawić potrafią. Wrzaski: abolicjonista! buntownik! fanatyk! jak grad padać będą około ciebie, a im z większą siłą zamiary swoje przeprowadzić zechcesz, tém bardziej burza wzmagać się będzie. Najprawdopodobniej wszystko to skończy się wygnaniem twojém z kraju.

— Mój ojciec, — rzekł Klayton, — radbym niewie-
rzyć, że świat, a mianowicie świat duchowny, tak zły jest, jak go ty przedstawiasz.

— Niemyślałem wcale, że go tak bardzo źle przedstawiłem; — odparł ojciec. — Ja mówiłem tylko tak, jak się mają rzeczy w istocie. Bezwątpienia między duchownymi są bardzo zacni mężowie.

— Ale czyż kościół w pierwszych latach swego istnienia nie był w walce z całym światem? Czyż religia, jeżeli ma rzeczywiście taką siłę, jaką jój przyznajemy, niepowinna trzymać na wodzy całej społeczności ludzkiej, i być raczej jój panią, aniżeli niewolnicą?

— Na to tyle tylko odpowiedzieć ci mogę mój synu: Przekonany jestem, że po większej części znajdziesz wszystko tak jakem ci przedstawił. Niemam zamiaru praktycznie obrachowywać, czém był kościół dawniej, a czémby dzisiaj być powinien; — bez najmniejszej téż chęci uchybiania winnego komukolwiek szacunku, mówię o rzeczach tak jak są. Falszywe oczekiwania do niego nieprowadzą.

— Oh! — zawołała Mrs. Klayton; — jak wy adwokaci jesteście jednak niemilosierni. Ja przekonana je-



stem, że Edward znajdzie brata mego gotowym na wszystko, i że ręka w rękę z nim pójdzie.

— Cieszyłbym się serdecznie, gdyby tak było, — odparł sędzia.

— Ja zaraz do niego napiszę, — rzekła Mrs. Klayton; — niech Edward jedzie do niego i pomówi z nim. Śmiało, Edwardzie! Przeczucia kobiece sprawdzają się zwykle. W każdym razie, kobiety przynajmniej wszystkie staną po twojej stronie!

Klayton westchnął; — przypomniał sobie list Niny, i przyszło mu na myśl, jaka to odważna dusza mieściła się w małym jej ciele. I jakieś mgliste wspomnienie, niby woń powiędłej róży, szepnęło mu do ucha: „Śmiało Edwardzie!“

Rozdział II,

MACOCHA.

Minęła nareszcie cholera, i gospodarstwo naszego starego przyjaciela Tiffa zakwitnęło na nowo. Jego kurki i indyczki doszły do pełnoletności, i gdakały i pyszniły się wesoło; — jego zboże chwiało się w dojrzewających kłosach, wrześnieowym poruszane wiatrem. Grób zmarłego dziecięcia po raz pierwszy pokrył się kobiercem zielonej, aksamitnej trawy, a Tiff pocieszał się po swojej stracie, mówiąc iż jest pewny, że mu tam lepiej. Mis Fanny rosła zdrowa i silna; w czasie jasnych dni słonecznych, niejedną długą godzinę spędzała z Teddym w lesie, albo siadywała na ławce, na której niegdyś Nina czytywała im Pismo Śte, i dla pociechy i nauki swego starego przyjaciela, sylabizowała z trudnością słowa tej dziwnej historii, którą jej najprzód Nina poznać dała.

Wnętrze chaty nosiło jak dawniej cechę prawdziwej wiejskiej prostoty, a Tiff patrzył zawsze na nią przez mgłę własnej wyobraźni, tak, że mu się zdawała odwieczną Peytonów siedzibą; jego młody Master i mała Missis byli panami, a on reprezentował całą ich służbę.

W tej chwili Fanny i Teddy byli w lesie na winogronach, a Tiff siedział u drzwi chaty, sporządzając zniszczone już niezmiernie niektóre części swego odzienia, przyczem wedle zwyczaju rozmawiał sam z sobą.

— No, no, stary Tiff, dać ty jeszcze jedną latę tutaj! To nie nieszkodzić, choć ty mieć mundur trochę polatany. Massa mi zawsze obiecywał, że mi przywiezie sukna na nowe ubranie, ale on nigdy tego niezrobić co powiadać. Tego rodzaju ludziom niemożna ufać, — on się tylko włóczyć wszędzie, pić we wszystkich szynkach, i robić wstyd familii, mimo wszystkiego co ja robić. Ale on już coś dawno w domu niebyć; jaby się niedziwić, żeby jego cholera zabrać była. No, jak się podobać Bogu! Ja tam niewieleby sobie z tego robić, żeby on umrzeć. On weale na nie się nieprzydać familii; — tylko sprowadzać zawsze do domu jakichś obszarpańców i wszystkie pieniądze za moje kury u Abijaha Stinkflint przepijać. Kiedy oni tak opić się tego whiskeya, to mi się wydawać zupełnie jak djabły. Wódka robi ludzi obrzydliwemi; Teddy nieśmie jój skosztować ani kropli, dopóki krew Peytonów w moich żyłach płynąć! Mój Boże! jakie też to to życie niepewne! Biedna, kochana Mis Nina, które tyle robić dla dzieci, poszła tam do aniołków! No, wola Boska! Ja spodziewać się, że my tam przecie wszyscy będziemy dobić do brzegów Kanaanu.

Poczem drżącym głosem śpiewać począł:

„O moi bracia, znalazłem kraj,
„Piękny, obfity, jak ziemski raj;
„Pokarm w nim leży wszędzie jak manna, —
„Gdy go pożywam, to rozkosz czuję,
„I pełen szczęścia w głos wykrzykuję:
„Chwała Ci Panie, chwała! Hosanna!“

— A si! a si! zawołał, spostrzegłszy, że kilka długonogich, sporych już kureząt, korzystając z jego pobożnego zapachu wemknęło się do kuchni.

— A! te kury to się widać nigdy niczego nie nauczyły! — zawołał widząc że jego sykanie zamiast wygonić, wpędziło jeszcze całą gromadę do chaty. Zmuszony był więc położyć robotę, ale gdy wstał, potoczył mu się w jedną stronę naparstek, w drugą wosk, i wpadły gdzieś między liście, a tymczasem kury obaczywszy Tiffa stojącego we drzwiach, mimo grzecznych prośb jego, nie miały ochoty się wynosić, jak to zwyczajnie kury. Biegaly tylko po całym domu w wielkim popłochu, gdażąc, bijąc skrzydłami, zrzucając garnki, kociołki i brytfanny, tak, że Tiff coraz to w większy gniew wpadał.

— A, jak mi Bóg miły, tak głupich stworzeń jak te kury, nigdy jeszcze niebyłem widzieć! — zawołał, wypędziwszy je nareszcie, i naprawiając jak mógł nieład, którego w kwiatkach Mis Fanny narobiły. — Ja sobie zawsze byłem myśleć, że Pan Bógw głowie każdego zwierzęcia zrobił trochę miejsca na rozum, ale widać że kurom niedostało się go ani okruszyny. To zaraz widać; — jak one to stać na jednej nodze, i wrzeszczeć a wrzeszczeć, — bo takie są głupie, że nieumieć znaleźć sobie miejsca na drugą nogę. Mnie się zdaje, że one

nigdy niewiedzieć co robić. Ale są też i ludzie zupełnie tacy jak one; Bóg im dać rozum, ale oni go niechcieć używać; oni ciągle biegać, ale nigdy niezniesć jaja,— i dla tego też kury nie są jeszcze najgorsze stworzenia, i doprawdy ja niewiedzieć, coby my począć bez nich.

Ostatnie słowa wymówił już poeziwy Tiff głosem bardzo łagodnym, jakby żałując swego uniesienia, bo gniew jego już się był całkiem uśmierzył. Wziął się znów do roboty, a przyspiewując sobie czasami, rozmyślał dalej głośno. —

— No, dajmy na to, że on umarł. Jeżeli tak jest, to ja móż więcej zrobić dla dzieci. Ja będę w lecie dużo jaj sprzedać, — a słodkie kartofle także będą dobrze zapłacić. Żeby ja tylko móż dzieci lepiej czytać nauczyć i dać im dobre maniery. Doprawdy, Mis Fanny pięknie wyrosnąć, — zupełnie jak Peytonówna. Tylko to bięda, że jak dziewczęta dorastać, to zaraz chcieć iść za mąż, i wtedy trzeba bardzo na nie uważać. —

Ale kto wie czy też co po Peytonach nie spadnie na dzieci; ja wiem, że to czasami tak się przytrafiać. Wtedy adwokaci dopytują się o dziedziców, a dziedzice tutaj sobie siedzieć. Muszę ja kiedy pomówić o tém z narzeczoną Mis Niny; to bardzo poeziwy i porządany człowiek; on się tém będzie zająć. A jego piękna siostra, co w takięj przyjaźni być z Mis Niną, — ona także będzie coś zrobić dla dzieci. Przy boskięj pomocy, przy najmniej dopóki ja żyć, to one niebędą zaznać biędy. —

Jakże niepewne i zmienne są widoki ludzkie na przyszłość! Nawet tēj malęj Arkadyi na pustyni przeznaczaniem było, doznać zmiennęj kolei wszystkich radości i nadziei ziemskich! —

Kiedy Tiff pełen radości rozmawiał z sobą i przyśpie-
wywał, Kripps, niby widmo zwiastujące nieszczęście,
zbliżał się do chaty na swoim wozie.—

Kripps bowiem nieumarł, jak myślał Tiff; owszem
wracał do domu z nową oblubienicą, na którą padł wy-
bór jego serca, a wracał z zamiarem przerobienia chaty
na przyzwoitszą dla tak zanego stadła siedzibę. Można
sobie wystawić rozczarowanie i osłupienie Tiffa, gdy ów
nieszczęsny wóz zaskrzypiał przede drzwiami, i Kripps
wyciągnął z niego coś, co na pierwszy rzut oka podobne
było do toboła brudnych sukien, a dopiero przy bliższém
rozpoznaniu pokazało się być kobietą, tak pijaną, że
prawie całkiem niewiedziała, co się z nią dzieje. We-
dług wszelkiego podobieństwa, kobieta ta należała do
tęj najniższej klasy białych, której nędzne położenie,
jest także jedném z oplakanych następstw niewoli. Wszys-
tko co w niej mogło być kiedykolwiek pięknego, do-
brego, kobiecego, w skutek braku wszelkiego wychowa-
nia, wszelkiego moralnego wykształcenia, znikło bez
śladu, a zostały tylko występki cywilzacyi bez jęj poloru,
i występki dzikiego barbarzyństwa, bez owych wznio-
ślejszych uczuć, które niekiedy nawet barbarzyństwo
uszlachetniać zwykły.

Nikezemny, występny stosunek Krippsa z tą kobietą,
uwieńczyło nareszcie małżeństwo, — jedno z tych mał-
żeństw, o których bez zgrozy pomyśleć nawet niemożna,
przez które dwie nikezemne, zwierzęce natury łączą się
ze sobą, niemając najmniejszego wyobrażenia o wznio-
łym celu świętego małżeńskiego związku.

— Tiff, to jest twoja nowa pani! — zawołał Kripps
z głupowatym śmiechem. — Djabelnie śliczna kobieta!

Rozmyśliłem się, że dzieciom koniecznie trzeba drugiej matki, aby miała o nich staranie. No, pójdź, pójdź, kochana żono!

Przypatrzwszy się teraz bliżej tej kobiecie, poznamy w niej starą naszą znajomość, Polly Stinkflint.

Kripps pociągnął za sobą swoją śliczną żonę, która wszedłszy do chaty usiadła na łóżku Fanny. Gdyby był mógł, Tiff byłby ją paszarpał w kawałki. Był on w podobnym położeniu, jak człowiek na którego niespodzianie spadnie lawina, i stał we drzwiach z opuszczonymi rękami, niby żywy obraz rozpachy, a tymczasem pani Kripps, bombelając nogami, pluła na wszystkie strony prymką, którą żuła z wielkiem upodobaniem.

— Niech djabli wezmą, tutaj strasznie jest ładnie! — zabelkotała nareszcie; a potem wskazując na kwiatki Fanny rzekła: — Tylko te graty musi Murzyn precz wyrzucić, bo ja niecierpię, kiedy mi dzieci śmiecą w domu chwastami. Hej! Murzyn! wyrzuć mi to zaraz!

A gdy Tiff nieruszył się nawet z miejsca, rozgniewana jejność przyskoczyła do niego i wycięła go pięścią w głowę.

— O, Polly! — wniósł się w to Kripps; — daj jeno pokój. On do tego nieprzyzwyczajony.

— Cicho bądź! — wrzasnęła zacna połowica zwracając się do swego małżonka. — Ruszaj precz! Czyś mi niepowiedział, że jak pójde za ciebie, będę miała Murzyna, któremu będę mogła rozkazywać, co mi się żywnie spodoba?

— Dobrze, dobrze, — odrzekł Kripps, który bądź co bądź, miał niezłe serce; — alem nigdy niemysłał, że tak od razu od pięści z nim rozpoczniiesz. —

— Tak zawsze będę robić, jak mię niebędzie słuchał!— krzyknęła Xantippa; — jeszcze i tobie się co oberwie!

Tęj silnej przemowie towarzyszył równie silny kulak, na który Kripps odpowiedział grzecznym giestem, który pospolicie policzkiem się zowie, poczem między szanownem stadłem zawiązała się walka na pięści, od której widoku Tiff odwrócił się ze wstrętem, i wyszedł z domu.

— O mój dobry Boże! — westchnął wyszedłszy. — Jak też to człowiek niewiedzieć co go czekać na tym świecie! Ja z początku tak smutny był, jak mi Pan Bóg zabrać maleńkiego, ale teraz ja Mu na kolanach dziękować za to! Oh! co mnie się dzieć, jak ja pomyśleć o mojej biednej Mis Fanny! Ja ją tak starannie byłem wychować! Mój Boże! To gorsze niż cholera!

Bolesnym uczuciem napelniło się jego serce, gdy ujrzał z daleka dzieci, wracające w najlepszym humorze, niosące kosz winogron, które nazbierały. Spiesznie pobiegł naprzeciwko nich. —

— O moje biedne owieczki, wy niewiedzieć co was tu czekać! Ojciec wasz wziąć i ożenić się ze strasznie ordynaryjną kobietą, — z taką, co niewarta się odezwać do chrześcijańskich dzieci; — i oni się tam teraz klócić i bić jak poganie! A tu Mis Nina nieżyje, i ja niemam was już gdzie zaprowadzić!

Biedny starzec usiadł na ziemi i płakał głośno i gorzko; przestraszone dzieci płacząc także, objęły go rączkami i uczepliły się go mocno, jakby szukając przed grożącym niebezpieczeństwem obrony.

— Co my biedni poczniemy? Co my poczniemy? — szeptała Fanny łzami zalana, a Teddy, który zwykł był

wszystko wiernie za siostrą powtarzać, zanosząc się prawie od płaczu wołał także:

— Co my biedni poczniemy?...

— Ja mam wielką ochotę iść z wami na puszcę, jak dzieci Izraela; tylko że dzisiaj manna z nieba nie spadać!

— Tiff, czy ona przez to, że się ojciec z nią ożenił, stała się naprawdę naszą matką? — zapytała Fanny.

— Nie! Broń Boże, Mis Fanny! — zawołał Tiff. — Wasza Mama była z jednej z najznakomitszych rodzin w Stariej Wirginii, i ona była się spospolitować, poszedłszy za waszego ojca. Ja tego nigdy jeszcze niepowiedzieć, bo toby oznaczać było brak uszanowania z mojej strony, ale teraz już mi wszystko zarówno. —

W tej chwili usłyszał, jak Kripps krzyczał z całego gardła:

— Hola! Tiff!... A gdzież u diabła ten przeklęty Murzyn?... Tiff, mówię ci, pójdź tu! Między mną a Polly już rzecz skończona. Przyprowadź dzieci, żeby poznały swoją matkę. —

I to mówiąc porwał Fanny za rękę, i pociągnął wystraszone płaczące dziecię do chaty.

— Nie bójcie się, małe głupcy, — rzekł. — Przywiózłem wam Mamę!

— Kiedy my niepotrzebujemy żadnej Mamy! — protestował Teddy płaczliwym głosem. —

— Właśnie że potrzebujecie, — rzekł Kripps łagodnie. — Pójdź, pójdź kochanku, to jest twoja Mama, — i popchnął chłopca w tłuste Polly objęcia. — Idź Fanny, idź, pocałuj swoją Mamę. —

Fanny płacząc uciekła, a za jej przykładem poszedł i Teddy.

— E! Niech djabli wezmą dzieci! — wrzasnęła młoda małżonka. — Ja ci powiedziałam Kripps, że ja niepotrzebuję żadnych bębnow po twojej nieboszczce. Dostyc i tak będzie kłopotu jak swoje będę miała!...

Rozdział III.

UCIECZKA DO EGIPTU.

Niegdyś tak spokojna i szczęśliwa chata, której opiekuńczym duchem był stary Tiff, smutnych zmian wkrótce doznała.

Abijach Stinkflint rad był bardzo, że się pozbył z domu Polly, bo jej charakter gwałtowny i nieposkromiony nieraz mu bardzo dokuczył. Matka jej, jedna z tych kobiet o nie niedbających, słabych, których życie upływa w spokojnej, zgniliej ociążałości, chociaż niemówiła nic o tém, w ogóle jednak kontenta była, że się wydobyła z pod panowania wrzaskliwego głosu i długich rąk Polly.

Dla przebiegłego Abijaha wielkie znaczenie miało i to, że Kripps posiadał Murzyna, rzecz najponętniejszą dla ambicyi biednej białej klasy ludzi. Polly, w której najwybitniejszą cechą charakteru była żądza panowania,

oświadczyła z góry stanowczo, że Krippsa zawojuje, chybaby cud się stał jaki. Co się tyczy dzieci, te uważała jak summy hypoteczne na dobrach ciężące, których o ile możliwości jak najprędzej pozbyć się wypada. —

Oblubienica dostała od ojca w posagu pół beczki whiskeyu, i dla tego téż niebawem rozeszła się wieść, że Krippsowi sprzykrzyło się już włóczyć po kraju, i że zamyśla w domu u siebie handel założyć. Krótko mówiąc, chatka zamieniła się w rodzaj małego szynku, i stała się miejscem schadzek, najpodlejszej warstwy ludności. —

Nieznośny charakter Polly wypędził niedługo Krippsa na nowe wędrownki, a tak dzieci zostały bez żadnej opieki przeciwko złośliwej i popędliwej macosze. W krótkim czasie niepozostało ani śladu z tego wszystkiego, co chacie nadawało dawniej cechę pewnego dostatku i zamożności; bo goście Polly, popiwszy się uczciwie, mianowicie w każdą niedzielę, znajdowali wielką przyjemność w wrywaniu i niszczeniu tak róż jak i pnących się roślin, które skromny ten domek w prawdziwą przekształcały sielankę. Zachowanie się Polly w czasie nieobecności męża, było bezwstydną i bezczelną, a oczy i uszy domowników, ze zgrozą musiały być świadkami mów i scen, których tu powtarzać niemyślimy. —

Staremu Tiffowi serce pękało. Sam byłby chętnie już znosił bicie i głód, ale złego obchodzenia się z dziećmi znieść niemógł.

Nareszcie jednego wieczora gdy cały dom tiznął się od wrzasków pijanną gawiedzi, pocziwy Murzyn z rozpaczy powziął śmiały zamiar.

— Mis Fanny, — rzekł; — wy teraz iść na strych,

i zrobić zawiniątko z rzeczy, które wam najbardziej potrzebne, i zrzucić mi je oknem. Ja się dzień i noc byłem modlić, i Pan mi powiedziec, że nam pokaże drogę. Ja tutaj Teddego zatrzymam pod drzewami, zanim wy tam wszystko pozbierać co jeszcze zostało z sukni, i mnie tutaj zrzucić.

Cichuteńko, jak promyk księżycy, sunęło się blade, delikatne dziecię przez izbę, w której macocha i kilku mężczyzn krzyczało po pijanu. —

— Hola! Synogarliczko! — zawołał jeden z pijaków;— gdzie to idziesz? Poczekajno troszkę, i daj mi buziaka!

Spojrzenie pełne dumy, zmieszanej z bojaźnią i bezsilnym gniewem, które dziewczynka rzuciła na całą grupę, a potem odwróciła się i szybko wbiegła na górę po drabinie, obudziło śmiech powszechny.

— Powiedz mi Bill, czemuś jój nieprzytrzymał? — zapytał jeden z opojów.

— Eh, to nic nieznaaczy, — odrzekł zapytany. — Nie dziś to jutro przyjdzie ona sama do mnie. —

Fanny biło serce, jak spłoszonemu ptaszкови, gdy zwięzywała małe zawiniątko i rzucała je czekającemu pod oknem Tiffowi. Potem zawołała pocichu: —

— Tiff, weź tę deskę i oprzyj o dach, tak żebym się po niej spuścić mogła. Niechę już przechodzić pomiędzy tych okropnych ludzi!

Jak tylko mógł najciszej i najostrożniej, Tiff podniósł deskę i oparł ją o ścianę. Fanny uważnie postawiła na niej małą nóżkę, i rozpostartemi rękami, podobna do lekkiego obłoczka, zbiegła w objęcia wiernego sługi.

— Bogu dzięki, jesteśmy znowu razem! — szepnął poczciwiec nieposiadając się z radości. —

— Oh, Tiff! jaki ja kontent! — zawołał Teddy trzymając się fartucha Tiffa, i wyskakując wesoło.

— No, słusznie masz! Teraz aniołowie pańscy pójdą z nami w pustynie.

— To dużo jest Aniołów? Prawda? — zapytał Teddy, podnosząc z radością w górę swoje zawiniątko.

— Zapewne! Tylko ja niewiedzieć, dla czego ich dzisiaj niebyć jakoś na świecie! To tylko pewna, że Pan mi się we śnie ukazał i powiedział: „Tiff wstaj, weź z sobą dzieci i idź z niemi do Egiptu, i zostań tam dopóki ja ci niepowiem.“ Tak było co do słowa. A było to tak: — Już koguty były pisać i dzień się robić, a ja się jeszcze byłem modlić i niedawać Panu pokoju. Ja mówić do Pana: „Panie! ja niewiedzieć co począć, — a gdybyś Ty był taki biedny jak ja, a ja takim wielkim królem jak Ty, to jabym ci z pewnością dopomógł.“ A potem ja jeszcze mówić: „Panie! my niemamy się gdzie schronić, bo Mis Nina umrzeć, i Master John Gordon także, — a ta kobieta zmarnowałaby dzieci na nic, jeżeli Ty nam niedopomóż. Ja spodziewać się, że Ty się niebędziesz gniewać, że tak śmiały; ale rzeczy tak stać, że my już dłużej znosić niemódm.“ — I potem dopiero ja zasnąć, a już kury były pisać, — i wtedy owe słowa usłyszeć. —

— To my naprawdę idziemy do Egiptu? — zapytał Teddy.

— Ja sobie tak myśleć. Niepamiętacie to téj historii, którą nam raz Mis Nina czytać była, jak to Agarze siedzącej na puszczy pod krzakiem, ukazał się Anioł pański? A jednemu człowiekowi, to się znowu ukazał Elias, kiedy zbłąkany i zgłodniały zasnąć był pod ja-

łowcem. A kiedy się obudzić, to znaleźć przy sobie płacuszki na węglach się piekące. Niepamiętacie to, jak nam o tém czytać Mis Nina, w ostatnią niedzielę kiedy u nas była! Bogu dzięki, że ją był łaskaw przysłać do nas. Ja dużo od niej nauczyłem się dobrego.

— Czy sądzisz, że my naprawdę oglądać będziemy aniołów? — zapytała Fanny głosem, w którym przebiła się nieco strachu. — Ja niewiem, jak to trzeba mówić z aniołami.

— O, aniołowie są to zawsze dobrzy ludzie, z którymi łatwo bardzo rozmawiać, — uspakajał ją Tiff, — i oni się nigdy nieobrażać. Oni naturalnie wiedzieć, że my niebyć tak bardzo dobrze wychowani, i dla tego niebędą od nas wiele wymagać. Według mnie, kiedy kto jest uczciwy i robić co móż, to niepotrzebuje bać się mówić z aniołami, ani z nikim; bo my przecież co dzień z samym Panem Bogiem rozmawiać, kiedy się modlić, a przecież On nam tego za złe niebrać. Ja też pewny jestem, że Pan nas będzie przeprowadzić przez pustynie i zrobić nas szczęśliwymi. Ja będę iść za gwiazdą, jak owi Mędry. —

Tak rozmawiając, zbiegi nasze szli ciągle lasem, zdążając ku bagnom, i coraz to w większą zapuszczali się gęstwinę. Dzieci przyzwyczajone były po całych godzinach chodzić po lesie, a myśl, że ktoś może goni za nimi, dodawała im jeszcze siły, i pędziła je naprzód tak, że bez odpoczynku zdążyły za Tiffem, który idąc naprzód, odchyłał przed nimi gałązki jeżyny i dzikiego wina, prznosił je przez miejsca błotniste, i pomagał im przelazić przez odnogi drzew szeroko rozgałęzionych. —

Okolo godziny dziesiątej wieczór wyszli z domu, a teraz była już północ. Tiff zmierzał ciągle ku bagnom, bo wiedział że się tam ukrywa mnóstwo zbiegów, i spodziewał się natrafić gdziekolwiek na ich obóz, lub osadę. Mogło być okolo godziny pierwszej, kiedy nareszcie wydobyli się z gęstwiny i stanęli na małej polanie, gdzie dziki winograd spuszczał na dół długie sploty z gałęzi drzewa gumowego, po którym się piał do góry, tworzył rodzaj naturalnego namiotu. Księżyc w pełni świecił jasno, spokojnie, a lekki wietrzyk szemrał między winnymi listkami, które drząc od jego podmuchów, pierzehlwy cień na ziemię rzucały. W wilgotnej tej okolicy rosa spadała tak obficie, że za każdym zadęciem wiatru słyhać było, jak rześiste jój krople, niby krople deszczu z listka na listek spadały.

Teddy począł się już bardzo skarżyć na znużenie. Tiff więc usiadł pod zielonym namiotem i wziął chłopca na ręce.

— Trzeba usiąść Mis Fanny. Ten mały zuch zmęczył się już; a teraz może sobie już zasnąć, bośmy już tęgi kawał ujęć, i tutaj nikt nas nieznależeć. My tutaj być tylko sami w obec dzieł Pańskich i nikt nam się sprze-ciwiać niebędzie. — Cicho, cicho malutki, zamknąć oczka i spać.

I zaśpiewał drżącym głosem:

„Cicho, cicho, śpij dziecino,

„Bo anieli ciebie strzegą,

„W koło ciebie wiankiem biega,

„Ponad główką twoją plyną.“

Niebawem Teddy zasnął mocno; — Tiff zawiął go w swój długi, biały surdut, i położył u stóp drzewa.

— No, dzięki Bogu, tu niema whiskeyu, ani pijaków, żeby go budzić. Biedna Mis Fanny, wam się także oczka zamykać. Jest tu stary szal; ja go schować do kieszeni; — wy się w niego owinać, a ja tymczasem nagarnywać wam szpilek jodłowych; — bardzo dobrze jest na nich spać i bardzo zdrowo. O, proszę patrzeć, jaką ja ogromną kupę tego nagrabić! —

— Jestem znużona, ale mi się spać niechce, — rzekła Fanny. — Ale cóż ty, Tiff, będziesz robił?

— Co ja będę robić? — zaśmiał się Tiff po staremu, wesolo. — Hohoho! Ja sobie będę usiąść i myśleć, — o ptaszkach powietrznych, o lilijach polnych, i o tém wszystkiém, co nam Mis Nina nieraz czytała.

Od kilku tygodni, sypialny pokój Fanny, stanowiła mała, zakurzona komóreczka na strychu, gdzie tuż nad głową miała dach rozpalony, a dokąd dochodził ciągle z dołu wrzask pijany. Teraz leżała na delikatnych, pachnących szpilkach sosnowych, pod zielonym, chłodnym dachem z winogradu, i przysłuchiwała się szelestowi spadających kropel rosy, i szmerowi drżących liści. Czasami łagodny nocny wiatr poruszył wierzchami sosen, wydając nieopisany dźwięk, do odgłosu fali o daleki brzeg łamiącej się podobny. Srebrne promienie księżycy przedzierając się tu i owdzie przez drzew gałęzie, oświecały małą polanę, a dalej, w ciemnej gęstwinie, świętojańskie robaczki zielonawém błyskały światłem. —

Dziewczę leżało przez chwilę podziwiając ten spokój natury, który je otaczał, potem zwolna opuściło główkę

na wonną poduszkę, i słodki sen skleił jego powieki. Wszystko do koła sieroty było tak czyste, tak jasne, tak pogodne, iż niedziw, że zasnęła z tą mocną wiarą, że pustynią tę zamieszkują aniołowie. —

Ci, którzy bliżej żyli z naturą, mają zapewne to przekonanie, że wśród niej rzeczywiście mieszkają aniołowie, i obecnością swoją, uweselają pustynią i samotność. —

Gdy Fanny i Teddy zasnęli, Tiff ukląkł i modlił się gorąco:

„O Panie! wejrzyj na te dzieci łaskawie! Ja wyszedł z niemi, jak Ty mi byłeś rozkazać, ale teraz doprawdy niewiem gdzie się udać i co im dać na śniadanie. Ale Tobie, o Panie, który cały świat mieć w swoich rękach, łatwo nam pomóż! — i ja ufać że Ty to zrobić! O Panie Jezu, któryś przed prześladowaniem króla Heroda uszedł do Egiptu, racz wejrzeć na te dzieci, bo ja być pewny, że ta kobieta, równie zła jest jak Heród. Ty byłeś widzieć, jak ona się z niemi obchodzić, a więc racz nam wskazać drogę przez puszcę do obiecaną ziemi. Wieczność — Amen!“

Te dwa słowa zwykł był Tiff dodawać na końcu każdej swojej modlitwy; zdawało mu się że one zao-krągłają ją, i robią ją, jak powiadał, podobniejszą do białej modlitwy. —

Pismo Śte dzieli ludzi na dwie klasy: na tych, którzy w samych siebie ufają, i na tych, którzy ufają w Boga. Pierwsi rządzą się własnym rozumem, polegają na własnej sile, sami rozstrzygają swoje wątpliwości, i na nic innego niebaczą. Drugi, chociaż niezaniebują rozumu i sił, których im Bóg użyczył, jednak żyją w tej skromnej wierze, że ich mądrość i siła, w obec Boga są czystą słabością. Ludzie należący

do pierwszej klasy, jako sieroty odbywają życia pielgrzymkę; — ludzie klasy drugiej mają ojca.

Modlitwa napeliła serce Tiffa otuchą, i z taką samą ufnością z jaką niegdyś Jakób złożył głowę na kamieniu, wyciągnął się na ziemi obok dzieci, i niebawem smacznie zasnął.

Noc przeszła spokojnie. Między trzecią a czwartą godziną z rana, wywielga która ponad głowami śpiących, wśród gałązek winogrodu, gniazdko miała usłane, świegocząc poczęła się rozmawiać ze swoją sąsiadką. Nie był to jednakże śpiew, ale wyraźnie ciche zapytanie, która też to godzina? Jeżeli kiedy byłeś tak wczesnie w lesie, czytelniku, musiałeś uważać, jak najprzód, po wszystkich sosnach, ostrokrzewach, drzewach gumowych i modrzewiach, rozchodzi się szemranie i świegot budzących się ptaszków, wyciągających po śnie skrzydelka; z pomiędzy listków błyskają oczka małych spiošków, którzy sobie, ten tę, ten ową gałązkę, na noeny spoczynek obrali. — Z razu słyhać tylko tu i owdzie cichy świegot i ćwierkanie, które powoli rosną coraz bardziej, aż nareszcie zabrzmiały rozgłośnym, radosnym chórem, jakgdyby śpiewacy po raz pierwszy taki piękny ranek widzieli.

Jeszcze jutrzeńka niebyła zaszła, i purpurowa kotara na wschodzie jeszcze się niepodniosła w górę, a księżyc, który całą noc świecił jasno, stał jeszcze na horyzoncie, podobny do ciepłego światła, błyszczącego aż do rana w pokoju chorego. Nie każdy budzi się tak wczesnie, aby mógł usłyszeć ten ranny, rozkoszny chór ptaszy. Ci, którzy śpią aż do wschodu słońca, niedoznajają nigdy téj, i tysiąca innych tajemniczych rozkoszy,—

nieujrza mnogich, dziwnych, ale miłych zjawisk przyrody, bo one jak skoro tylko słońce zejdzie, razem z rosą ulatniają się i nikną.

Ale chociaż Tiff i dzieci śpią smacznie, my jednak niekoniecznie mamy zamykać oczy, gdyż w takim razie, niemoglibyśmy dostrzedz, że między trzecią a czwartą godziną, z pośród krzaków ukazał się człowiek, który więcej po nocy aniżeli po dniu zwykł był chodzić.

Dred był właśnie tej nocy na jednej z częstych swoich wycieczek, których celem była zamiana ubitej przez niego zwierzyny, na proch, ołów i inne potrzeby, których dostać można było w owych małych sklepikach, o jakich mówiliśmy już wyżej. Wracając, niespodzianie trafił na śpiących. Spozrzegłszy ich, zadziwił się bardzo, stanął nad nimi aby ich lepiej obejrzeć, i dopiero schyliwszy się, zdawał się ich poznawać. Dred znał już dawno Tiffa. Nieraz udawał się do niego z prośbą o dostarczenie żywności zbiegom na bagna, albo o spełnienie jakowego poselstwa, do miejsce, na które sam iść się nieważył. Jak wszyscy jego towarzysze, tak i Tiff zachował w tej mierze taką ostrożność, że nawet ci którym najwięcej ufał, dzieci, niewiedzieli zupełnie o istnieniu Dreda na świecie.

Ciągła bacność, nadała takiej bystrości oku Dreda, że żadna zmiana w okolicy, nie uszła jego uwagi; — wiedział też dobrze jaka zmiana zaszła w położeniu staro Tiffa. Poznawszy więc śpiących, dorozumiał się wszystkiego; — a kiedy patrzył na dzieci, twarz jego łagodny, pełen współczucia wyraz przybrała. I otworzył swoją torbę myśliwską, i wy dobył z niej kilka żytnich placków i połowę pieczonego królika, którego mu zo-

na dała na drogę, a położywszy te wiktuały ostrożnie obok śpiących, poszedł w las, w stronę, w której spodziewał się tego ranka ubić jeszcze nieco zwierzyny.

Radosny śpiew ptaków obudził Tiffa, który i bez tego przyzwyczajony był do rannego wstawania. Usiadł, przetarł sobie oczy, i przeciągnął się kilka razy. Wyspał się doskonale, bo w ciągu swego życia, nie miał sposobności przyzwyczajenia się do wybrednej pościeli.

— Wybornie! — rzekł sam do siebie, — dzisiaj ta szkaradna baba daremnie dzieci szukać będzie! — I począł się swoim zwyczajem śmiać serdecznie, pomyślawszy, jak on ją to zgrabnie wyprowadził w pole. — Ha, ha! — mówił dalej, — ja słyszeć ją, jak ona wrzeszczeć: Tiff! Tiff! Tiff! Ale nie z tego niebędzie! Stary Mister Tiff ciebie niesłuchać, i dzieci także! Biedne, kochane gołąbeczki!

I spojrział na dzieci, a wtém owe wiktuały wpadły mu w oczy. Zrazu stanął jak skamieniały, ręce tylko w niemém zdumieniu do góry podniósłszy. Miałażby to być rzeczywiście sprawa aniola?

— Niechże będą Bogu dzięki za śniadanie, o które ja go wczoraj tak gorąco byłem prosić. Ja pewny byłem, że Pan Bóg coś dla nas będzie zrobić, ale ja nigdy niemyśleć żeby tak prędko. Może nam to jego krutki przynieść były, albo co! Zawsze to dodawać serca człowiekowi. Dzieci jeszcze niebędę budzić; niech sobie jeszcze będą spać! Ale będą się też to dziwić jak śniadanie obaczyć! — A jak tu pięknie i czysto do koła; tu niema żadnych tych szkaradnych ludzi, co to tylko tytuń żuć, a niewiedzieć nawet co to przyzwoitość. Ja sam jeszcze jestem trochę znużony, lepij będzie poło-

żyć się napowrót, dopóki się dzieci niebędą obudzić. Jak ja się też cieszyć, jak pomyśleć, że takiego figla wypłatać byłem tej babie! Będzie ona też to zła jak sam król Heród, a z nią i cała jej Jerozolima!

I z radości śmiejąc się do rozpuku, począł się tarzać po ziemi.

— Tiff, gdzie my jesteśmy? — odezwał się przy nim głosik dziecinny.

— Gdzie my jesteśmy, kochańciu? — odrzekł Tiff ogładając się do koła. — Eh, co tam, — ty mi powiedzieć lepiej, jak się ty mieć dzisiaj? Możesz się nawyciągać dowoli, a nikogo bać się nietrzeba, bo jesteśmy całkiem bezpieczni, — a śniadanie nam też byli przynieść aniołowie.

I pokazał chłopcu przysmaki, które na winnych liściach był ułożył,

— Ah! wuju Tiff! — zawołał Teddy, — to nam to aniołowie przynieśli? A czemużes mię też nieobudził? Jaby tak rad był im się przypatrzeć, bo ja jeszcze nigdy w życiu anioła niewidziałem.

— I ja także moje dziecię. Oni zwykle wtedy przychodzić kiedy my spać. Ale oto i Mis Fanny się obudzić. No, jak się mieć moja duszka? Wypocząć sobie dobrze?

— Ach, wuju Tiff, takem mocno spała! — odrzekła Fanny. — A jaki śliczny sen miałam!

— No, to wy nam to opowiedzieć przed śniadaniem; może się sprawdzić.

— Śniło mi się, że byłam w jakimś samotnym i dziwnym miejscu, z którego wyjść niemogłam, bo dokola były skały i ciernie. Teddy był także przy mnie. Kie-

dyśmy tak szukali i szukali nadaremnie, ukazała nam się nasza Mama. Wyglądała zupełnie tak jak dawniej, tylko dużo, dużo była piękniejsza, i miała prześliczną, białą suknię na sobie, która jej aż do nóg spadała. I wzięła nas za ręce, a skały się otwarły i przeszliśmy przez nie i szliśmy drogą jakąś, ażeszmy przybyli na piękną, zieloną łąkę, gdzie było pełno lilij i poziomek. — Wtedy Mama zniknęła.

— Ha, — rzekł Teddy, — może to ona nam przyniosła śniadanie. Patrzaj, co to tutaj mamy!

Fanny zadziwiła się bardzo, ale po chwili namysłu rzekła:

— Ja niesądzę, żeby to mama przyniosła; bo mi się zdaje że w niebie niemusi być żytnich placuszków ani pieczystego; gdyby to manna była, to co innego.

— Zkąd się wzięść, to się wzięść, — rzekł Tiff, — dosyć że jest, — i że trzeba za to Panu Bogu podziękować.

Usiedli zatem i z wdzięcznością w sercu spożyli śniadanie. —

— Tutaj wśród bagien, jest gdzieś obóz czarnych ludzi, tylko ja niewiedzieć z pewnością gdzie. Żebyśmy do niego mogli trafić, tobyśmy tam mogli zostać czas jakiś, ażby ja co innego wymyśleć. Cicho! Co to jest? Słyszycie?

W téj chwili wystrzał zakłócił ciszę leśną.

— To jakoś niedaleko! — zawołał Tiff.

Dzieci przestraszyły się.

— Wy się niebać niczego. Mnie się zdawać, że ja się domyślać kto strzelić. Cicho, — ktoś idzie.

Wtem w pewnej odległości zabrzmiała pieśń:

„Gdybym miał skrzydła poranka.

„Leciałbym w kraj Kanaanu.“

— Tak, — szepnął Tiff sam do siebie, — to jego głos. Dzieci ktoś tu będzie przyjsć, ale wy się go niebać, bo on nas będzie zaprowadzić do obozu, o którym ja wam dopiero co byłem mówić.

I złamanym, drżącym głosem, który szczególnie kontrast stanowił z pełnemi, dźwięcznemi tonami pieśni niewidzianego śpiewaka, począł nucić początek starej pieśni, która może była umówionym znakiem porozumienia się wzajemnego:

„Do okola bije grad,

„Straszna burza wstrząsa świat,

„Ja gonię za lubą swą,

„Ach! kędyż ja znajdę ją!

„Ach! kędyż ja znajdę ją!“

Pierwszy śpiewak zamilkł, nadsłuchując zapewne, a podczas kiedy Tiff śpiewał dalej, dał się słyszeć szelest zbliżających się kroków. Nareszcie ukazał się Dred.

— Więc i wy nareszcie uciekliście na puszcze! — przemówił do zbiegów.

— A tak, tak! — zachichotał Tiff; — na to nam przyszło. Ta baba tak niegodziwie była się obchodzić z dziećmi. Ze wszystkich złych stworzeń, które ja znać, najgorsza zawsze jest biała kobieta, z tych białych biedaków. One niemają żadnego wychowania, żadnej manie-

ry; one niemoga zrozumieć jak się to trzeba obchodzić z porządnymi ludźmi, — i dla tego my woleć uciec do lasu.

— No, toście sobie nienajgorsze miejsce obrali, — rzekł Dred. — Pan udziela swęj łaski i drzewom leśnym, i przyjdzie czas, kiedy Pan uczyni pokój, i dziekim zwierzętom każe tę ziemię opuścić, i będzie można bez obawy mieszkać w pustyni, i bezpiecznie spać w lesie. Drzewo leśne będzie wydawać owoce i ziemia spokojna będzie, gdy Pan zerwie gniotące ją jarzmo, i uwolni ją z rąk tych, którym dotąd służyła.

— I ty wierzysz z pewnością, że te dobre czasy nadejdą? — zapytał Tiff.

— Pan to powiedział, — odrzekł Dred. — Ale wprzód musi nadejść dzień pomsty!

— Ja go tam niepotrzebować; ja w pokoju chcieć żyć! —

Dred spojrział na Tiffa wrokiem pełnym litości, do której mieszał się lekki odcień pogardy, i rzekł jakby sam do siebie:

— Izachar był to silny osioł, obładowany ciężarami. Uważał on, że spokojność duszy dobra jest i kraj przyjemny. I podał barki swoje pod ciężar i został niewolnikiem.

— No, jeżeli ja to mam być tym osłem, to ja znów tak duzo nienaużywać się w życiu mojem spokojności. A żeby ja tylko tak porządne siodło mieć na sobie, to by ja zaraz pokłusować z dziećmi w jakie dobre miejsce. —

— Ale żeś służył temu, który był bliski zguby, — mówił dalej Dred, — żeś niezdramił tego, który się okolo

ciebie błąkał, przeto Pan otworzy ci miejsce przytułku w pustyni.

— Otóż to ja właśnie tego chcieć, — ja twego obozu szukać. — Ja zawsze gotów podać rękę do wszystkiego co dobre!

— Ale te dzieci za delikatne są, aby mogły iść tam gdzie pójdziemy; musimy je więc ponieść, jako orzeł swoje pisklęta. Pójdź mój malutki, — rzekł Dred schylając się i wyciągając ręce do Tedda. Surowa, ponura twarz jego rozjaśniła się miłym uśmiechem, i z wielkiem podziwieniem Tiffa, dziecię zbliżyło się ku niemu bez namysłu i pozwoliło się wziąć na ręce.

— No, a ja myślałem, że on się ciebie bać będzie!

— O, nie. — Jeszcze niewidziałem dziecka, któreby od razu do mnie nieprzyszło. No, trzymaj się dobrze mój malutki, — rzekł do chłopca posadziwszy go sobie na ramionach. — A ty Tiff weź dziewczynę i pójdź za mną. A jak wejdziemy na bagna w gęstwinię, to uważaj, żebyś ciągle w moje ślady wstępował, i strzeż się postawić nogę na takiej kępcie, na którą ja wprzód nie stąpię, bo częstokroć leżą pod nimi mokassinowe węże.

I Dred z Tiffem poczeli się przebierać drogą ku znanemu już nam obozowisku.

Rozdział IV.

DUCHOWNA NARADA.

W kilka dni później, Klayton bawił w mieście * —, w gościnie u jego przewielebności Dra Cushinga.

Był to człowiek w średnim wieku, okazałej, pięknej, miłej powierzchowności. Dr. Cushing, jako duchowny, był powszechnie lubiony a nawet wielbiony i między braćmi swoją znakomite zajmował stanowisko. — Oprócz tego był to człowiek pełen gorących uczuć, pełen ludzkości i świetnych towarzyskich przymiotów. Kazania które pięknie napisać i pięknie wygłosić umiał, nieraz słuchaczom łzy z oczu wyciskały, a każda jego mowa żalobna, nacechowana była miłością i namaszczeniem. Nikt nieumiał z takim przejęciem się jak on wystawić zapału i zaparcia się samych siebie w świętych Apostołach, — nikt niepotrafił zapalić się tak jak on, śpiewami wychwalającymi cierpliwość Świę-

tych Pańskich, — a jednak w razie potrzeby, poczczywy Dr. Cushing, niebył wcale rycerzem. W jego charakterze było coś kobiecego, coś tak miękkiego, że przy całym zamilowaniu we wszystkiém co piękne i szlachetne, niezdolny był do zniesienia najlżejszych trudów i przeciwności.

Między duchowieństwem, Dr. Cushing znany był jako przyjaciel pokoju, który wszystko na spokojnej drodze załatwić się starał, co zapewne miało także źródło swoje w jego łagodnej naturze, niemogącej znieść żadnej walki, ani sprzeczeki.

Mimo tego Klayton nieposiadał się z radości, widząc z jakim zapałem wuj jego brał udział w jego zamiarach, jak się z nim zgadzał zupełnie w zrozumieniu zgubnych skutków niewoli, i przytaczał mnóstwo faktów i przykładów, twierdzenia jego uzasadniających.

Twierdził on, że Klayton w sam raz przybył, bo właśnie nazajutrz miała się zebrać u niego znaczna liczba duchownych, pomiędzy którymi niektórzy mieli być ze stanów północnych; — że więc będzie miał wyborną sposobność, przedłożenia im swoich planów.

Dr. Cushing prowadził dom otwarty, i tego samego jeszcze wieczora, domowe jego kółko powiększyło się przybyciem czterech lub pięciu duchownych.

Klayton ucieszył się bardzo, ujrzawszy między niemi i ojca Diksona. Zdawało się mu bowiem, że człowiek ten gdziekolwiek się ukazał, wnosił za sobą błogosławieństwo i pokój ewangeliczny.

Tutaj uważamy za potrzebę, zapoznać czytelnika z jednym jeszcze duchownym, a mianowicie, z jego przewielebnością, Drem. Shubaelem Packthread. Należał on

do duchowieństwa kościoła panującego w jednym z północnych Stanów. Z natury był to człowiek nader miły i przyjacielski, obdarzony najpiękniejszymi skłonnościami i zdolnościami, które wychowanie wykształciło w nim i udoskonalilo. Atoli długie przyzwyczajenie do dysput teologicznych i kościelnych, rozwinęło w nim na ogromną skalę przebiegłość, ze szkodą innych władz duchownych i moralnych. Słów, które inni ludzie uważają jako środek wyjawienia swoich myśli, Dr. Packthread używał właśnie do ich utajenia. — W czasie wszystkich dysput, najważniejszym dla niego zadaniem było to, aby słowom swoim taki szyk nadać, iżby orzekając coś na pozór stanowczo, miały jednak w sobie znaczenie podwójne. Był on mistrzem w użyciu rozmaitego rodzaju omówień, i miał na zawołanie pełno frazesów, które co innego mówią, a czego innego domyślać się każą. W czasie zgromadzeń kościelnych, umiał zawsze wszelkie nie mile rozprawy na bok usunąć, albo całkiem pominąć, a łatwowiernych braci swoich utrzymać w tém przekonaniu, że co się tyczy spornych punktów, przy nich zostało zwycięstwo, chociaż tak niebyło.

Dr Packthread znał także rozliczne sposoby stawiania czoła wpływowi i potędze przeciwnej partyi. — Potrafił on, gdy tego było potrzeba, puścić pogłoskę, która na pozór nie stanowczego niegłosząc, wiele jednak daje do myślenia. W razie potrzeby umiał także nader zręcznie podać w wątpliwość prawowierność i cnotę tego ze swych braci, który najmocniej stawał przeciw niemu. Wiedział doskonale kiedy i jakimi niewinnemi niby pytaniami, podechwycić i splatać swego przeciwnika, a kiedy do pokonania go wystarczy samo wymowne potrząśnienie głową, lub stó-

sowne wzniesienie oczu. Czasami umiał także i milczeć, kiedy milczenie najpewniejszym było środkiem dopięcia celu. —

Był on wysoki i chudy, a twarz jago zdawała się nosić na sobie ślady ciężkich trosk, i głębokich myśli. Będąc małym chłopcem, a nawet już młodzieńcem, miał zwyczaj uśmiechać się i śmiać bez przyczyny; ale później, w skutek przezorności, odzwyczaił się od tego i nie nieczynił bez gruntownych powodów. Twarz swoją, uważał on jako kapitał obrotowy, i umiał go wybornie używać. Znał też dokładnie wszystkie modyfikacye uśmiechu, do osiągnięcia celu potrzebne. —

Nietrzeba jednak mniemać, żeby Dr. Packthread, przy całej swj zřeczności, wolny był od tego, co wlaśnie główną jěj podstawę stanowiło, to jest, żeby sam siebie nie miał oszukiwać. Owszem, był on najpewniejszy, że należy do liczby tych wybranych, na których ustach fałsz niepostał nigdy. Przezorność uważał on tylko, jako jednę z cnót chrześciańskich, — i rozumiał zapewne, że przy jěj pomocy dostanie się także kiedyś do nieba. Wtém przekonaniu żył z roku na rok, dopuszczając się czynów, za któreby się niejedyn polityk rumienił, obchodząc do koła zasady moralności i uczciwości, a przytém śpiewając pieśni nabożne, odmawiając modlitwy i udzielając świętych Sakramentów. —

W zupełnej sprzeczności ze zřecznym, przezornym postępowaniem Dra. Packthread, stała dziecinna prostota ojca Diksona.

Ojciec Dikson w doczesne dostatki był prawie tak ubogi, jak jego boski Nauczyciel. Mieszkanie jego stanowił mały jednopiętrowy domek, który od najuboższych

chat różnił się tylko niezmierną czystością. Rzadkie to były lata, w których sto dolarów przeszło przez jego ręce, a były niekiedy takie czasy dla niego, że nie miał za co, ważnego nieraz dla siebie listu, z poczty wykupić. Z boleścią musiał patrzeć na słabowitą żonę swoją, jak nikła powoli bez lekarstw i pomocy, a sam w czasie najostrzejszej zimy, obywatł się bez ciepłego surduta. Ale wszystko to znosił on, jak wędrowiec wracający do domu znosi burzę która go napotka, i rozezulający był prawdziwie widok, patrzeć na niego, jak go cieszyło gościnne a bogate przyjęcie w domu Dra. Cushinga, nie budząc w nim najmniejszego cienia zazdrości. Demon tój obrzydliwej wady, która ludziom tyle rozkoszy goryczą zatrzuwa, musiał ustąpić całkiem z jego serca, przed potęgą niebieskiej miłości. —

Ojciec Dikson, był powszechnie lubiony i poważany od swoich braci duchownych, którzy chociaż nieradzi słuchali surowych jego napomnień, jednak czuli to, że sama jego obecność wśród nich, mowy i czyny ich poniekąd uświęca.

Towarzyskie kółko powiększyło się niebawem przybyciem znanego nam już, wesołego ojca Bonnie, który wracał właśnie z drugiego końca państwa, gdzie uczestniczył w licznych zebraniach pobożnych, które się tam kolejno odbyły, — i jak zawsze, stósownie do okoliczności, gotów był zarówno do śmiechu, jak do modlitwy. W obejściu jego, wbrew zwykłej ludziom jego stanu powierzchowności, przebijała się pewna rubaszność, której nabrał w skutek życia po większej części na wsi spędzanego, a na którą Dr. Packthread bardzo wzruszał ramionami. —

Ojciec Bonnie był człowiekiem, który, jak to powiadają, wszystko sam sobie był winien. Niezajmował się greczyzną ani laciną, dla szkolnych form żywił w sercu swoim pewną pogardę, a za największą sobie miał przyjemność, przy każdej sposobności, mówić co mu się podobało.

Przyjechało także kilku znakomitych Presbiteryanów z północy, którzy właściwie przybyli do Dra. Cushinga, na tajemną, poufną naradę, względem połączenia nowego kościoła presbiteryańskiego ze starym.

Dla czytelników nieznających historii kościoła amerykańskiego, uważamy tutaj za konieczność dać objaśnienie, że kościół presbiteryański w Ameryce dzieli się na dwie partye, które się różnią w pewnych punktach teologicznych. Stronnicy tych dwóch partyj, zowią się starą i nową szkołą. Partye te utworzyły się dopiero przed niewiele laty, i odtąd mają osobne swoje zgromadzenia kościelne. —

Przygodkiem, wszyscy ci, którym interes kazał obstawać za utrzymaniem niewoli, z małemi bardzo wyjątkami, znaleźli się po stronie starej szkoły, gdy tymczasem większa część nowej szkoły, odnośnie do oświadczenia przez cały kościół presbiteryański w r. 1818 uczynionego w tej kwestyi, ogłosiła się jawnie przeciwko niewoli. To więc rozpadnięcie się, wywołane zastało zarówno różnicą w zdaniu co do kwestyi niewoli, jako téż i w zasadach kościelnych.

Gdy przeszły pierwsze chwile uniesienia po tym rozdziale, obiedwie partye poczęły znów myśleć o zbliżeniu się do siebie napowrót, i najznakomitsi ludzie ze stron

obu, poczęli się o to spokojnie umawiać, — i taki też to cel, miał ów liczny dosyć zjazd u Dra. Cushinga. —

Oprócz wyżej przywiedzionych, znajdował się tam jeszcze Dr. Calker. Był to człowiek silnego, chociaż ograniczonego ducha, wielce energiczny i czynny. Był on też rzeczywiście pobożny, ale odpowiednio do swego wyobrażenia o pobożności. Z początku miłował on kościół dla Boga, ale potem ukochał go nad samego Boga; a przez kościół, rozumiał on zaprowadzenie wyznania presbteryjańskiego, w całych Stanach Zjednoczonych. Odnośnie do tego pojęcia, każdą rzecz, każdy wypadek, oceniał on wedle tego, jaki wpływ wywierały lub wywrzeć mogły na kościół presbiterjański. Co mogło przyczynić się do jego wzmocnienia lub rozszerzenia, to uważał za dobre; przeciwnie, potępiał wszystko, co mu niebezpieczeństwem lub ujmą groziło. — Siebie i swój własny interes, gotów był każdego czasu za sprawę tego kościoła poświęcić, równie jak i bliźnich swoich. —

Kwestyą zniesienia niewoli uważał on także z tego stanowiska; a widząc w niej źródło niezgody między bracia, stającą to za, to przeciw tej kwestyi, patrzył na nią z nieufnością i wstrętem. Niepodobna go było zniewolić, aby czytał dowody za zniesieniem niewoli przemawiające, a kiedy zwolennicy tej kwestyi na walnych zgromadzeniach przytaczali okropne przykłady na poparcie twierdzeń swoich, on tak skrzętnie zajęty był od razu wyszukiwaniem w myśli sposobów odparcia ich zarzutów, że słowa ich żadnego prawie na nim nierobiły wrażenia.

Żeby cały pociąg, naładowany interesami całego świata, zatrzymywać dla jakiegoś tam nikiemnego, jęczącego w kajdanach niewolnika, zdawało mu się to nierozsąd-

kiem i zarozumiałością. Cóż to znów tak ważnego, żeby dla tego aż kościół presbyteryjański miał się rozdzielić, i wstrzymać na drodze postępu? —

Dr. Calker tedy, był stale przeciwny zniesieniu niewoli, jako mogącemu wnieść rozdwojenie do kościoła presbyteryjańskiego; a gdy mimo tego rozdwojenie to nastąpiło, obrócił się z całą energią ku temu, aby porozumienie się dwóch partyj przywieść do skutku. —

W obecnej scenie, należał on do osób najważniejszych. —

Naturalna rzecz, że Klayton jako człowiek świecki, a przytém najmłodszy z całego towarzystwa, uważał za przyzwoite niemieszzać się do rozmowy starszych, i podczas całego śniadania u Dra. Cushinga, był prawie wyłącznie słuchaczem. —

— Prawdę powiedziawszy, bracie Cushing, — mówił Dr. Calker, — całe to rozdwojenie stało się bez żadnej potrzeby. Moc kościoła przez to osłabła, a Metodyści i Baptyści tylko na tém zyskali.

— Wiem ci ja to dobrze, — odparł Dr. Cushing; — i zapewniam cię, że my tutaj na południu również bolejemy nad tém. Ale biorąc rzeczy ściśle, bracie Calker, rozdwojenie to niejest tak wielkie. Między nami tutaj jest wielu braci z nowej szkoły, jak np. Dr. Draper, z którymi w najlepszym żyjemy porozumieniu.

— Tak jest, — rzekł Dr. Calker, — a my mamy znów także wśród siebie dzielnych i prawych mężów do stariej szkoły należących.

— Ja myślę, — odezwał się Dr. Packthread, — że

dołożywszy nieco pracy, możnaby sporządzić dokument obudwu stronom dogadzający. — Nam przedewszystkiēm o to chodzić powinno, ażeby najzapaleńszych z obu stron ludzi w spokojności utrzymać. Powiadają, że ja należę do nowj szkoły, — a jednak niedawno napisałem kilka definicyj, a Dr. Pyke, który przecieź jest zapalonym starj szkoły zwolennikiem, gdym mu je pokazał, oświadczył, że się zupełnie z niemi zgadza.

— To tēż ja zawsze obstaję przy swoim, — rzekł Dr. Calker, — że rozdwojenie kościoła, nastąpiło bez żadnego prawie powodu.

— Właściwie mówiac, to tylko radykalny ton w jakim przemawiają wasi fanatyczni abolicyoniści, staje na zawadzie połączeniu, — odezwał się Dr. Cushing. — Te rozstrząsania kwestyi niewoli na walnych zgromadzeniach, są dla naszych braci, a mianowicie zachodnich, bardzo niemile i przykre. Oni nierozumieją całkiem trudności naszego położenia; niepojmują tego, że nas trzeba właśnie w zupełnym zostawić pokoju, abyśmy mogli coś zrobić dla tēj sprawy. Ja tutaj wierzę tylko w dobroczynny wpływ ewangelii, i przekonany jestem, że Bóg sam w mądrości swojej najlepiej będzie wiedział, kiedy będzie czas znieść niewolę. W tem więc oczekiwaniu, bracia nasi powinni się uzbroić w cierpliwość.

— Bracie Cushing, — odezwał się ojciec Dickson, — od r. 1818, liczba niewolników w naszym kraju wzrosła poczwórnie. Nowe państwa niewolnicze powstały, i utworzył się na wielką skalę formalny systemat chodowania niewolników i kupezenia niemi, a wielkie miasta nasze stały się niby ogromnemi niewolników składami. Z na-

szych portów odpływają okręta naładowane temi nie-szczęśliwemi istotami, które wiozą do Nowego Orleanu, a handel ten coraz to wzrasta. Tego lata zdarzyło mi się być przy śmierci biednej dziewczyny, która w siedemnastym roku życia odłączona od swych przyjaciół i rodziny, i pędzona wraz z inemi niewolnikami, z rozpaczy wśród puszczy umarła. Mnie się zdaje, bracie Cushing, że takim spokojnem czekaniem niczego niedokazemy, — bo dziś dwa razy dalej jesteśmy od emancypacji, aniżeli w roku 1818.

— Czy duchowieństwo uczyniło kiedy ze swój strony jakiegokolwiek usiłowanie, aby temu piekielnemu handlowi tamę położyć? — zapytał Klayton.

— Mnie się zdaje, że nie, — odrzekł Dr. Cushing, — wyjąwszy kazania przeciw niesprawiedliwości w ogóle.

— Czy kościół uczynił kiedy jaki krok, aby zapobiedz rozdzielaniu rodzin? — pytał Klayton dalej.

— I to nie. Ten punkt zostawiamy sumieniu każdego. Kościół jednak zawsze naucza wiernych, że się powinni z swemi podwładami obchodzić w duchu ewangelii. —

— A czy się kiedy kościół starał nakłonić władzę prawodawczą, ażeby [zezwoiła na kształcenie niewolników? —

— Nie. — Ten punkt z wielu trudnościami jest połączony; — odparł Dr. Cushing. — Gdyby nas byli ci szaleni abolicyoniści północni zostawili w pokoju, bylibyśmy może pewne kroki w tym przedmiocie poczynili; ale oni drażnią tylko umysły naszej ludności, i przez to są przyczyną, że nie uczynić niejesteśmy w stanie.

Przez cały czas kiedy ojciec Dickson i Klayton mówili, Dr. Calker niesłuchając ich wcale, notował sobie coś ołówkiem na świstku papieru, jak to zawsze zwykł był czynić, kiedy przy nim była mowa o niewoli i handlu niewolnikami. Dopiero gdy Dr. Cushing wspomniał o abolicyonistach, podniósł oczy od papieru i rzekł:

— O, ci ludzie są całkiem obrani z rozumu, — to są czyści szaleńcy, monomani, którzy wiecznie tylko jedno widzą. Naprzykład ojciec Ruskin z Ohio; z tym człowiekiem niewiedzieć co począć. Raz był u mnie przez długi czas w gościnie; co ja mu się też nagadałem, co mu nadowodziłem ile on to ważnych interesów na szwank wystawia, i wszystko nadaremnie, on wiecznie gra na tej samej stronie. Według mnie, całe rozdwojenie kościoła naszego, tym ludziom tylko mamy do zawdzięczenia.

— Przez wiele lat staraliśmy się wszelkimi siłami oddać tę katastrofę, — odezwał się Dr. Paekthread, — co nas niemało pracy kosztowało. Zdaje mi się, — rzekł dalej uśmiechając się chytrze, — że i na mnie spoczą jakaś część zasługi z tego tytułu. Jeżeli bowiem posiadam jaki talent, to zaiste ten, że słów umiem trafnie używać. Bywało czasami, bracia sprzecząją się i sprzecząją cały boży dzień, aż wszyscy ledwie niepadają ze znudzenia; aż tu zjawia się ktoś, co umie mówić, i opuszczeniem jednego słowa, całej rzeczy inną postać nadaje. —

Pamiętam, że jednego roku ci szaleńcy do tego nas doprowadzili, że wypadło nam dać jawne zdanie o niewoli. Trzy dni ciągnęła się rozprawa, aż nareszcie doprowadziliśmy rzecz całą do jak najłagodniejszych wy-

rażeń. Oświadczyliśmy tedy, że niewolę uważamy za złe moralne, nie za grzech po staremu. Wtém kilku z ultra partyi południowej zawołało, że złe moralne a grzech to jedno, że więc zawsze tём orzeczeniem potępiamy ich braci. — Było już późno, — wielu z najzapaleńszych znużyło się i wyszło; ja więc cichuteńko przekreśliłem wyraz moralne i przeczytałem potem oświadczenie, które w tój formie powszechnie przyjęte zostało. — Tak tedy tą razą udało nam się szczęśliwie wulkan przycisnąć; ale na drugi rok wybuchnął on znowu, bo ci ludzie niemogą nigdy spokojnie usiedzieć.

Trzeba się było więc do innego znowu uciec środka. Doradziłem tedy braciom, aby się tą razą powołać na stare prawa presbiteryj i kościołów, i zabronić wszelkiego mieszania się ludzi do tego niepowołanych. Udało nam się ale niektórzy z braci wymogli niebacznie na zgromadzeniu surowe postanowienia przeciwko tańcowi. Był to krok bardzo nieopatrzny. Ponieważ z tańcem niełączy się; żadne ważniejsze interesa, przeto nikt się temu postanowieniu niesprzeciwiał. Ale w ówczesnych okolicznościach było to bardzo złe, gdyż abolicyoniści zaraz z tego zrobili użytek, i chcieli wiedzieć, dla czegośmy tak samo stanowczo niewystąpili przeciw niewoli (trzeba bowiem wiedzieć, że taniec niejest grzechem *per se*, równie jak i niewola); — i oto do dzisiejszego dnia nieprzestają dąć przeciw nam w puzany na tę samą nutę.

Wreszcie całe towarzystwo wstało od śniadania, i starym obyczajem zabrało się do modlitwy. Przywołano dwie poważne, przyzwoicie ubrane Murzynki i jednego Murzyna do pokoju.

Pod przewodnictwem ojca Dicksona wszyscy zanucili hymn następujący:

„Należyż w poczet Krzyża rycerzy,
„Wartże jest tego imienia,
„Kto za Barankiem dopóty bieży,
„Póki niespotka cierpienia?“—

„Musi wprzód walczyć, kto chce panować;
„O Panie! wspomóż odwagę moję,
„Twój krzyż mam w ręku, Ty mię w bój prowadź,
„Niech walczę w Imię Najświętsze Twoje“.

„Gdy dzień zwycięstwa wreszcie nastanie,
„W promiennych wieńcach staną rycerze, —
„A sława będzie Tobie o Panie!
„Z którego wszystko początek bierze.“

Gdyby kto był widział zapał, z jakim wszyscy ten hymn śpiewali, byłby ich pewnie wziął za grono Męczenników z pierwszych czasów Chrześcijaństwa, którzy dobywszy miecza i odrzuciwszy pochwy, gotowi są każdej chwili uderzyć na czarta i jego dzieła.

A nikt nieśpiewał z większym natchnieniem jak Dr. Packthread. Jemu nigdy, nawet we śnie, przez myśl nieprzeszło, żeby nie miał być rycerzem Krzyża, albo żeby ten rodzaj walk jakie on staczał, nie miał się zgadzać z duchem śpiewanej pieśni.

Dr. Calker śpiewał także z zapałem, bo treść pieśni stósował w myśli do nieprzyjaciół kościoła presbteryńskiego.

Dr. Cushing walkę skreśloną w tych wierszach, uważał jako walkę czysto wewnętrzną. Tak więc każdy naciągał znaczenie pieśni do swoich przekonań, aż zabrział jej koniec:

„Rycerz Jezusowy—

„Alleluja!

„Służy Panu miłościwie!“

Rozdział V.

REZULTAT.

Zaledwie śpiew się skończył, Dr. Calker, wracając do przedmiotu, który mu ciągle stał na myśli, odezwał się do gospodarza:

— Tak, tak, bracie Cushing; — nigdy jeszcze kościół presbiteryański w Ameryce tak niekwitnął jak w ostatnich czasach. Missye krajowe i zagraniczne, traktaty, towarzystwa przyjaciół marynarzy, towarzystwa biblijne, szkoły niedzielne, oto są błogie skutki ojcowskich jego starań i pieczy około dobra jego owieczek. Jednej rzeczy nam tylko jeszcze brakuje, to jest jedności; — połączeni, stalibyśmy się największą, najpotężniejszą władzą prawodawczą na świecie. To też niepotrzebnie wy południowi byliście aż dotąd tak uparci. My ze swój strony przez ten czas czyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby ogień przytłumić, i spokojność utrzymać. Powiedzcie, cośmy takiego zrobili od

czasu, jakeśmy się od nas odłączyli? Wyście zapewne myśleli, że wybuchniemy zaraz z abolicyonistowską wściekłością, ale widzicie teraz, że się tak nie stało; niceśmy więcej nieuczynili nad to, co się stało wtedy jeszcze, kiedyśmy byli połączeni. Mieliśmy wprawdzie między sobą zapalonych abolicyonistów, którzy nas ciągle popychali naprzód. Kwestya niewoli narobiła nam na czas pewien wiele przykrości; domagano się gwałtem, abyśmy się raz stanowczo oświadczyli w tym względzie, ale nieuczyniliśmy tego nigdy. Wprawdzie musieliśmy czasami zezwalać, aby jakiś stronnik zniesienia niewoli powiedział publicznie kazanie, — ale kazania takie są niczem, niewiudą nikogo, — zresztą są one tylko wyrazem uczuć i przekonań każącego. — A i w tych kazaniach nawet, nigdy nie więcej wyrzeczone nie zostało nad to, co się mieści w owém oświadczeniu z r. 1818, które zarówno w waszych jak w naszych rejestrach jest zapisane. Naturalnie, wszyscy gotowi jesteśmy uznać niewolę jako złe „niezgodne z duchem ewangelii,“ — bo to i w waszych księgach jest zapisane, ale o tém już nawet dzisiaj na publicznych posiedzeniach niemówimy, bo to co w r. 1818 wyrzeczone zostało, uwalnia nas już od tój niemilój kwestyi. Na dowód, że tak jest rzeczywiście jak powiadam, zwracam uwagę waszą na następujące fakta. Z początku, w stanach protegujących niewolę mieliśmy tylko trzy presbyteria, — dzisiaj mamy ich przeszło dwadzieścia, a w nich piętnaście do dwudziestu tysięcy członków. To wam najlepiej powinno intencye nasze wyświecić. A czyśmy nierobili ciągle kroków ku pojednaniu? Czyśmy się formalnie przed wami nieuniżyli? Powiadam wam, że te okoliczności powinniście

wziąć na uwagę. — Tym z naszych członków, którzy trzymają niewolników, zostawiamy zupełną wolność postępowania z nimi jak im się podoba, — zupełnie tak jak wy. Prawda, że zwykle raz do roku, przychodzi do nas jakieś przedstawienie z zachodu, ale na to już trzeba zezwolić, gdyż to przyczynia się do utrzymania spokojności. Zresztą cóż to może mieć za znaczenie, jak skoro z tąd żadne zamieszanie w wykonaniu praw i rozporządzeń naszych niewypływa. Trzeba mieć zawsze wzgląd na północnych naszych braci, jakkolwiek są nierozsądni; — możemy im przecież eo roku dać jakieś zaspakajające objaśnienie, przez któreby zbyt duża siła pary mogła się ulotnić. —

— Co ja, to serdecznie pragnę tego pojednania, — rzekł ojciec Bonnie. — Ja gdybym mógł, to bym tych północnych abolicjonistów żywcem w smołę smażył! —

— Mówisz to zapewne w przenośnym znaczeniu, — odezwał się Dr. Packthread ze słodkim uśmiechem. —

— W przenośnym i w dosłownym, — odparł śmiejąc się ojciec Bonnie. — Niechby jeno tutaj przyszli, a widzieliby, co bym z nimi porobił. Kiedy chcą w kraju pożar rozniecić, niechże się sami najprzód przy tym ogniu usmażą. Powiem wam, moi bracia, że wy powolnością swoją psujecie ich tylko. Ja bo dziękuję Bogu, że wolny jestem od wszelkiego przymusu, uważania niewoli za grzech albo za złe jakiegokolwiek. Nasi bracia abolicyoniści, tyle nam przynajmniej dobrego zrobili, że nas napędzili do pilniejszego wartowania pisma Śgo, a tam z łatwością przekonać się można, że niewola nie tylko jest dozwolona, ale nawet nakazana. Gdyby mi się tak

teraz jaki abolicjonista nawinał, pogroziłbym mu biblią i rzekłbym: „Człowieku! Kto ty jesteś, że się przeciw Bogu buntujesz?“ — Powiadam wam, moi bracia, że pismo Śte na każdej niemal karcie wyraźnie o tém mówi. — Dopóki niewyjdziecie z téj zasady, do żadnego nie dojdziecie rezultatu. — Nic tak niepoucza, jak pismo Święte.

— A czyby to niebyło dobrze, — odezwał się Klayton, — żeby obalić prawo, niepozwalające uczyć się czytać niewolnikom, i żeby im dać w rękę Pismo Śte? To prawo jest przyczyną nędzy i nieobyczajności niewolników, i podaje tém samém najsilniejszą broń w ręce abolicjonistów. —

— O nie, — toby niebyło dobrze, — odparł ojciec Bonnie. — Wtedy bowiem rozszerzyłoby się między nimi mnóstwo pism abolicjonistowskich i buntowniczych, któreby im głowy przewróciły, i wzbudziły w nich nieukontentowanie. —

— Czytałem książkę Dr. Karne, — rzekł Dr. Cushing, i muszę przyznać, że mojem zdaniem dowody z Pisma Śgo przechylają się bardziej na stronę przeciwną.

— Na hak z książką Dra. Karnego! — zawołał ojciec Bonnie.

— W przerośnym znaczeniu zapewne, — dodał Dr. Packthread.

— Oto Drowi. Karne, od wielkiej uczoności, przewróciło się w głowie, — mówił dalej ojciec Bonnie. — Ja niewierzę niezemu, czego niema w prostej angielskiej biblii. Nielubię, kiedy kto grzebie w hebrajszczyźnie, w łacinie i greczyźnie. No, weźmy naprzykład na los

szcześcia, — rzekł otwierając biblią, która właśnie na stole leżała, — ja wam tu zaraz przeczytam.

„Panowie czyńcie waszym niewolnikom, co słusna i sprawiedliwa“.

— Hm, hm! To nie to miejsce o którym myślałem, — oto to np:

„Słudzy, bądźcie posłuszni waszym panom.“

— Otóż widzicie, — właśnie to, czego chciałem: „Bądźcie posłuszni waszym panom!“ — A ci abolicyoniści, niechcą nam przyznać tego, że jesteśmy Panami.

— Gdyby niewolnicy czytać umieli, — odezwał się spokojnie Klayton, — zapewne więcejby uwagi zwrócili na to miejsce, któreś nam pan wprzód był łaskaw przeczytać. —

— Oczywiście, — odrzekł ojciec Bonnie, — gdyż ich interesem byłoby, przekreślać Pismo Śte. — Gdyby mi niechodziło o zgubny wpływ miłości własnej, to ja z mojej strony, gotów byłbym dać im w ręce biblią.

— My panowie, bo niemożemy popaść w podobne niebezpieczeństwo, — nieprawdaż? — zapytał Klayton.

— Powiadam ci, bracie Cuhsing, — mówił dalej ojciec Bonnie, niezważając na to zapytanie, — przeczytaj sobie książkę Flechtera. To mi książka! Napociłem się nad nią należycie, bo tam także pełno łaciny i hebrajszczyzny, ale wszystko przyzwoicie użyte. On tam zaczyna od stworzenia świata, prowadzi cię potem przez historią i literaturę wszystkich wieków, a następnie cytuje Ojców Kościoła. Jest tam i Chryzostom i Tertulian, i inni, — a prócz tego Plato, Arystoteles i wszyscy, jak się tam zwali starzy greccy filozofowie. Z téj książki, kto chce, może się wiele nauczyć, — i tobie bracie ra-

dzę, kup sobie ją i przeczytaj, a uspokoisz swoje sumienie.

— Według mnie, — odezwał się Dr. Paekthread, — byłoby daleko lepiej, gdybyśmy zamiast potępiać samą niewolę, zwrócili naszą uwagę, raczej na jej nadużycia.

— A co Pan liczysz do tych nadużyć? — zapytał Klayton.

— No, na przykład: rozłączanie familij, — odrzekł Dr. Paekthread, — i zakaz kształcenia niewolników.

— Sądziś pan więc, że niewolnik winien mieć przyznane prawo do swojej rodziny?

— Tak jest.

— W takim razie, powinny mu być przyznane środki, zapewniające, że prawo to będzie wykonane?

— Oczywiście.

— A więc musiałoby mu być także wolno wytoczyć proces, gdyby mu ktoś tego prawa zaprzeczał, — i stać w sądzie jako świadek?

— Tak jest.

— A czy pan sądziś, że Pan winien niewolnika stosownie do jego pracy wynagradzać?

— Naturalnie, w jakikolwiek bądź sposób.

— I niewolnikowi powinny przysługiwać środki, zabezpieczające mu wykonanie tego prawa?

— Bez wątpienia.

— Więc niewolnik musiałby mieć prawo posiadania własności?

— Tak jest.

— A prócz tego prawo kształcenia się, gdyby chciał tego?

— Tak jest.

— A więc, — rzekł Klayton, — jeżeli niewolnik ma prawem zapewnioną egzystencją, jeżeli ma prawo posiadania własności, i jeżeli mu wolno kształcić się, i stawać w obronie swoich związków rodzinnych, w takim razie przestaje być niewolnikiem; niewola bowiem polega jedynie, na prawnej niemożności posiadania tych przywilejów, — na tém, że człowieka uważa za nieżywą substancją, i oddaje go pod władzę drugiego, — że ludzi poczytuje *pro nullis, pro mortuis*. To co pan nazывает zniesieniem nadużyć, jest właśnie emancypacją niewolników. W ten też to sposób pragnę i ja przeprowadzić emancypacją, a najprzód chciałbym pozyskać ku temu celowi pomoc kościoła i duchowieństwa. Powiedz mi więc pan z łaski swojej, Drze. Packthread, co kościół dotąd uczynił w tej mierze?

Nastąpiła pauza kilka minut trwająca. Nareszcie Dr. Packthread odpowiedział:

— Zadawano sobie wiele pracy, w udzielaniu niewolnikom ustnie nauki religii.

— Tak jest, — potwierdził ojciec Bonnie, — i nawet tutaj w naszej okolicy okazują oni wielką ochotę do tej nauki. Ja sam bardzo wielu nauczyłem katechizmu, — teraz opowiada się im ewangelią.

— Ale, — odezwał się Klayton, — mnie się zdaje, że najprzód trzeba ich postawić w takim stanie, aby mogli wykonywać przepisy ewangelii. Na cóż bowiem przyda się prawie im kazania o świętości związku małżeńskiego, kiedy u nich mąż i żona niemają prawa dotrzymać sobie wierności? Według mnie jest to okrucieństwo, budzić ich sumienie w tym względzie, nieużywszy im wprzód potrzebnej prawa opieki.

— To co on mówi, jest szczerą prawdą, moi bracia,— rzekł Dr. Cushing z przyciskiem, — a my duchowni mamy obowiązek czuwać pod tym względem nad naszymi owieczkami zostającymi w niewoli. Zmuszeni jesteśmy np. nauczać ich, że panom swoim winni są nieograniczone posłuszeństwo, — a oto, co mi się zdarzyło w przeszłym tygodniu. Przyszła do mnie jedna dobra, pobożna Mulatka, po radę co ma począć. Pan jej żądał, aby z nim żyła jako kochanka, a ona ma męża, który mieszka na tej samej plantacyi. Cóż jej tu było poradzić? Ten człowiek posiada wielkie wpływy i mógłby być narobić wiele hałasu. Zresztą oporem nic innego by była niedokazała, tylko żeby ją sprzedano, i dostałaby innego pana któryby był jeszcze gorszy. Takie wypadki przykre są bardzo. Jabym bardzo był kontent, żeby coś można na to poradzić; ale to bięda, że jak tylko kto stara się, choć cokolwiek złagodzić te nadużycia, zaraz go okrzykną abolicyonistą. W takie to położenie wprowadzili nas ci półnoeni fanatycy.

— Tak jest; — odezwał się Dr. Baskum, nader poważnej powierzchowności duchowny, który przed chwilą dopiero był przybył. — Zresztą, jeden człowiek nie może zrobić wszystkiego. Na naszych barkach spoczywa teraz tyle interesów, że już więcej unieść niepodobna; — musimy starać się o rozszerzenie naszego kościoła. To jest ów potężny środek, który w końcu wszystko wyrówna. Musimy tak czynić, jak czynili Apostołowie; — trzeba nam się ograniczyć na opowiadaniu ewangelii, a ewangelia sama reszty dokona. Trudno świat w jednym dniu przerobić. Wśród dzisiejszych ciężkich okoliczności, niepodobna nam budzić nienawiść i wywoły-

wać fałszywe tłumaczenia, do jakichby dał powód wszelki ruch tego rodzaju. W tej samej chwili, w którejbyśmy zrobili jakikolwiek krok, któryby choć pozornie miał na celu naruszenie praw panów, powstałby ogólny krzyk na kościół, na państwo, na abolicją, i stracilibyśmy całą naszą władzę.

— Mnie się zdaje, — rzekł na to ojciec Dickson, — że najprostszą drogą dla nas byłoby tutaj: poczuć się do swego obowiązku, wypełnić go, a resztę zdać na Boga. Majaż nas w tej mierze wstrzymywać względy światowe?

— Zapewne, że tak być niepowinno, — ozwał się Dr. Packthread; — ale są zawsze dwa sposoby postępowania: mądry i nierozsądny. Powinniśmy zważać na czasy, i tylko to przedsiębrać, co się zdaje być zgodne z wolą Opatrzności. — Ja niechcę tutaj stanowczo oświadczać się w imieniu swoich braci; może przyjdzie czas, w którym będzie ich obowiązkiem, jawnie wystąpić w tej kwestyi, ale teraz powinni niejedno złe cierpieć i znosić, aby się wpływ ewangelii mógł ustalić i rozszerzyć. Rozumiem, że przy dzisiejszym stanie rzeczy, wielu niewolników nabędzie prawdziwej pobożności. — Bracia zdają się lękać, czy ich wykształcenie niepociągnie za sobą wielkiego niebezpieczeństwa, i może mają słusznie. Ustalenie związków rodzinnych u niewolników byłoby rzeczą nader pożądaną, gdyby je osiągnąć można było, bez poświęcenia rzeczy ważniejszych. Zresztą, królestwo Chrystusa nie jest tego świata. Apostołowie nawet, nieoświadczyli się nigdy wyraźnie przeciw nadużyciom niewoli.

— Zdaje mi się jednakże, — rzekł Klayton, — że zachodzi pewna różnica między nami, którzy żyjemy pod ustawą republikańską, która nam daje prawo wybierania naszych prawodawców, poprawiania i odwoływania praw naszych, — a Apostołami, którzy sami niewolnikami byli, i na ustawy żadnego wpływu mieć nie mogli. My sami stanowimy prawa, i dla tego odpowiedzialni jesteśmy za każde prawo niesprawiedliwe, którego znieść się nie staramy. Mamy prawo pisania, drukowania i mówienia, — i zyskiwania w ten sposób ogólnego przyzwolenia na reformę, i dla tego odpowiedzialni jesteśmy za to, jeżeli przeciwko niesłusznym prawom nieopowstajemy.

— A, to niechże mi Bóg przebaczy, żem dotąd tak niegodnie postępował! — zawołał ojciec Dickson. — Ale teraz, niech sobie inni robią co chcą, ja już niepoddam ucha, podszeptom cielesnym. Pójdę i bez obawy będę ludowi opowiadał słowo pańskie i pokoleniu Judy występki jego na oczy wyrzucać będę! Jedną tylko rzecz muszę powiedzieć naszym braciom północnym: Boleję nad tём że tak niepewnym przemawiacie tonem. Bracia wsi żyjący w Stanach protegujących niewolę, ulegają licznym pokusom, bo opinia powszechna jest przeciw nim. Im potrzeba wsparcia i zachęty od północnych braci. — A tymczasem jakże wy postępujecie? Wasze pobłażanie temu ciężkiemu grzechowi osłabia nas bardziej, aniżeli wszystko inne. Opinia powszechna cofa się wstecz, kościół psuje się, a kapłani jego wchodzą w sojusz z śmiertelnymi grzechami! Dzieci i młodzież gotują sobie wieczną zatrąę, przyzwyczajając się zawczasu do tyranii. Kraj nasz pelen jest więzień na niewolników, a o dusze

tych nieszczęśliwych co handlują niemi, nikt się nietroszczy. Biednej klassie białych pozwalamy tonąć w zbrodniach i niewiadomości, a niektórzy kapłani, jak np. i nasz brat Bonnie, zaczynają bronić tego grzechu przycaczaniem miejsc z Pisma Śgo! — Ach! Brat Calker mówi o kościele presbiteryańskim. Niestety! wśród ścian tego kościoła rozlana jest krew niewinnych, a on, aby dopiąć swęj jedności, gotów potępić tych, za których Chrystus umarł na krzyżu! — Bracia! Wy niewiecie co czynicie. Wyście szczęśliwi, że żyjecie w kraju, nad którym przekleństwo za ten grzech nie ciąży. Wasze kościoły, wasze szkoły, wasz przemysł i rękodziela postępują ciągle naprzód, gdy tymczasem u nas wstecz się cofają, a wy nieczujecie tego, bo nieżyjecie wśród nas. Ale miejcie się na baczności, bo niepodobna aby demoralizacya jednej części kraju, nieudzieliła się drugiej. Grzechy, które wy pobbazaniem waszém wzmacniacie i ośmielacie, za karę mogą z czasem i u was obrać sobie siedlisko. Proszę Boga, aby was od tego zachował! Ale Bóg jest sprawiedliwy, i dla tego drżę zarówno o was, jak o nas. A teraz bądźcie zdrowi bracia, — ja muszę w drogę. Wy mnie niechcecie słuchać, a ja téż niemogę przyjąć udziału w waszój radzie.

Ojciec Dickson powstał rzeczywiście i zabierał się do odejścia.

— Ależ powoli, bracie, — łagodząc go zawołał Dr. Cushing. — Niebierz tego tak bardzo do serca. Zostań z nami i pozwól żebyśmy po chrześcijańsku pogadali ze sobą!

— Muszę się oddalić, — odrzekł ojciec Dickson, — bo przyrzekłem mieć kazanie w jedném miejscu, i mu-

szę słowa dotrzymać. Myślałem, że przyszedłszy tutaj, potrafię czegoś okazać, ale widzę, że to wszystko na próżno. Bądźcie zdrowi bracia, — będę się modlić za was. —

— Radbym bardzo obszerniej z tobą pomówić w tym przedmiocie, ojcze Dickson, — rzekł Dr. Cushing.— Proszę cię przyjdź tu jeszcze do mnie. W tej sprawie tak trudno jest poznać prawdziwą drogę obowiązku...

Biedny Dr. Cushing, był jednym z tych ludzi, którzy podobni są do owych stacyonowanych okrętów, skazanych na to, aby się wiecznie na jednym miejscu kręciły, i służyły tylko za wskazówkę przyływu odpływu morza. Posiadał on pełne miłości serce, szlachetność, zapał, — słowem wszystko — tylko niemiął siły iść naprzód.

Klayton, który powziął już był przekonanie, że tutaj nie niewskóra, powstał także i oświadczył, że go interessa powołują do odjazdu, i że będzie ojcu Dickson towarzyszył.

— Co to za pocziwy człowiek ten Dickson! — zawołał Cushing wróciwszy do pokoju.

— Szlachetny umysł! — dodał Dr. Packthread.

— O, Dickson byłby nieocenionym, gdyby niemiął tej swojej monomanii, — rzekł Dr. Calker. — To jest całe jego nieszczęście. Jak tylko zacznie o tém mówić, ja już wcale go niesłucham. Wiem, że żadnych przedłożeń nieprzyjmie; spierać się z nim, to tylko czas daremnie stracony. — Już nie sto razy słyszałem jak tę rzecz rozbiegano.

— Jednak ja bym bardzo pragnął, żeby można coś zrobić w tym względzie, — rzekł Dr. Cushing.

— A któżby tego niepragnał! — odparł Dr. Calker. My wszyscy byśmy radzi byli, żeby się dało coś zrobić w tej mierze, — ale to niepodobna, doprawdy niepodobna. A teraz dosyć już o tém, rozważmy bliżej nasze interesa.

Rozdział VI.

KORA GORDON.

Powróciwszy do domu, Klayton odebrał list, który tutaj w całości przytaczamy:

„Panie Klayton!“

„Jestem obecnie wyrzutkiem społeczeństwa, i nieśmiem oblicza mego na świat pokazać. Nieśmiem wyjść wśród dnia, a to wszystko dla tego, że poważylem się stawić opór niesprawiedliwości i okrucieństwu. Panie Klayton, jeżeli godziło się waszym ojcom walczyć przeciwko jarzmu które ich gniotło i krew rozlewać, dla czegożby nam się godzić to samo niemialo? Wyście ani przez pół tyle niedoznawali udęczeń, co my. Wam nie naruszano waszych żon i rodzin, — was niekupowano, niesprzedawano, i niepędzono na targi jako bydłeta. — Kiedym czytał waszą historią, z trudnością przychodzi-

ło mi pojąć co wam mogło tak dalece dokuczać. Byliście otoczeni wszelkimi przyjemnościami i wygodami, byliście w stanie dostatnio żywić wasze rodziny, — a jednak niewahaliście się chwycić za oręż i krew waszą przelewać.“

„Rozważałem bacznie akt ogłoszenia waszjej niepodległości. Przytoczone w nim punkta są słabe i nieuzasadnione, ale rzucę pan okiem na prawa nad nami ciężące! — Gdyby wam wzbronione było uczyć wasze dzieci, gdybyście byli podzieleni między różnych panów i uznani za niemożących posiadać jakąkolwiek własność, tak jako muły które w pługu chodzą, — wtedy rewolucya wasza miałaby być słuszną podstawę.“

„A cóż się stało z naszymi w południowej Karolinie? Denemark Vesey był to mąż w całym słowa tego znaczeniu. Historia Jerzego Washingtona byłaby jego historią, gdyby się waszym była noga powinęła. — I cóż dla niego było główną podniętą do działania? Oto Pismo Śte i akt ogłoszenia waszjej niepodległości!“

„Ten akt corocznie 4go lipca slyszeli odeczytywany: Denemark Vesey, Piotr Poyers, i wszysey ci zaeni i dzielni mężowie, którzy chcieli iść za waszym przykładem. Niepowiodło im się, i wasi ich zamordowali! — Powiadano, że trudno pojąć, co ich mogło spowodować do takiego postępowania, — że mieli pożywienie i okrycie dostatnie, i dobrze byli utrzymywani. Czyż wasi ojcowie niemieli dostatniego pożywienia i okrycia, i czyż wybyście go także niemieli, choćbyście do dziś dnia pozostali byli prowincją angielską? Czyżbyście mimo tego niemieli lepszego życia, lepszego odzienia i lepszych praw jak my?“

„Słyszałem wykład tych praw z ust ojca pańskiego, słyszałem go z ust p. Jekyla, — i wy dziwicie się jeszcze, że ludzie przeciw takim prawom powstają? — To dla mnie jest nieodgadnioną zagadką.“

„Z pomiędzy wszystkich jednak niesprawiedliwości i krzywd które są naszym udziałem, nie mię tak nieoburza, jak dowodzenia niektórych waszych świętoszków, którzy okropne te nadużycia praw ludzkości usprawiedliwiać chcą, przywołując Pismo Śte na ich obronę. — Jeżeli tak jest, dla czegoż niedadzą go czytać niewolnikom?“

„Spodziewam się, panie Klayton, iż pan zechcesz to zrozumieć, iż mówiąc tutaj o Was, niemówię o panu osobiście, ale o całej klasie, do której pan należysz.“

„Za przychylność jaką mi pan okazywałeś, jestem panu serdecznie obowiązany, — może przyjdzie czas, w którym będę w stanie dowieść panu mojej wdzięczności. — Ale teraz muszę pana prosić o jedną jeszcze łaskę, której spodziewam się, że mi nieodmówisz przez pamięć anioła, który nas tak wczesnie opuścił. Mam siostrę, która równie jak ja, jest dzieckiem ojca Toma Gordona. Była piękna i dobra, — i jęj pan który miał wielką plantacyą nad Mississipi, zawiózł ją do Ochio, nadał jęj wolność i ożenił się z nią. Mieli dwoje dzieci: syna i córkę. On umarł niedawno, zostawiwszy dzieciom posiadłość swoją. Tom Gordon jest prawnym onęj dziedzicem. — Wniósł skargę, i przyznano mu dziedzictwo. Karta wolności uznana została za nieważną, i siostra moja wraz z dziećmi oddana została w nieograniczoną moc tego człowieka, bez nadziei jakiegokolwiek wsparcia przeciw niemu.“

„Pisała do mnie raz, że uszła z rąk jego, ale słysza-

łem potem, że została znowu pochwyciona. Świętobliwy pan Jekyl będzie zapewne wiedział o tém najlepiej. — Czybyś pan zatem niebył laskaw udać się do niego, zasięgnąć pewnych w tój mierze wiadomości i mnie ich udzielić?“

„List pod adresem pana Twichell, na stacyi pocztowej pod Kanemą, gdzie zwykle listy odbieramy, dojdzie z pewnością rąk moich. Jeżeli mi pan zechcesz tę łaskę wyświadczyć, bądź pan pewien wiecznej z mojej strony wdzięczności.“

„Harry Gordon.“

Łatwo sobie wystawić, że Klayton z niejakiem zadziwieniem i z wielką uwagą list ten odczytał. Był on napisany na grubym, siwym papierze, — na takim, jaki sprzedają zwykle po owych małych sklepikach, o których mówiliśmy już nieraz. Naturalnie, domyślał się tylko, gdzie się Harry ukrywał. Zadosyćczynienie jego prośbie poczytał za święty dla siebie obowiązek i natychmiast pojechał do C*, — miasta, w którém mieszkał p. Jekyl.

Zacny ten człowiek, zajęty był właśnie przeglądaniem i porządkowaniem papierów, odnoszących się do wielkiego majątku, który dopiero co był przeszedł w ręce Toma Gordona.

Za pretext do swych odwiedzin, Klayton wziął ostatnią wolą dziedziczki Kanemy, która umierając, poleciła jego pieczy sługi swoje, i zapytał, czy niewiadomo, co się stało z Harrym?

— Jeszcze nie, — odrzekł p. Jekyl pociągając w górę kohnierzyków. — Nasze plantacye w tój stronie, bardzo są nieszczęśliwie położone, z powodu sąsiedztwa bagien. One są powodem wielkiej straty czasu i pienią-

dzy. Trudno sobie wyobrazić co za kapitały pożerają te bagna; slyszalem jak wartosc ich szacowano na trzy miliony dolarow. Zbiegow naturalnie dochodzi sie prawnie; po pewnym przeciagu czasu ogloszani bywaja jako wyjeci z pod prawa, a wtedy ida strzeley i poluja na nich. Czasami zabijaja po dwuch i po trzech na dzień, ale w ogolnoscì, niewiele dokazaç sa w stanie.

— A wiec pan sãdzisz, — rzekl Klayton, który wcale niemial ochoty zwierzac sie p. Jekylowi, — wiec pan sãdzisz, ze i on sie tam ukrywa?

— O, niewatpie o tem! Wiadoma rzecz, ze widziano znów temi czasy czlowieka, który od wielu lat walęsa sie w okolicy tych bagien; — czasami znika on na kilka miesiecy, a potém naraz można go obaczyç lub slyszec o nim, ale nigdy tak, żeby go sie pochwyç udalo. Przekonany jestem, ze Murzyni z plantacyi znaja go dobrze, ale cóz, kiedy niemozna z nich nie wycisnac. O, oni sa niezmiernie przebiegli! To istne plemie oszustow!

— Pan Gordon, jakem slyszal, ma takze teraz i siostrę Harrrego, która mu wraz z nowém dziedzictwem przypadla? — zapytal znów Klayton.

— A tak, tak! — westchnal p. Jekyl. — Narobila ona nam niemalo klopotu. Uciekla do Cincinnati, i dopiero ja musialem ja sledzic. O, to niemalo trudow i pieniedzy kosztowalo! Gdyby nie grzecznośc i uslužnośc marszałka i jego podwladnych, niewiem czyby mi sie bylo udalo ja wynalezec. W Cincinnati jest bardzo wiele podobnych ludzi, w czasie wiec mego tam pobytu, bylem na jedném doroczném zgromadzeniu.

— A wiec sie panu nareszcie udalo, — rzekl Klayton.

Chciałem się właśnie pana zapytać, czyby jój p. Gordon niesprzedał?

— O, już ją sprzedał! — odparł p. Jekyl. Ona jest teraz w Alexandryi w handlu Beatona i Burna.

— I dzieci także?

— Tak jest. I w tój mierze ja sobie roszczyć pretensye do pewnej zasługi. Tom jest to człowiek trochę za gorących namiętności, i był prawie do wściekłości przywiedziony kłopotami, których nam narobiła. Nie wiem coby był z nią zrobił, gdyby nie ja. Wykazałem mu pewne długi których spłacenie niedało się uskutecznić bez wielkich ofiar, i namówilem go, żeby ją pozwolił sprzedać. — Jeżeli pan zatem chcesz nabyć tę kobietę, to myślę, że będziesz mógł zadosyć uczynić swemu życzeniu, gdyż o ile mi się zdaje, dalej niezostała jeszcze sprzedana.

Dowiedziawszy się w ten sposób wszystkiego co wiedzieć pragnął, Klayton puścił się w drogę do Alexandryi. Przybywszy na miejsce, zastał miasto wielce zajęte świeżym wypadkiem. Jakaś niewolnica, tak sobie opowiadano, która miała nazajutrz odejść z jedną partya Murzynów, zamordowała dwoje własnych dzieci. Usłyszawszy tę nowinę, Klayton, jakby instynktem przeczuł od razu, że tą kobietą była Kora Gordon.

Udał się prosto do sądu który miał śledztwo prowadzić w tój sprawie, i z trudnością przecisnąć się potrafił przez tłum nagromadzony w sądowej sali. Na ławie oskarżonych ujrzał czarno ubraną kobietę, której wychudła, troskami poorana twarz, nosiła na sobie jeszcze ślady dawniej piękności. Ostre jój rysy, nosiły na sobie wyraz niewzruszonej determinacyi. Przepyszne czarne jój

oży, błyszczaly szczególnym, dzikim ogniem, — a w całej postaci rozlane było jakieś tajemne poczucie tryumfu. Formalności postępowania sądowego zdawały się być dla niej całkiem obojętne. Nareszcie przemówiła głosem czystym i wyraźnym:

— Jeżeli panowie dozwolicie mi głosu, to wam oszczędzę niepotrzebnego trudu w przesłuchaniu świadków; — Szkoda tyle zachodu dla takiej drobnostki.

Na te słowa powstało ogólne natężenie ciekawości w całym zgromadzeniu, a urzędnik rzekł:

— Możesz mówić. —

Powstała, rozwiązała wstążki u kapelusza, spojrzała do koła po zgromadzeniu, i rzekła tonem, w którym mieszał się spokojny tryumf, z przedświadczeniem o własnej sile: —

— Chcecie wiedzieć, kto zamordował te dzieci? Otóż ja wam powiem. — Tu wżrok jej przebiegł śmiało po tłumie. — Ja je zamordowałam! —

Cisza pełna zdumienia nastąpiła wśród słuchaczy.

— Ja je zamordowałam, — powtórzyła raz jeszcze. — I szczęśliwa jestem, że to zrobiłam! — A chcecie wiedzieć dla czego je zabiłam? Bo je kochałam, — kochałam tak bardzo, że z radością oddałam moją duszę, aby tylko ich dusze uratować. Słyszałam jak niektórzy mówili, że uczyniłam to w uniesieniu, w szale, — że niewiedziłam com robiła. Ci co tak mówili, byli w błędzie, bo ja nie byłam wtedy ani uniesiona ani szalona, — wiedziałam com robiła, i dziękuję Bogu za to, że to zrobiłam. — Urodziłam się niewolnicą własnego ojca; stara, dumna, wirgińska krew płynie w moich żyłach, tak samo jak w żyłach połowy tych, których ka-

tujecie i sprzedajecie. Zostałam potém prawną małżonką uzeziwego człowieka, który czynił wszystko co mógł, aby mię zasłonić przed okrucieństwem praw waszych, i udarował mię wolnością. Moje dzieci urodziły się do wolności, i do wolności wychowały; aż oto syn mego ojca wytoczył przeciwko nam proces, i uczynił nas niewolnikami. Sędziowie i przysięgli dopomogli mu, wszystkie wasze prawa i ich wykonawcy stanęli po jego stronie, aby obalić prawa wdowy i sierót pozbawionych ojca. Sędzia wyrzekł, że mój syn tak samo niemoże posiadać własności, jak muł, który chodzi w pługu, i zostaliśmy wydani w ręce Toma Gordona. Niechę tutaj mówić, co on zacz jest, — nie tutaj miejsce na to. Bóg w dniu sądu ostatecznego wyświeci to najlepiej. — Zdołałam ujsć z memi dziećmi do Cincinnati; ale on śigał mię i tam, a prawa tameczne wydały mię jemu napowrót. Jutro miałam być pędzona z jedną partją niewolników, a dzieci opuścić. Mój syn miałby być niewolnikiem na całe życie... Moja córka...

Spojrzała po sali wzrokiem, który więcej mówił niż słowa.

— Gdy więc odmówili modlitwy i odśpiewali hymny, i niespodziewając się niczego, zasnęli snem spokojnym, wysłałam ich na łono Boga. Powiadają że to straszny grzech, — ale niechaj sobie będzie. Ja chętnie oddaję moją duszę na zgubę wieczną, byle tylko ich dusze wyratować. Teraz niczego się niespodziewam i nieobawiam; wszystko mi jedno gdzie pójde i co się ze mną stanie, kiedy oni są bezpieczni. A gdyby która z waszych matek niezrobiła tak samo, będąc na mojem miejscu, to albo niewie co to jst nieewola, albo niekocha swych dzieci tak, jak ja swoje kochałam. — Skończyłam.

Usiadła, — ręce skrzyżowała na piersiach, i utkwiała wzrok w ziemię, jak gdyby opinia i postępowanie sądu całkiem ją nieobchodziły.

Następnie odprowadzono ją do więzienia.

Klayton postanowił uczynić dla niej wszystko, co będzie w jego mocy. Własne jej zeznanie czyniło niepotrzebnym wszelkie dalsze dochodzenia. On jednak zamierzał próbować wszelkich sprężyn, aby obudzić dla niej współczucie swoich przyjaciół w tém mieście. —

Nazajutrz w towarzystwie jeduego duchownego poszedł do więzienia, i prosił o pozwolenie widzenia jęj. Gdy weszli do jęj celi, powstała z wielką godnością na ich przyjęcie, jak gdyby na przyjęcie wizyty w swoim salonie.

Klayton przedstawił swego towarzysza, jako jego przewielebność ojca Dentona. Oko jęj strzeliło błyskawicą, ale powściągnęła się i rzekła spokojnie:

— Panowie macie do mnie jaki interes?

— Przychodzimy, — odezwał się kapłan, — aby się zapytać, czy niemożemy być Pani w czém użyteczni?

— Nie, mój Panie, to niejest w waszj mocy, — odparła stanowczo.

— Moja przyjaciółko, — rzekł kapłan przyjaźnie, — radbym, aby było w mojej mocy udzielić ci pociech ewangelicznych.

— Niechę mieć nie do czynienia z kapłanami, którzy ustami kłamią ewangelią, a spokojnie patrzą na rozboje i okrucieństwa. Wasze ręce są krwią zbroczone, a więc niezbliżajcie się do mnie. Jestem tutaj w więzieniu, i niemogę żadnego stawić oporu, — ale jednak może to będzie mieć dla was jakie znaczenie, gdy wam

powiem, chociaż jestem tylko nędzną niewolnicą, że wolę pozostać sama.

Klayton wydobyl list Harrego, i podajac jej go rzekl:

— Przeczytawszy to, może pani zechcesz jutro o tej samej godzinie przyjac moje odwiedziny. —

Gdy przyszedl nazajutrz, klucznik odprowadzil go az do samej celi.

— Jest tam teraz jakaś dama, która z nią czyta.

— To niebędę im przeszkadzał, — rzekl Klayton, niepewny co począć.

— O, ja myślę, że im pan nie przeszkodzisz, — odrzekl klucznik.

Klayton položyl rękę na ramieniu klucznika, aby go zatrzymać. Przez drzwi slychać było dzwięk modlącego się głosu; — jakaś kobieta modliła się do Przedwiecznego, prosząc go o miłosierdzie nad nieszczęśliwą siostrą, której serce było bólem złamane. —

Po chwili drzwi się uchyliły i słodki głosik przemówił:

— Pozwolisz mi codziennie przychodzić do siebie, — nieprawdaż? Ja wiem co to znaczy cierpieć.

Stłumione łkanie było jedyną odpowiedzią, a potem slychać było nawpół tylko zrozumiałe słowa, które jednakże zdawały się zmierzać ku pociesze niewolnicy.

Potem otwarly się drzwi, i Klayton nagle stanął naprzeciw damy w grubej żalobie. Była wysoka i pięknie zbudowana; rysy jej twarzy były ostro odznaczone, ale piękne, i napiętnowane wyrazem wzniosłym i szlachetnym. Obydwoje zmięszali się i przez chwilę stali milcząc naprzeciw siebie. Nieznajoma w pomieszaniu

swojém upuściła rękawiczkę; Klayton podniósł ją, oddał jęj, — a ona ukloniła mu się i przeszła koło niego. —

Przez dziwne jakieś powinowactwo wspomnień, świętym zapalem błyszcząca twarz nieznamoméj, przywiodła mu na pamięć zachwycającą piękność Niny—i była chwila, w której mu się zdawało, jakoby Nina przesunęła się koło niego, i wraz z nią zniknęła. — Gdy potem spokojniéj rozważył to niepojęte uczucie, przyszło mu na myśl, że je to może wywołał zapach perfum, których Nina używała zwykle, a który zalecał go, gdy podniósł rękawiczkę. Tak to dziwny i tajemniczy jest wpływ, który wstrząsa elektrycznym łańcuchem naszego bytu.

Wszedłszy do celi, znalazł Klayton mieszkankę jęj w łagodniejszém usposobieniu. Na jęj licach znać jeszcze było ślady łez, a na łóźku leżała otwarta biblia; — zresztą zachowanie się uwięzionéj było równie przyzwoite i spokojne jak zawsze. Odezwała się pierwsza do Klaytona :

— Daruj mi pan wczorajsze takie niechętné przyjęcie. Niezawsze jesteśmy do tyła panami siebie, abyśmy to tylko robili, cośmy powinni. Dziękuję panu serdecznie, za jego dobroć dla nas. Jest wielu takich, którzy nam są przychylni, ale nieszczęśliwi w stanie nic uczynić.

— Czy mogę być pani w czémkolwiek pomoenym? Może postarać się pani o adwokata? — zapytał Klayton. —

— Niepotrzebuję, niechęć żadnego adwokata, — odrzekła. — Niemyślę sobie najmniejszój pracy zadawać w tęg mierze, niech prawo idzie swoją drogą. Jeżeli pan kiedy zobaczysz Harrego, zapewnij go o mojem przy-

wiązaniu, — oto wszystko o co pana proszę. A jeżeli mu pan dopomóż potrafiisz, — to zrób to. Jeżeli pan masz czas, wpływ po temu, lub zbytne pieniądze, którymbyś mu mógł ułatwić dostanie się do kraju, w którymby równych praw z innemi ludźmi używał, to błagam cię, uczyni to, a błogosławieństwo biednych spłynie na ciebie. Więcej niema o co pana prosić.

Klayton pożegnał ją. Dopiął on celu swęj podróży, i dowiedział się więcej nawet aniżeli pragnał. Wahał się przez chwilę, niewiedząc czy uwiadomić o wszystkiem Harrego. To co mu miał donieść, mogło tylko powiększyć gorączkę wewnętrzną, która go paliła. Obawiał się gwałtownego jakiego wybuchu jego namiętności. Ale z drugiej strony lękał się znowu, żeby Harry niepowziął tęg wiadomości w sposób mniej oględny, i dla tego usiadł, i napisał list następujący:

„Odebrałem twój list, Harry. Niepotrzebuję ci powiadać, jak bolesnem jest dla mnie wszystko co się stało, — jak mi to bolesne, tak ze względu na ciebie, jak ze względu na ową istotę, która obu nam była tak drogą.“

„Harry, — przyznaję otwarcie, że wasze położenie towarzyskie jest okropne, — i że macie prawo do tego wszystkiego, do czego mają prawo inni ludzie. Przyznaję, że cierpicie większy ucisk, aniżeli nasi ojcowie cierpieli, i gdybym mógł uwierzyć, że jesteście w stanie utworzyć i utrzymać rząd własny, przyznałbym wam prawo, użycia tych samych co oni środków, do dopięcia tego samego celu. Ale na teraz uwierzyć w to na żaden sposób niemogę, i myślę, że i ty zgodzisz się ze mną, gdy rzecz tę lepięj rozważysz. Niepodobna, abyście odnieśli

zwycięstwo, — rozjątrzycie tylko białych jeszcze bardziej przeciw sobie, i zniszczycie całą sympatyą, która coraz więcej dla was budzić się zaczyna.“

„Wiem, że to na nieczułość wygląda, kiedy człowiek używający swobody, radzi uciśnionemu i cierpiącemu, aby był cierpliwy; — a jednak ja inną radę dać ci niemogę. Moje stanowisko, nasze stanowisko, daje nam możliwość starania się o zniesienie praw które was gniożą. Niewidzę, dla czegoby stosunek panów i sług w państwie naszym, nie miał trwać i nadal, chociażby niewolnicy zostali ludźmi wolnymi. Jestem przekonany, że to byłoby zgodne zarówno z interesem panów, jak niewolników. Czy to prawda, czas pokaże, — a zmiana niezwodnie nastąpi.“

„Co się tyczy ciebie samego, to radzę ci, abyś się starał ująć do północnych Stanów. Ja ci dostarczę środków, abyś tam mógł rozpocząć nowe życie pod przyjaźniejszymi okolicznościami.“

„Bolesno mi, że ci o twojej siostrze smutnych wiadomości udzielić muszę. Zostawszy sprzedaną jednemu handlowemu domowi w Alexandryi, w rozpaczcy zabiła oboje swoich dzieci. Obecnie zostaje w więzieniu, pod inkwizycją. Byłem u niej i ofiarowałem jej wszelką pomoc na jaką mię stało. Ale ona odrzuciła wszystko, bo nie chce żyć, i nieusiłując bynajmniej bronić się, zeznała już istotę czynu. Nieżyczy sobie, aby ktokolwiek zajmował się jej obroną.“

„Prosiła mię tylko, abym cię zapewnił o jej niezmiennem przywiązaniu i serdecznej życzliwości dla ciebie. Cokolwiek później dowiem się o niej, niezaniebam ci donieść.“ —

„Po tém wszystkiém com ci w tym liście napisał, wystawiam sobie, jak on ci się musi wydawać twardym, zimnym i okropnym. Gdybym miał siostrę taką jak twoja, i gdyby równie oplakany los stał się jój udziałem, to wiem, żebym nie miał na tyle cierpliwości, aby którykolwiek z tych punktów rozważyć, — i dla tego obawiam się, że i ty jój mieć niebędziesz. A jednak krzywdę byś mi uczynił, gdybyś wątpił o mojem współczuciu, gdyż nieszczęście twoje czuję tak żywo, jakby ono było mojem własném, — i Boga biorę na świadectwo, że całe moje życie poświęcę na szukanie środków usunięcia bezprawia które was gnębi.“

„Ostateczne przesłuchanie twojej siostry, niezaraz jeszcze nastąpi, — ma ona przyjaciół, którzy zrobią wszystko co zrobić będzie można.“

Klayton powróciwszy do domu, opowiedział rodzicom skutek swych rokowań z duchowieństwem.

— Muszę wyznać, że na to niebyłam przygotowaną, — rzekła Mrs. Klayton.

— Ja przeciwnie, — odezwał się sędzia; — wszystko tak się stało jakem przewidział. Próbowalesz z Presbiteryanami, którzy są w bliskich stosunkach z naszą familią; teraz udaj się kolejno do episkopalnych, do metodystów, do baptystów, a przekonasz się, że ze wszystkiemi będzie ta sama historia. Prawie połowa z nich broni bezczelnie sprawy niewoli z Pisma Śgo; reszta uważa ją jako złe, ale boi się i nie jest w stanie nic uczynić.

— A więc niema już weale ludzi silnej wiary? — zawołała Mrs. Klayton.

— Ja przynajmniej nieznam żadnych, — odparł sędzia, — wyjąwszy Związkowych i Kwaków u nas, oraz wolnomyślących Baptistów i innych na północy; — ale ich liczba i wpływ są tak małe, że na ich pomoc niewiele można rachować. Pojedynczo biorąc, jest wielu takich, coby na seryo coś zrobić pragnęli, ale po większej części brak im wiary i nadziei, — tak jak mnie; a od gminy, od ogólnego społeczeńskiego kierunku, nie można oczekiwać żadnej pomocy w tym względzie.

Rozdział VII.

PUSZCZA.

Niemasz w naturze ludzkiej ciekawszego studium, jak rozważanie jednego i tego samego przedmiotu, ze stanowiska rozmaitych charakterów. Jest to rzecz niezawodna, że zmiana położenia i temperamentu, wpływa stanowczo na nasz sposób widzenia rzeczy. Ci wszyscy co nie są niewolnikami, chociażby najmocniej czuli okropność niewoli, zwykli jednak zapatrywać się na nią oczyma ludzi żyjących swobodnie. Niepojmują oni ceny wolności, bo zawsze byli wolnemi. — Aby całą tę sprawę słusznie i prawdziwie ocenić, trzeba jęj się koniecznie przyjrzyć oczyma tego, co się zgina pod jarzmem i w duszy czuje tkwiący zimny pocisk. Ludzie zwykle łatwo pocieszają się po troskach cudzych, i z zimną krwią mówią i sądzą o tém, coby ich do najwyższego doprowadzało uniesienia, gdyby tego sami doświadczyli. — Widzieli

śmy co rozumieją o niewoli panowie, co rozumieją o niej dobrzy ludzie w ogóle, — ale trzeba także zobaczyć co o niej sądzą i jak ją czują niewolnicy, i dla tego musimy znów poprowadzić czytelnika w samotne ustronie wśród bagien.

Było to jednego spokojnego, pięknego letniego dnia popołudniu. Powietrze przepełnione było strumieniami złotego światła, w którym wierzchołki drzew kołysały się nawpół sennie, szepcząc coś z cicha do siebie. Dziki winograd który w tysiącznych girlandach zwieszał się do koła polany, świecił purpurowemi gronami.

Mała osada liczyła teraz między swemi mieszkańcami starego Tiffa z dziećmi i Harrego z żoną. Tiff i dzieci znaleźli pomieszczenie w domku wdowy, której mąż padł ofiarą strzelców. Dla Harrego i Lizety stanęła nowa chałta, połączonemi siłami wszystkich zbudowana obok drugich.

Tiffa można było widzieć, ze zwykłą pilnością zajętego okopywaniem ziemniaków na małym półku. Dzieci uganiały się wesoło do koła niego za kwiatkami i winogronami.

Dred, którego całą noc w domu niebyło, leżał na ziemi w cieniście miejscu polany, a przed nim leżała stara, zużyta biblia. Była to biblia Denemarka Veseya.

Leżał z łokciami opartymi na ziemi, z głową wspartą na rękach, a wielkie czarne jego oczy, błędziły to po wierzchołkach drzew, które się w złotawym kołysały przezroczu, to po białych chmurkach, które przeciągały ponad drzewami. W Dredzie ukryte były żywioły, które przy innych okolicznościach, byłyby go niezawodnie na poetę wykształciły.

Jakkolwiek ciało jego było silne i potężne, posiadał on jednak tę drażliwą bystrość, która duszę stawia w związku ze wszystkimi siłami natury. Jedyłą książką, którą często czytywał, która wykarmiła i wykształtowała jego duszę, była bilia, — książka odznaczająca się przedewszystkiem zgodnością, w jakiej zostaje z naturą. —

Dred rzeczywiście z organizacyi swęj i usposobienia umysłu, podobny był do owych mężów, którzy dawniejszemi czasy zamieszkiwali na puszczy, i czerpali w niej natchnienie.

Jest coś w naturze ludzkiej, co sprawia, że wszyscy cierpiący wielki ucisk, a niemający siły do jego odparcia, cheiwie przywiązują się do myśli o sędzie ostatecznym, — sędzie, na którym ukaże się Syn Boży, w całej swojej chwale, otoczony aniołami, i sądzić będzie wszelkie zbrodnie ziemi. Ta też myśl przeważała w duszy Dreda, tak dalece, że wszystko prawie do niej odnosił. Przez cały czas cholery był on w dzikiem, uroczystem uniesieniu; dla niego, była ona zerwaniem jednej z pieczęci, głosem trąby Archaniola.

Mimo tego, człowiek ten nikomu źle nieżyczył. Kiedy myślał o planach powstania i o rozlewie krwi, któryby musiał być naturalnem jego następstwem, czynił to ze spokojnością i niezachwianą determinacją człowieka, który się uważa za narzędzie kary w ręku Najwyższego. Chociaż dzikie i samotne jego życie niebyło ku temu sposobne, posiadał on jednak pewną przyjacielską, zniewalającą łagodność, która na dzieci i na słabe zwierzęta największy wpływ wywiera.

W godzinach wolnych od zatrudnień, lubił zabawiać się próbując swojej przewagi nad królestwem zwierzęcém; — zwabiał z drzew ptaki i wiewiórki, i karmił je. W tym celu, w myśliwskim swoim ubiorze, nosił zawsze trochę zboża.

Kiedy właśnie leżał zatopiony w marzeniach, usłyszał, jak Teddy, który był niedaleko niego, wołał na siostrę:

— Oh, Fanny! Pójdź jeno przypatrz się tej wiewióreczce, — jaka ona ładna!

Fanny przybiegła z pośpiechem.

— Oho! Już jój niema! — Skryła się za drzewo! —

Dzieci tak były zainteresowane, że nieuważały, jak blisko były Dreda. On obrócił się ku nim twarzą, popatrzał na nie z zadowoleniem, z uśmiechem prawie, i zapytał:

— Chcielibyście ją jeszcze zobaczyć? — To poczekajcież troszkę.

Powstał, posypał kilka ziarenek przed sobą, a potem usiadłszy na ziemi, począł się z cicha odzywać takim głosem, jakim wiewiórka wabi swoje młode. Po chwili, Fanny i Teddy zadrżeli z radości, ujrzawszy parę małych oczek błyszczących z pomiędzy liści, a następnie i całą ich właścicielkę, małą skoczną wiewióreczkę, która przybiegłszy, cheiwie ziarenka zbierać poczęła. Dred, utkwivszy oczy w zwierzątku, nieprzestawał gwizdać z cicha. Wkrótce ukazały się jeszcze dwie, które poszły w ślad za swoją towarzyszką. Dzieci śmiały się serdecznie, widząc jak pierwsza wiewiórka wbiegła Dredowi na rękę, którą położył na ziemi, a niedługo i dwie drugie poszły za jój przykładem. Dred podniósł

je z wolna w górę, pogłaskał z lekka, i niebawem oswoił zupełnie ze sobą. Dla zabawy dzieci, wpuścił je do swojej torby myśliwskiej, z której wyjadły znajdujące się w niej zboże. Skończywszy, wybiegły i poczęły skakać po nim, rewidować mu kieszenie, i nareszcie schowały mu się pod myśliwską bluzę, jak gdyby od dawna oswojone.

Fanny bojaźliwie wyciągnęła rączkę.

— Czy one pójdą i do mnie? — zapytała.

— Nie, kochaneczko, — odpowiedział Dred z uśmiechem, — nieznają cię. — Z nowej ziemi zdjętą będzie wszelka nieprzyjaźń, — i wtedy przyjdą do ciebie.

— Radabym wiedzieć, co on rozumie przez nową ziemię, — szepnęła Fanny.

Podziwienie dzieci zdawało się sprawiać Dredowi pewną przyjemność, którą zresztą każdy łatwo pojmie. — Postanowił więc pokazać im jeszcze inne swoje sztuki. Las brzmiał wieczornym śpiewem ptaków. Naraż Dred odpowiedział jednemu ze skrzydlatych śpiewaków do złudzenia podobnym głosem. Ptak zrozumiał go widać i odpowiedział mu znów z wielkim zapalem, i zawiązała się między niemi na chwilę formalna rozmowa.

— Widzicie, — rzekł Dred do dzieci, — że umiem język ptasi. Po dniu wielkiego sądu, wybrani na nową ziemię, będą wszyscy z ptakami i zwierzętami rozmawiać. Każdy gatunek ptaków ma swój osobny język, w którym wskazuje ludziom jak Pana chwalić powinni, a porzucić swoje złości. Ale grzesznicy niesłyszą tego, bo ucho ich głuche jest na te głosy.

— Niewiedziałam, że to tak jest, — rzekła Fanny niedowierzając. — A zkad się ty tego nauczyłeś?

— Duch pański mi to objawił, moje dziecko.

— A co to jest duch Pański? — zapytała Fanny, — która śmielszą stała się do Dreda, od chwili, gdy ujrzała, jak głaskał wiewiórkę.

— Jest to duch, który mówił przez dawnych Proroków, — odrzekł.

— To on ci powiedział co mówią ptaki?

— Ja jeszcze niejestem doskonały w świętości. Ale ptaszki latają wysoko, aż popod niebo, i tam uczą się potrosze języka aniołów. Ja nigdy niezabijam ptaków, bo Bóg uczynił je pośrednikami między nami a aniołami. —

— Cóż ci jeszcze więcej powiedział duch? — zapytał Teddy.

— Pokazał mi że liście mają także swój język. I gdy się podniosłem, ujrzałem na liściach i na wszelkich żyjących tworach, słowa dziwnemi popisanę znakami, których bezbożni nierozumieją, ale które dla wybranych będą czytelne. A znaki te zwilżone są krwią, a krew ta jest krwią Baranka, która jako rosa z nieba zstępuje. —

Fanny niemogła tego zrozumieć.

— Cóż to za jedni są ci wybrani?

— Są to owe sto czterdzieści cztery tysiące tych, którzy idą za Barankiem, gdziekolwiek on idzie. A aniołowie mają rozkaz i mówią: „Nietykajcie ziemi, dopóki owi mają pieczęć na czole.“

— Czy sądzisz że i ja mieć będę taką pieczęć? — zapytała Fanny, mimowolnie ręką sięgając do czola.

— Tak jest, — odrzekł Dred, — tacy jak ty należą do królestwa niebieskiego.

— Czy ci i to duch powiedział? — pytała dalej Fanny z pewną obawą. —

— Tak jest; duch mi wiele rzeczy ukazał. Dał mi poznać żywioły i obroty planet, kolysanie się morza i zmianę pór roku.

Fanny popatrzała na niego z niejakiem powątpiewaniem, wzięła swój koszyczek z winogronami, i odeszła zwolna, z postanowieniem, że się Tiffa o to wszystko rozpyta.

W tój chwili zaszeleściło coś w gałęziach dębu pod którym leżał Dred, i Harry skoczył z pomiędzy nich na ziemię. Dred zerwał się na jego powitanie.

— No, cóż tam słyhać? Przyjdą?

— Tak jest, — dziś o północy będą tutaj wszyscy. A teraz patrzaj co dostałem, — rzekł Harry dobywając listu z kieszeni.

Był to list Klaytona do niego. Tajemnicze rysy twarzy Dreda, na widok listu, przybrały naraz wyraz roztropny, a nawet przebiegły. Usiadł na ziemi, rozłożył papier na kolanach, i palcem wodził po piśmie. Niektóre miejsca czytał po dwa i po trzy razy z wielką uwagą, a gdy skończył czytanie, siedział przez chwilę w milczeniu z oczyma w ziemię wlepionemi. Koniec zdawał się go szczególniej poruszać. Wydał jęk przytłumiony.

— Harry, — odezwał się nareszcie, — przyjdzie dzień w którym Pan czarę bojaźni z rąk naszych weźmie, a odda ją w ręce tych, którzy nas ciemiężą. Dusza nasza przepelniona jest gniewem przeciwko tym, którzy żyją w zbytkach, i wzgardą przeciwko dumnym. Prorocy fałszywie prorokują, panowie rządzą jak im się podoba, a ludzie radzi są temu. Ale jak się to wszystko skoń-

czy? Ich własna złość chłostać ich będzie, a zepsucie ich ukarze je. — Harry, — mówił dalej z dzikim zapale-
m, — ja pościłem i modliłem się Panu, i całą noc le-
żałem na twarzy, a znak nieprzychodzi! Baranek jeszcze
jest cierpliwy, a otwarcie pieczęci zwleka się; — a prze-
cież Pan nakazał mi abyśmy czuwali, i gotowali drogę
na jego przybycie. Pan powiedział mi: „Powiedz to naj-
starszym i roztropnym mężom, i przygotuj ich serea.“

— Jeszcze jedna rzecz napelnia mię niepokojem, —
rzekł Harry. — Hark który mi ten list przyniósł, za-
trzymany został gdy wracał, i boję się, czy go za to
niespotka jaka nieprzyjemność. Tom Gordon jak furja
sroży się nad ludźmi na plantacyi. Przedtem doznawali
oni bardzo łagodnego obejścia, naturalna więc rzecz że
o tej zmiany tak naglęj przywyknąć niemoga, i wszy-
stko tam jest ogromnie wyteżone. Tom przyjął dozorcę,
starego Hokum, znanego z okrucieństwa i nیکzemności,
i zdał zupełnie ludzi na jego ręce; — sam pije, hula,
zajada ostrygi, i klnie się, że w leb strzeli każdemu,
kto przyjdzie do niego na skargę. Hokum ma mu płacić
rocznie pewną sumę, a cò nad to zarobi, to do nie-
go należy. Tom trzyma sobie przytém dwie dziewczyny,
które kupił dla siebie i swoich przyjaciół, — tak
samo jak chciał kupić moję żonę.

— Bądź cierpliwy, — Harry, — to są wszystko wznio-
słe chrześcijańskie tendencye! — zawołał Dred z głębo-
ką ironią.

— Boję się o Harka, — powtórzył Harry. — Jest to
najdzielniejszy pomiędzy dzielnymi; gotów wszystko dla
nas uczynić. Ale jeżeli go wysledzą, niebędą mieć nad
nim litości.

Dred spojrział ponuro w ziemię.

— Hark miał tutaj przyjść dziś w nocy?

— Tak jest, spodziewam się że go zobaczymy.

— Harry, jeżeli oni tu w nocy przyjdą, to przeczytaj im akt ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych; niech każdy porówna ucisk jaki cierpieli ich ojcowie z uciskiem jaki my cierpimy, i niech Bóg rozsądzi między nami. Ja muszę iść szukać rady Pańskiej.

Wstał i podskoczywszy uchwycił się jednej gałęzi dębu, uniósł się na nią w górę, począł potem pisać się po pniu i po chwili zniknął z oczu Harrego.

Harry poszedł na drugi koniec polany, gdzie stała jego chałka. Lizeta wybiegła naprzeciw niemu i objęła go za szyję rękoma.

— Ach, jakaż ja szczęśliwa, żeś wrócił przecie! — zawołała. — To tak okropnie pomyśleć sobie, że cię Bóg wie co spotkać może, jak cię niema! — Harry, mnie się zdaje, żebyśmy tu mogli być bardzo szczęśliwi. Patrzajno, jakie tu śliczne łóżeczko usłałam ze mchu i liści. — Kobiety obiedwie bardzo są dobre, a obecność poczciwego Tiffa bardzo mię także cieszy, — z nim i z dziećmi, jakoś tu zaraz weselęj. Patrzaj co to winogron nazbierałam poszedłszy z niemi dzisiaj popołudniu. A o czém to ty mówiłeś z tym tajemniczym człowiekiem? Wiesz co Harry, że ja się go boję. Powiadają, że to prorok. Czy ty wierzysz temu?

— Niewiem, moje dziecko, — odrzekł Harry roztrągniony.

— Nie przebywaj z nim długo razem, — prosiła go Lizeta, — bo cię zrobi takim ponurym jak sam jest.

— Czyż mnie potrzeba, żeby mię kto ponurym robił? Czyż sam z siebie niedosyć ponury jestem? Czyż niejestem wygnańcem wraz z tobą Lizeto?

— O, to znowu niema nic tak strasznego, być wygnańcem, — pocieszała go Lizeta, — Bóg przecież i dla nas każe rosnać dzikim gronom.

— Prawda moje dziecię, masz słusność.

— A słońce tak pięknie świeci dziś popołudniu!

— Prawda, — rzekł Harry, — ale przyjdzie także czas zimnych wichrów, deszczu i mrozu.

— No, to wtenczas pomyślimy co począć ze sobą, — ale teraz niezaniedbujmy tego pięknego popołudnia, i tych winogron.

Rozdział VIII.

JEGAR SAHADUTHA.

O północy Harry wstał z łóżka, i wpatrzył się w nową pomrokę. Las otaczający polanę, podobny był do czarnego, nieprzejrzącego pasa, a powyżej, gdzie się szczyty drzew rysowały na horyzoncie, widać było ciemno szafrowe nocne niebo, miliardami gwiazd zasiane.

Harry otworzył drzwi chaty i wyszedł. Do koła panowała taka cisza, że słychać było każdy szelest listka na drzewie. Stał i słuchał. Po chwili, daleko w krzakach dało się słyszeć lekkie świstanie; Harry odpowiedział na nie podobnie. Niebawem zaszleściło coś w gęstwinie i stłumione głosy doszły do jego ucha. Nareszcie poruszyły się gałęzie nad jego głową. Harry przybliżył się do drzewa.

— Kto tam? — zapytał.

— Obóz sądu Pańskiego, — była odpowiedź, i czarna postać zeskoczyła na ziemię.

— Hannibal? — szepnął Harry.

— Tak, Hannibal, — odrzekł głos.

— Bogu dzięki!

Gałęzie dębu szeleściły bez ustanku, i jeden po drugim, nowi przybysze zeskakiwali za ziemię i każdy wymieniał swoje nazwisko.

— Gdzie jest prorok? — zapytał jeden.

— Nie masz go, — odrzekł Harry, — ale niebójcie się, przyjdzie zaraz.

Przybyli poczęli się zwolna przechadzać, rozmawiając z cicha.

— To tu niema jeszcze nikogo z Gordonowskiej plantacyi? — zapytał Harry niespokojnie.

— Już oni tu przyjdą, — uspakajał go jeden z przybyszów. — Może stary Hókum dzisiaj dłużej czuwał, — ale oni mu i tak splatają figla.

W téj chwili cała grupa nadeszła właśnie na to miejsce, na którym stało uschnięte drzewo, o którym wspominaliśmy już wyżej, a z którego zwieszające się mchu girlandy, wśród nocnej pomroki wiewały się do żalobnych wstążek podobne. Na grobie, który niedawno przybył do drugich, Dred wystawił był prosty nagrobek z pniaków, mchu i liści.

Na najwyższym pniu zatknięta była gałąź jodłowa, którą Harry w téj chwili zapalił. — Płomień objął ją w mgnieniu oka, i oblał jasném, czerwoném światłem stojące do koła czarne postacie.

Było ich dwanaście męża, — Mulatów, Kwadronów i Murzynów. Na wszystkich twarzach spoczywał wyraz pełen surowej powagi i uroczyści.

Wszyscy jak stali podali sobie ręce, i wykonali wspólnie przysięgę, że jeden drugiego nie zdradzi. Zaledwie się to stało, Dred tajemniczo wynurzył się z ciemności i stanął wpośród nich.

— Bracia, — rzekł do zgromadzonych, — to jest grób waszego brata, który niechciał aby żona jego na łup białym oddana była, i dla tego uciekł na puszcę. Ale oni znaleźli go, ich psy rozdarły go i lizały krew jego; — tutaj go pochowałem. Dla tego wzgórek ten nazwany będzie Jegar Sahadutha. Bo Bóg Abrahama i Nahora, Bog ich ojców, rozsądzi pomiędzy nami. Ten kto zapomni o przysiędze, i kto zdradzi braci, niechaj będzie przeklęty, niechaj mu ręka u ramienia odpadnie, i niech zgnije kość w jego ramieniu! — Patrzenie, — ten wzgórek będzie wam świadkiem, albowiem on zrozumiał słowa któreście wyrzekli.

Ciche ale uroczyste „Amen“ zabrzmiało do koła.

— Bracia, — mówił dalej Dred, kładąc rękę na ramieniu Harrego, — Pan kazał Mojżeszowi być synem córki Faraona, aby nabył biegłości w umiejętnościach egipskich, i lud swój wyprowadził z domu niewoli. — A potem zabiwszy jednego Egipcyanina, Mojżesz uszedł na puszcę i tam zostawał jakiś czas, dopóki nie nadszedł dzień pański. W podobny sposób podobało się Panu rozrządzić bratem naszym. On wam objaśni prawa Egipcyan, — a ja wam powiem co mi Pan objawił.

Związkowi usiedli na grobach rozsypanych do koła, a Harry zaczął:

— Kto z was bracia przytomny był uroczystości 4go Lipca?

— Ja! — Ja także! — Wszyscyśmy ją widzieli! —
zabrzmiała odpowiedź.

— Bracia! Tęj nocy opowiem wam historią tęj uroczystości. — Przed laty, lud ten był małecki, ubogi, wzgardzony i rządili nim ludzie, których król angielski przysłał, i którzy jak powiadano, lud ten uciśkali. Postanowił więc wybić się na wolność, zaprowadzić własną formę rządu i własne prawa ustanowić. Dla tego ojcowie naszych panów dzisiejszych, nazwani zostali buntownikami, i gdyby byli zostali zwyciężeni, przywódczy ich byliby powieszeni, i wszystko byłoby się na tém skończyło. Gdy się już zgodzili na ten krok, zebrali się razem i podpisali papier, który miał okazać światu dla czego tak czynią. Słyszeliście akt ten czytany przy odgłosie trąb i rozwiniętych chorągwiach; słuchajcież go teraz siedząc na grobach braci waszych, których oni pomordowali.

I przy] czerwonym świetle jodłowej pochodni, Harry przeczytał ów dokument pamiętny po wszystkie czasy. Potém rzekł:

— Bracia, słyszeliście jakie to uciążliwości dały panom naszym prawo do rozlewu krwi. Powstali przeciwko swemu królowi, a gdy on wojsko swoje posłał do ich kraju strzelali doń z okien domów, z po za stodół, i z za drzew, gdzie się tylko pokazało, dopóty, dopóki nie wystawili armii, i niebyli w stanie zmierzyć się z niem w otwartém polu.

— A tak, — rzekł Hannibal, — słyszałem jak ojciec mego pana o tém opowiadał: on należał do tego.

— Niechaj Bóg rozsądzi między niemi a nami, — mówił dalej Harry, — czy prawa które nad nami postano-

wili, nie są gorsze od tych pod któremi oni zostawali. Uskarżali się, że niemogą w sądach znaleźć sprawiedliwości, — a cóż mamy czynić my, którzy nawet przystępu do sądów niemamy?

Potém w silnych i namiętnych wyrazach opowiedział niesprawiedliwość dokonaną na Milly, i pewnym, uroczystym głosem, powtórzył ową mowę sędziego Klaytona która ognistemi głoskami wypisała się w jego pamięci. Opowiedział także jak się miała rzecz z jego własnym kontraktem, i jak długoletnie jego usługi i praca za nie poczytane zostały; — wreszcie dodał historią swojej siostry, przy której łkania głos jego stłumiły. Słuchacze siedzieli do koła niego z uroczystą powagą, i tylko kiedy niekiedy wyrwał się z ich piersi jęk przytłumiony.

Potém powstał Hannibal.

— Ja w Wirginii miałem pana, — rzekł, — który był kapłanem metodystowskim. Ten sprzedał najprzód moją żonę, i dwoje dzieci do Orleanu, a potem sprzedał i mnie. Drugą moją żonę wzięto znów w długu.

Następnie powstał młody Kwadron.

— Moja matka była własnością jednego kapłana z Kentuky; — ojeiec mój był poczciwym, pracowitym człowiekiem. Matka spodobała się jednemu białemu, ale niechęciała mieć z nim nic do czynienia, i powiedziała to swemu panu, prosząc go aby ją wziął pod swoją obronę. To jednak nie niepomogło; pan ją sprzedał. W przeciągu jednego roku włosy jęj całkiem pobielaly i dostała pomieszania zmysłów, które nieopuściło jęj aż do śmierci.

— Ja to mógłbym opowiedzieć ładną historią, — odezwał się niemłody już, niski, ale barczysty Murzyn, któ-

rego twarz świadczyła o wielkiej energii. Jabym mógł opowiedzieć historią!

— To mów Mondaju, — rzekł Harry.

— Co tutaj gadać o prawach? Ja wam opowiem co na własne oczy widziałem. Mój brat Sam, pracował wraz ze mną, na wielkiej plantacyi w Wirginii, należącej do Mortonów. Otóż oni wyprawiali jednego razu wesele, a że niemieli pieniędzy, więc sprzedali kilku niewolników, a między niemi i Sama, Tomowi Parker; bo Tom Parker zawsze w takich razach jest gotów na usługi. Ten znów sprzedał go niejakiemu Southerowi, okropnie ordynaryjnemu białemu człowiekowi, który mieszka w lasach. Biedny Sam o mało nieumierał z głodu u niego; musiał sobie więc radzić jak mógł. Zawsze tedy to to, to owo wymieniał na żywność w sklepiku Stonego, — a Souther mu powiedział, że zje sto djabłów, jak on go złapie“. — Otóż jednego dnia, gdy dostrzegł, że mu coś z jego rzeczy brakuje, przyszedł do domu, i przyprowadził Stonego, i jeszcze jednego człowieka, — który się nazywał Harwey, i powiedział Samowi, że teraz dostanie za swoje. Przywiązali go tedy do słupa i Souther począł go krajać, kłuć i szarpać na nim ciało; a potem piekli go żarzącymi węglami, i oblewali wrzącą wodą. Sam był nadzwyczaj silny, — ale oni go tak obrabiali całą noc, że nareszcie umarł, a oni kości jego porozrzucali w $\frac{z}{z}$ ędzie. Teraz, uważajcie bracia co się potem stało. Mój pan i wielu panów okolicznych powiadali, że Souther niegodzien jest żyć na świecie, i że ta sprawa musi pójść pod sąd. Jakoż tak się też i stało; a ponieważ to był mój brat, więc pilnie się przysłuchiwałem, co oni też tam powiedzą. Otóż najprzód

powiedzieli, że to niebyło morderstwo, bo niewolnicy niesą ludźmi, więc też ich i mordować niemożna. Potém znów, obrońca przeciwnéj strony długą bardzo mowę przeczytał, w której dowodził, że niewolnicy są ludźmi, — że są ludzkiemi stworzeniami. Na to znów adwokat tamtéj strony odpowiedział, iż niema żadnego dowodu, że Souther chciał go zabić, — że panu służy prawo karania niewolnika, jak uzna za stósowne, a zkąd on mógł wiedzieć, że go to o śmierć przyprawi? — I różnie tam jeszcze radzili i gadali, aż nareszcie osadzili przysięgli, że to było „morderstwo drugiego stopnia.“ Wielki Boże! — jeżeli to było morderstwo drugiego stopnia, to jakież to jest stopień pierwszy! — Powiedzieli tedy, że musi iść na pięć lat do więzienia. Ale myślicie może że poszedł! Broń Boże! Znalazł z łatwością sposób uwolnienia się od tego; poszedł do wyższego sądu, gdzie powiedzieli sędziowie, że panu niemoże być nie za to, choćby niewiem jak bił i karał niewolnika; że zawsze trzeba stawać w obronie pana, choćby niewiem jak był okrutny.

— No, bracia, co o tém sądziecie? — rzekł Murzyn skończywszy opowiadanie.

W téj chwili nowa osoba pojawiła się wśród zgromadzenia. Przybycie jéj zrządziło zrazu zadziwienie i przestach, które w krótkce przeszły w oznaki radości i przychylności.

— Przyszedłeś przecie Henry, — czy to ty naprawdę? — zapytał Harry. — Przybyły obrócił się twarzą tak, że światło księżyca na nią upadło, a Harry przeląkł się wyrazu jaki na niej był wypiętnowany.

— Na miłość boską, Henry, co to znaczy? Gdzie jest Hark?

— Nie żyje!

Jak gdyby kula ugodzony, podskoczył Harry i krzyknął:

— Nie żyje!?

— Tak jest, umarł przecie. Wczoraj wieczór zabili go powoli. —

— Przeczuwałem to! Lękałem się tego! — jęczał Harry. — O Harku! Harku! Harku! Niechaj Bóg o mnie zapomni, jeżeli ja zapomnę twojej śmierci! —

Związkowi otoczyli w koło przybyłego, a on opowiadał im, jak późny powrót Harka do domu, ściągnął na niego podejrzenie, że zostaje w związkach z Harrym; jak zeszli się Tom Gordon, Hokum i jeszcze dwaj ich towarzysze, wszysey pijani, i chcieli biciem zmusić go do zeznań, — jak krzyki jego przez całą przeszlą noc wypłaszały sen ze wszystkich chat na plantacyi, — jak wreszcie umarł niezdradziwszy nikogo. —

Gdy skończył, okropna cisza zaległa do koła.

Dred, który cały czas siedział z głową opartą na kolanach, jęcząc z cicha, jak człowiek staczający walkę z własnymi uczuciami, podniósł się wreszcie i rzekł uroczystym głosem.

— Jegar — Sahadutha! Bóg ich ojców niech rozsądzi pomiędzy nami! Jeżeli oni mieli prawo powstać przeciwko uciskowi który ciążył nad niemi, jakże śmia nas za to potępiać? Albowiem sąd odwrócił oczy i sprawiedliwość jest wypędzona; prawda porzucena została na drodze, a bezstronność zbliżyć się niemoże. Tak, niema prawdy, a ten który się od złego odłącza, staje się jego łupem. Nieumieją się nawet wstydzić ani rumienić. Grzeszą jawnie jako Sodomici i niekryją się. Pospolity człowiek

ugina karku, a człowiek wielki uniża się, i dla tego niema dla nich przebaczenia, mówi Pan!

Dred zamilkł na chwilę i stał z podniesionemi do góry rękoma. Czarna jego postać, podobna do chmury niosącej burzę, wstrząsaną elektrycznym ogniem, zdawała się drgać i rosnać. W tej chwili można go było porównać do straszliwego posagu, wykutego na to, aby ludziom uzmysłwić tę mściwą sprawiedliwość, przed którą strach i bojaźń zdejmują całą naturę.

Drżał, ręce mu się trzęsły, z twarzy spływał mu pot grubemi kroplami, — ponure oczy jego rozszerzyły się od niezwykłego, gwałtownego wzruszenia. Nareszcie z ust jego wydarły się słowa, głębokimi, piersiowemi brzmiące tonami, podobne do głośniejszemu skargi lwa zranionego. A mówił językiem, w którym tak już był wprawny, tak płynnie się wyrażał, iż zdawało się, jakoby z wyższego mówił natchnienia.

— Słuchajcie słowa Pańskiego przeciw temu ludowi! Żniwo dojrze! Prasa jest pełna! Miarka przebrała! Patrz, mówi Pan, oto ja zbiorę wszystkie ludy i poprowadzę je na dolinę Józefata, i uczynię nad nimi sąd, za to, że lud mój między inne ludy rozproszyli. Biada im, albowiem rzucali losy na moich ludzi, i dali chłopca za lekką dziewczkę, a dziewczynę dali za wino, aby je pić mogli. I nie będę dłużej wstrzymywał chłosty mój nad Izraelem, mówi Pan. Albowiem sprawiedliwego sprzedali za srebro, a pragnącego za parę trzewików. I oto uciśniony jestem ciężarem, jako wóz snopami naladowany, mówi Pan.

— To ciężar zwierząt z południa! Z kraju troski i płaczu, z kądem przyjdzie młody i stary lew, żmija i ognisty

skrzydlaty wąż! Idźcie, zapiszcie to na tablicy, zachowajcie w księdze dla czasów potomnych, aby to na wieki zostało! Że to jest lud buntowniczy, którego dzieci niesłuchają bożych przykazań, — i mówią do widzących: niepatrzcie — nieprorokujcie nam prawdziwych rzeczy — mówcie nam rzeczy przyjemne — prorokujcie kłamstwa! Dla czego, mówi Święty Izraela, pogardzacie Jego słowem, dufacie w ucisk i złość i stoicie przy nich? Dla tego niesprawiedliwość ta będzie dla was wyłomem w wielkim murze, który co chwila się powiększa i grozi jego zagładą, a upadek jego przyjdzie wkrótce, i zniszczony zostanie jako garncarskie naczynie.

Potem zatrzymał się na chwilę, i stał z załamaniem rękoma, pochyłony naprzód, z wzrokiem utkwionym w próżnię; nareszcie zawołał znowu z postawą i energią człowieka, który rzeczywisty tryumf przewiduje:

— Któż to jest ten, który przychodzi z Edomu, w barwistych szatach z Bozraku? Którego powierzchowność jest wspaniała, i który przechodzi się odziany w wielkość swój siły?

Potem zdawał się nadsluchiwać, — i jak gdyby otrzymał odpowiedź, odezwał się znowu:

— Ja, który sprawiedliwość ogłaszam, i mocen jestem ratować! — Dla czego szata twoja czerwona, i suknie masz podobne do tego, który winną prasę przygniata? — Ja sam tłoczyłem winną prasę, a z ludzi nikt nie był ze mną; ale ja zgniotę ich w moim gniewie, i będę ich tłoczył w mojej zemście, a krew ich pryskać będzie na moje szaty, i suknie moje zafarbuję nią. Albowiem dzień pomsty zaświtał w moim sercu, i nadszedł rok wypłaty. I patrzałem, a niebyło nikogo coby mi pomógł, — i dzi-

wilem się, że niemam nikogo ku pomocy; a więc moje własne ramię wspomogło mię, i zemsta moja wsparła mię. I zdepcę lud ten w gniewie moim, i zdejmę mu głowę z karku w zemście mojej!

Powoli zapał począł gasnąć na jego obliczu; ręce mu opały. Przez chwilę stał, z głową na piersi zwieszoną; do koła niego panowało grobowe milczenie. Po chwili podniósł ręce i począł mówić namiętną modlitwę:

— Dopókiż, o Panie, dopóki? Zbudź się? Dla czego śpisz o Panie? Dla czego wstrzymujesz twoją rękę? Wyciągnij ją od twojej piersi, bo niewidzimy twego znaku! Nie masz już proroków pomiędzy nami, ani nikogo, coby wiedział, dopóki? Czyż wiecznie chcesz pokój utrzymać? Patrz, oto krew biednych woła do Ciebie! Patrz, oto polują na nasze życie. Patrz, oto przekraczają sprawiedliwość, i zabierają nam klucze od wszelakiej wiadomości. Sami nie idą naprzód, a zatrzymują tych, którzy iść pragną. Patrz, oto żony nasze na łup im są wydane, a córki nasze sprzedawane na srom i hańbę! Czyliż nie jesteś Bogiem, sędzią ziemi? Czyż niezechcesz pomścić się za twoich wybranych, którzy dzień i noc do Ciebie wołają. Patrz jak się nam urągają ci, którzy żyją w dostatku, i jak się z nas najgrawują pyszni. Patrz jak oni mówią o ucisku. Usta obracają ku niebu, a język ich włóczy się po ziemi. I będziesz mimo tego trwał w pokoju; i nas tak ciężko zasmucał?

Zdawało się, że nareszcie począł się zwolna wyczerpywać nienaturalny zapał, który go przejmował. Jakiś czas stał w milczeniu, a potem wstrząsł się, jakby się obudził ze snu głębokiego. Nareszcie obrócił się do wzru-

szonych słuchaczy, pokazał im niemym giestym aby usiedli, i rzekł zwyczajnym już głosem:

— Bracia! Widzenie jest zapieczętowane, a znak się jeszcze nieukazał. Baranek znosi cierpliwie jarzmo ich występków, a modlitwy nasze spoczywają w złotych naczyniach, i podobne do obłoków unoszą się ku niebu. A w niebie panuje milczenie, na półgodziny. Ale czekajcie cierpliwie, albowiem dzień się zbliża. A jaki będzie koniec tego wszystkiego?...

Głęboki jakiś głos odpowiedział Dredowi. Był to głos Hannibala.

— Wynagrodzimy ich, jak oni nas wynagradzają. Odmierzmy im tą samą miarką, jaką oni nam mierzą.

— Boże broń, — zawołał Dred, — aby wybrani Pańscy tak czynili! Gdy Pan do nas rzeknie: „Udercie!“ wtedy uderzymy. Ale niebędziemy ich dręczyć biczem. ani ogniem, ani niebędziemy kobiet ich becześcić, jak oni nam czynili. Tylko wybijemy ich wszystkich, i wyglądzimy z powierzchni ziemi! —

W tej chwili dał się słyszeć jakiś głos, który zdawał się wychodzić gdzieś z głębi drzew, i na dziką, smutną nutę śpiewał zwrotkę znanego himnu:

„Jezus Chrystus cierpiał chętnie

„Męki krzyża za nas,

„A my skarżym się namiętnie,

„Gdy ból przyjdzie na nas.“

Grobowa cisza panowała do koła, a głos zbliżał się coraz bardziej, i brzmiał wśród nocy:

„Oh, miłości pełen Boże!
„Coś Ty cierpiał za mnie;
„Niech mię łaska Twa wspomóż,
„Gdy przjdzie kres na mnie!“

Po tój zwrotce ukazała się Milly i stanęła wpośród zgromadzonych.

Gdy ją Dred poznał, wydał ięk przytłumiony i zawałał zakrywszy twarz rękoma:

— Kobieto, twoje modlitwy są mi przeciwne!

— O Bracia! Ja nieufam waszym radom i prosilam Boga za wami! — rzekła Milly. — Czyście wy widzieli Baranka Bożego? Jeżeli dzień pomsty ma przyjść koniecznie, to módlcie się abyście przy nim niebyli. Niepojęte są dzieła Pańskie. O bracia! Czyż to my pierwsi stojmy przed ich sądem, — czyż to oni nas pierwszych biczują i śmiertelnie dręczą? Czyż On wprzód niż my niecierpiał tak samo? Czyż On niewisiał przez trzy godziny na krzyżu i krwią się niezalewał, a oni się zeń naigrawali, i octem z żółcią go poili. Czy nie pocił się krwawym potem na oliwnej górze w Ogrojcu?

I Milly zaśpiewała znów słowami, które wszystkim tak były znajome, że mimowolnie kilka głosów przyłączyło się do niej:

„Na górze oliwnej, wśród murów ogrojca,
„Zbawiciel się modlił gorąco do Ojca,
„I krwawo się pocił. A potem przybity
„Na krzyżu śmierć poniósł, i włócznią przeszyty.

„Spełniło się tedy, o Jezu mój w niebie,
„Zadrżeli grzesznicy co sztydzili z Ciebie!

— O Bracia! Czyż to was nieuładza? — mówiła dalej Milly. — Kiedy Pan Bóg mógł to wszystko znieść i jeszcze nas kocha, czyż i my niepowinniśmy czynić tak samo? O bracia, jest lepsza droga, niż ta którą idziecie! I ja byłam niegdyś tam gdzie wy teraz jesteście, — byłam na pustyni i słyszałam trąb odgłosy. I była tam ciemność i czarna noc, — ale ja uciekłam się do Jezusa, do pośrednika nowego przymierza. Czyż ja także niecierpiałam? Z powodu każdego dziecka które mi Bóg dał, pękało mi serce z bólu. A kiedy sprzedali mego Alfreda i zastrzelili go jak psa wściekłego! O, jakże wtedy moje serce pałało, jak nienawidziłam tę którą go sprzedała! Zdawało mi się, że ją muszę zabić! — Ale o bracia, Pan obrócił ku mnie twarz swoją i spojrział na mnie jako na Piotra. Widziałam go w cierniowej koronie, krwią zalanego, — i ukorzyłam się i przebaczyłam jej. I jej serce Bóg także przemienił, i stanął pokój pomiędzy nami. Pan uchylił zapórę która nas rozdzielala, i obiedwie grzesznice upadłyśmy razem u stóp krzyża. Bóg osądził już jej biedną duszę. Za grzechy swoje ukarana została już na tym świecie, a własne jej dzieci były narzędziem tej kary, i serce jej napełniły boleścią. Biedaczka, umarła na mojem ręku, — ta, która serce moje złamała. Czyż to nielepiej, niż żebym ją była zabiła? O bracia, proście Pana, aby was natchnął żalem! Zemstę Jemu zostawcie. — „Moja jest zemsta i moja zapłata“ — mówi Pan. — Tak jak On kochał

nas, chociaż byliśmy jego nieprzyjaciołmi, tak i my nieprzyjaciół naszych kochać powinniśmy.

Po tych słowach znów grobowa nastąpiła cisza. Nareszcie Dred powstał, i rzekł uroczystym tonem:

— Kobieto, na ten raz modły twoje odniosły zwycięztwo. Godzina jeszcze nienadeszła!

Rozdział IX,

FRANK RUSSEL.

Klayton nieustawał w zamysłach swoich, które bądź co bądź przeprowadzić postanowił. Zamierzał zrobić do Rządu podanie, mające na celu wyjednanie dla niewolnika prawa żądania zadosyćczynienia za dokonane na nim nadużycia, a tém samém prawa występowania w sądzie jako świadek. Że zaś Frank Russel był kandydatem na najbliższe wybory, przeto poszedł do niego, chcąc go namówić, aby złożył w Rządzie tę petycyą.

Poprosimy tedy czytelnika za sobą do małego tylnego pokoiku, obok kancelaryi Franka Russela, gdzie zastaniemy obu przyjaciół. — Klayton wyklada poważnie swoje plany i zamiary.

— Jedyną pewną drogą do powolnej emancypacyi, jest reforma praw odnoszących się do niewolników, — a wszelka reforma tych praw musi się rozpocząć od za-

pewnienia niewolnikowi osobistego bezpieczeństwa. Na nic się nieprzyda stanowanie praw ubezpieczających jego związki familijne, itp, dopóki niepostawimy go w prawie uskarżania się na doznane krzywdy, i krzywd tych dowodzenia. Bez tego, choćbyśmy zaprowadzili tysiące praw, ku polepszeniu jego losu zmierzających, będą one zamsze tylko martwą literą.

— Wiem ci ja, — odrzekł Frank Russel, — że niema pod słońcem nic okropniejszego, jak nasz kodex dla niewolników; — jest to bezdena przepaść niesprawiedliwości. Nikt tego niemoże wiedzieć tak dobrze, jak my adwokaci. Ale to całkiem inna historia, mój Klaytonie, kiedy zaczyna chodzić o to, żeby coś przeciw niemu przedsięwziąć.

— Mnie się zdaje, że to rzecz jasna jak słońce. Trzeba wprost uderzyć na owo złe, i oświecić o niem ogół. Trzeba poprawić ustawy. Ja też wziąłem sobie to za zadanie życia, a ty Franku musisz mi dopomódz.

— Hm! hm! — Widzisz Klaytonie, — gdybym miał prawo noszenia białego krawatu i pisania przed mojem nazwiskiem dwóch D., odpowiedziałbym ci, że mi na to niepozwała interes Syonu, i że obowiązkiem moim jest, wpływu mojego używać na dobro kościoła. Ale że niejestem tyle szczęśliwy, więc przyznam ci się bez żadnej ogródki, że nierozsądkiem byłoby z mój strony, gdybym zanieczyściwał interesa Franka Russela. Ja niejestem w stanie ci dopomódz, wierz mi Klaytonie. Partya nasza niemoże tój sprawy na żaden sposób podnosić; byłoby to to samo, jakgdybyśmy budowali fortecę, z którejby nieprzyjacieli mógł strzelać na nas dowoli. Ja niemożę ina-

częj dostać się do Rządu, tylko za pomocą mojej partyi, — a jako reprezentant tej partyi, niemogę nie na jej szkodę przedsiębrać.

— Powiedźże mi mój Franku, — zapytał Klayton, — czy ty na seryo myślisz sobie taką pętlę założyć na szyję, i na całe życie zostać niewolnikiem partyi?

— O, o tém wcale niemyślę; — przyjdzie chwila, w której pętlę zrzucę z siebie, a poprowadzę na nią moją partyą. Musi z początku uchylać karku, kto chce potem być górą.

— I ty naprawdę niemyślisz o niczém więcej, tylko o tém jakby się w świecie pokierować? — zawołał Klayton. — Nie kusi cię żadne dobre i wielkie dzieło? Niema dla ciebie żadnego powabu heroizm i zaparcie się samego siebie?

— Kto wie jakby to było, — rzekł Russel po krótkiej pauzie, — gdyby było rzeczywiście dla kogo się poświęcać. Ale ten cały świat nasz, wydaje mi się jako wielkie głupstwo, jako nizezemna pajęczyna z samych kłamstw utkana. Każdy usiłuje tylko tutaj drugich w pole wyprowadzić, — a przyznam się, że wolę zawsze wyprowadzać, niż być wyprowadzonym. Zresztą dobry chleb jest dla mnie główną rzeczą.

— Nie samym tylko chlebem człowiek żyje, — rzekł Klayton.

— Ale mimo tego chleb to dobra rzecz, — odparł Russel wzruszając ramionami.

— Ale ja to co mówię, to i myślę na seryo, i radbym żebyś i ty tak samo uczynił. Chciałbym z tobą zejść w najgłębsze tajniki twój duszy, i pomówić z tobą szczerze. Ten nawpół żartobliwy ton, w jakim mówisz

Franku, jest złym bardzo znakiem. On jest za stary na ciebie. Co to będzie z człowieka, zanim pięćdziesiątu lat dożyje, który w twoim już wieku wszystko za żart uważa? — Czy ty wiesz Franku, że ten systemat niewoli, jeżeli go nieprzerobimy, cały nasz kraj jako rak stoczy?

— Wiem dobrze o tém, — odrzekł Frank, — bo go już i teraz nadgryzł ucziwiwie.

— Gdybyśmy nawet niemieli już żadnej litości nad niewolnikami, to wypada nam coś uczynić dla białych; bo przy obecnych okolicznościach, zbliżamy się tak szybkim krokiem ku barbarzyństwu, jak tylko być może. Wirginia już całkiem podupadła i zniszczała. Północna Karolina używa smutnej sławy najuboższego i najmniej oświeconego państwa w całym związku. Zdaje mi się, że w całej tej staréj, despotycznej, jak ją u nas nazywają, w Europie, niemasz ani jednego kraju, w którymby klasa uboga, była tak nędzna i zepsuta jak u nas. A jak okropnie nasz kraj się wyludnia! — Naturalna rzecz, że ci z pośród naszej klasy ubogiej, którzy pragną zająć w społeczeństwie ludzkim przyzwoite stanowisko, nie mogą tutaj wytrzymać, i wynoszą się tam, gdzie widzą postęp. Tysiące przesiedlają się corocznie z północnej Karoliny do Stanów zachodnich. A wszystko to pochodzi jedynie z naszych nienaturalnych stosunków społecznych. Trzeba koniecznie pomyśleć o jakim środku zaradzenia temu; musimy koniecznie zrobić jakiś krok do postępu, bo inaczej zginiemy.

— Klaytonie, — odezwał się Frank, z równą jak jego przyjaciel powagą, — zaręczam ci, że uczynić tego niemożemy. Ci z nas, którzy mają władzę w rękach,

mają téż mocne postanowienie, zatrzymania jéj wszelkiemi siłami, i widzą daleko. Oni niepozwolą nigdy na ten pierwszy krok, bo niemają ochoty złożyć swoją władzę. Raczej umrą, aniżeli tego dopuszczą. Rozważ tylko dobrze całą tę sprawę: przynajmniej dwadzieścia cztery miliony kapitału, zostałyby w ten sposób stracone. Uboga klasa białych może sobie iść do diabła, — a co się tyczy upadku państwa, ten nie za ich czasów nastąpi, a znasz przysłowie: *après nous le déluge*.... Ci ludzie są naszymi panami, — tak dobrze twojami, jak mojemi, jak i każdego człowieka w tych naszych Stanach Zjednoczonych. Oni biczem swoim śmigają po nad głową każdego, czy męża stanu, czy duchownego, od Majne aż do Nowego Orleanu, — niechnoby im się tylko odważył sprzeciwić. Oni rządzą krajem, wojskiem, skarbem, kościołem i państwem. Im wszystko ulega, — a kto chce wyjść w górę, musi się piąć po ich drabinie, bo drugiej niema. Niemasz żadnego interesu, żadnego związku w całych Stanach Zjednoczonych, nad którymby oni nie mieli swojej kontroli, — i powiadam ci Klaytonie, że cokolwiek przeciwko ich potędze przedsiębrać, jest to samo, co rzucać popiół naprzeciw północnemu wiatrowi. Gdybym miał choć najmniejszą nadzieję, że przez to coś dobrego osiągnąć potrafię, gdybym choć odrobinę na jakikolwiek skutek mógł rachować, natychmiast poszedłbym z tobą ręką w rękę; ale to jest czyste niepodobieństwo! Tak jest, — to jest rzecz pewna, niezawodna; dla czegóż więc nie mam się piąć w górę tak dobrze jak drudzy? —

— Niemasz nic pewnego, odparł Klayton, co się nie-

gruntuje na słuszności. Bóg i natura wależą przeciw wszystkiemu co złe.

— Może to być, — ale to będzie bardzo długa kampania, a ja dopóki żyję, muszę się trzymać tej strony, na którą się przechyla szala zwycięstwa. Tak, Klaytonie, z tobą mówię zawsze otwarcie, i nie myślę ci udawać kozła za barana, — tak jest, ja gonię za karierą, i jestem zwolennikiem Fryderyka Wielkiego, który powiedział: „że opatrność sprzyja zawsze najsilniejszej armii.“ — Ja nie jestem stworzony na to, abym leżał na składzie beczynny, — ja muszę dojść do władzy. — Utrzymanie tego systematu w zupełnej nienaruszalności, będzie polityką przywódców całej naszej generacji. To jest fakt, że oni tam stoją, gdzie im każe polityka; oni muszą swój system po całym kraju rozszerzać, — muszą przewagę władzy nad państwem zapewnić, aby się mieli czém przed publiczną opinią zasłonić. Widzisz Klaytonie, moralne uczucie, jak je ty nazywasz, jest to głupstwo. Światu to się podoba, co jest górą; tak było od wieków. Teraz krzyczą ogromnie na niewolę, ale niech jeno jój zwolennikom się powiedzie, a krzyki wnet ucichną. Jeżeli potrafią kiedy przegłosować Stany północne, zobaczysz jak je przycisną. Już się im i tak udało przez intrygi, uczynić je bardzo powolnemi dla siebie, powoli postarają się oni o to, aby je opanować prawem mocniejszego. Anglia robi teraz na nich wielkie hałasy, ale niech im się tylko powiedzie, a Anglija złagodnieje jak baranek. To bardzo naturalna rzecz, że ludzie krzyczą, kiedy mileząc nie zyskać niemogą; ale Anglii zatkają usta bawelną, zobaczysz. Tam lubią handel a wojny niecierpią. To też i te wrzaski przeciw niewoli

wkrótce przebrzmia na świecie. Kiedy więc widzisz, z jakiej to nিকেzennój, kłamiwej tkanki, składa się ta ludzka natura, powinienbyś się przekonać, jak dalece twoje zamiary są bezpożyteczne. Wszyscy ludzie na świecie razem wzięci, niewarci są jednego guzika, Klaytonie, i głupstwem byłoby poświęcać siebie dla takich błaznów.

— No, mój Franku, powiedziałaś szczerze co myślisz, teraz na mnie kolej. — Chociażby ludzie w ogóle byli blaznami, jak powiadasz, to jednak zawsze jest obowiązkiem prawego męża wiedzieć, że do ich liczby nienależy. Ja przynajmniej, nie liczę się do nich. Nieuganiam się za karyerą, i nigdy uganiać się za nią niebędę. Jeżeli sprawę jaką uznam za uczciwą, będę za nią obstawał przez całe życie, nieoglądając się na to, czy usiłowania moje uwieńczy pomyślny skutek, czy nie.

— Zgoda, niech i tak będzie, — rzekł Frank Russel. — Ja wysoko szanuję ludzi, tego co ty rodzaju. Wy tworzyście piękny, heroiczny poemat, który urozmaica nudną jednostajność naszego życia. Zdaje mi się, że się to na nie nieprzyda, choćbym cię zrobił uważnym na to, że postępowaniem swoim ściągniesz na siebie niechęć powszechną.

— To daremna uwaga, — odrzekł Klayton.

— Obawiam się tylko doprawdy, że lada chwila przeciwnicy twoi wywrą na ciebie całą wściekłość swoją.

— Dobrze, niechaj robią co chcą.

— To powinienem był naprzód przewidzieć. — Ale powiedz mi Klaytonie, na co koniecznie w tej treści chcesz podać petycyą? Czemu niezrobisz raczej podania, w interesie rozłączania rodzin niewolników? W Europie

i w całym nawet świecie, tyle o to ostatniemi czasy narobiono hałasu, że prawie weszło w modę, popisywać się na tém polu. Politycy udają, że na prawdę myślą coś uczynić w téj mierze; to robi dobre wrażenie i daje sposobność północnym pisarzom i duchowieństwu, popowiedzenia czegoś na usprawiedliwienie grzechów naszych. Zresztą jest u nas znaczna liczba takich pocziwych, prostodusznych ludzi, którzy niepojmując gruntownie całej téj sprawy, myślą, iż na téj drodze można rzeczywiście czegoś dokazać. Gdybyś tedy w tym rodzaju zrobił podanie, zyskałbyś większość po sobie, a i ja mógłbym wtedy coś dla ciebie uczynić.

— Powiedziałem ci już Franku, i sam wiesz o tém najlepiej, że się na nic nieprzydadzą wszelkie prawa, jeżeli niewolnikowi niebędzie wolno zanieść do sądu skargi o nadwreżenie tych praw, i stawać jako świadek. Tylko taka reforma jaką ja projektuję, potrafi zle z gruntu wykorzenić.

— Tak jest rzeczywiście,—rzekł Russel,—ale téż właśnie dla tego przeprowadzenie jój jest niepodobieństwem. Jeszcze jedno zadam ci pytanie: Klaytonie, czy masz ochotę, i czy umiesz się bić? Czy masz ochotę chodzić ciągle z nożem albo z pistoletami, i strzelać w łeb każdemu kto ci się sprzeciwiać będzie?

— A, broń Boże! Wiesz przecie Franku, że niejestem cheiwy boju, i że walka tego rodzaju, nie jest weale w moim guście.

— No, toś się niepowinien narzucać na reformatora południowych Stanów. Powiem ci jeszcze jedną rzecz, o której słyszałem. Na publiczném zgromadzeniu w C*, rzuciłeś kilka uwag, które ogólny popłoch sprawiły, —

z czego Tom Gordon, jak się domyślam, natychmiast korzystać nieomieszkał. Poczekaj, może nieczytałeś odezwy umieszczonej w „Trąbie wolności.“ — Russel zaczął przewracać w stósie gazet leżących na stoliku. — Gdzież się u licha podziała? A, otóż i ona.

I podał Klaytonowi gazetę, której dewiza brzmiała: „Jedna i nierozdzielna wolność i związek, teraz i po wszystkie czasy,“ i wskazał mu artykuł noszący napis:

„Potajemna abolicja.

„Obywatele, strzeżcie się!“

„Przed kilku dniami mieliśmy sposobność słyszenia mowy, mianej na posiedzeniu washingtonskiego towarzystwa rolniczego, w której mowca p. Edward Klayton, zboczywszy od głównego przedmiotu, pozwolił sobie kilku zuchwałych uwag nad prawami, odnoszącemi się do naszej kolorowej ludności. Czasby był aby przyjaciele naszej ustawy rządowej mieli się na baczności. Jak skoro bowiem uwagi tego rodzaju dojdą do uszu tej ciemnej i niespokojnej ludności, staną się źródłem strasznego buntu. Zdaje się, że ten młody człowiek zaraził się jadem północnych abolicjonistów; — niemożna nigdy za nadto czuwać nad tego rodzaju indywiduami, bo wolność nasza, jedynie kosztem ciągłej czujności utrzymać jesteśmy w stanie. P. Klayton należy do jednej z najstarszych i najznakomitszych rodzin, co postępowaniu jego tém większą nadaje niezawisłość.“

Klayton przeczytał ten ustęp z właściwym sobie, spokojnym uśmiechem.

— Znać tutaj rękę Joaba, — rzekł Frank Russel.

— Ja tylko wiem tyle, że bardzo mało tam powiedziałem, odparł Klayton; — wykazywałem tylko korzyści, jakieby

wynikły dla naszego rolnictwa, z wyższego moralnego ukształcenia naszych robotników; to naturalnie naprowadziło mię na uwagi nad prawami, pod którymi oni zostają; ale niepowiedziałem nie takiego, o czémby każdy niewiedział.

— Ależ, Klaytonie, czyż nie wiesz o tém, że jeżeli kto ma nieprzyjaciela, to takimi uwagami daje mu w ręce straszną broń przeciw sobie. Nasze spóółstwo jest tak ciemne, że każdy kto chce, może z niem zrobić co mu się podoba. Podobne ono jest zupełnie do roju pszczoł, który można poprowadzić gdzie chceć, bijąc w miedziany kocioł. A Tom Gordon podobno ma teraz taki kocioł. On niezawodnie ma na myśli jakiś podstęp wojenny. To jest urodzony renomista, i potrafi tłum poprowadzić; miej się więc na baczności. Twoja familija może ci wprawdzie być pomocną, ale cię przed wszystkim zasłonić nie potrafi. Kogoż masz więcćj za sobą? Z kim mówiłeś w tój materyi.

— O, mówiłem z wielu duchownemi, — odrzekł Klayton. —

— I przekonałeś się zapewne, że droga którą sobie obrali, nie wiedzie bynajmniej do męczeństwa. Bez wątpienia powiedzieli ci, że ich modły towarzyszyć ci będą; gdyby ci się przypadkiem zwyciężcą z tój sprawy wyjść udało, wtedy i oniby wystąpili na jaw, i powiedzieliby na twoję cześć kazanie. — Ale wiesz co ja zrobię? Jeżeli cię tylko Tom Gordon zaczepi, postaram się o jaką z nim awanturę, i w łeb mu strzelę. Na takie rzeczy mam bardzo strawny żołądek, i to mi zresztą bynajmniej w oczach mojej partyi nie zaszkodzi. —

— Dziękuję ci, — rzekł Klayton, — nie rób sobie téj subjekeyi.

— Mój kochany, — wy filozofowie, bo w wielkim jesteście błędzie, co do użycia świeckiej broni.— Dopóki macie do czynienia z krwią i ciałem, dopóty do cieleśnych środków brać się powinniście. Na wszelki przypadek, para dobrych pistoletów wealeby ci nie zawadziła. Ja na seryo mówię ci Klaytonie, żeś się niepowinien ruszać nigdzie bez pistoletów; bo jednak kiedy ludzie wiedzą, że ktoś zwykł mieć przy sobie pistolety, i umie ich użyć, to trzymają się od niego z daleka. Jest to przesąd wrodzony ludziom, że nie lubią, aby im we łby strzelano. A ja myślę Klaytonie, że ty przecież z równą godnością i trafnością potrafiś strzelić z pistoletu, jak w pewnych okolicznościach zmówię modlitwę. Pewien jestem, że się niedługo czegoś doczekasz. Tom Gordon przebieglejszy jest, aniżeli rozumiesz. On chce być na kongresie, i w jakikolwiekbydź sposób zjednać sobie głosy u gminu; a wiesz co, że nieby mu tak nieposłużyło ku temu celowi, i niewsławilo jego imienia, jak gdyby mu się udało zrobić krucyatę przeciwko jakiemu abolicyoniście.

— Do czegoż to już u nas przyszło, jeżeli wśród własnego kraju niewolno nam mówić i radzić o czém nam się podoba?

— Do czego przyszło, mój kochany? — Ja wiem do czego przyszło, — a czasby był, żebyś i ty wiedział.— O wszystkich innych rzeczach, wolno nam mówić i radzić co się nam podoba, — ale co do téj kwestyi, to tylko w połowie, — drugiej połowy niewolno nam dotykać, i nie będzie wolno, dopóki o ni będą mieli ochotę

władzę przy sobie zatrzymać. Czy myślisz, że oni po zwoła tym białym biedakom zdjąć z oczu przepaskę przy której pomocy tak łatwo im prowadzić ich wedle woli? Toby było dopiero śliczne gospodarstwo. — Właśnie biedaki te są teraz w najlepszym usposobieniu, jakiego sobie może życzyć partya, która ich potrzebuje; bo dają wprawdzie głosy, ale kieruje się nimi wedle woli. — Teraz weźmy Murzynów. To lud nadzwyczajnie przebiegły. Przebiegłość ta wielkim strachem przejmuje naszych panów. Myśl o ich powstaniu dręczy ich we dnie i w nocy. Powstanie, to jest czarodziejskie słowo, które wielu rzeczom u nas stoi na zawadzie. Murzyni, widzisz, są niby owo czarne morze, — nie wiedzieć co się tam na jego dnie kryje.

— Ale też właśnie jedyną drogą, jedynym środkiem uniknięcia złego, jest dla nas reforma. Jest to lud bardzo cierpliwy i umiejący wszystko znosić, — a gdyby widzieli, że coś dla nich uczynić chcemy, toby bardzo dobry wpływ na nich wywarło. Jeżeli sobie życzysz powstania, to tylko zamknij wentyle; bo para, dobra czy zła, musi zawsze mieć otwory, któremiby odchodzić mogła. Widzisz, w naszych czasach duch chce rósć koniecznie; on rośnie, i niema żadnej rady przeciw temu, bo niemasz siły, któraby się sile wzrostu oprzeć potrafiła. Widziałem skałę, która rozstąpiła się w skutek wzrostu jednego wiązu, któremu trzeba było światła i powietrza, i dla tego przez nią sobie drogę utworował. Przypatrz się wszystkim arystokracjom europejskim, — wszystkie musiały uleść tej sile. Jedna tylko się utrzymała: arystokracya angielska; — a jakim sposobem? Oto takim, że umiała ugiąć się w stosownej chwili, —

że nieograniczała wolności mówienia, i dobrowolnie dała się powodować rosnącej władzy ludu. Dla tego też ostała się po dziś dzień, gdy tymczasem arystokracja francuzka w proch się rozpadła. —

— Mój kochany, — rzekł Russel, — wszystko to co mówisz jest bez wątpienia prawdziwe i przekonywające, ale naszej arystokracji o tém nie przekonasz. Ona chce Kubę, wyspy Sandwichskie i Bóg wie co jeszcze połączyć, i utworzyć ogromne, wspaniałe państwo niewolnicze. Północ będzie wtedy dla nas tém, czém była Grecya dla Rzymu; my będziemy nad nią panować, a ona musi mieć staranie około naszych potrzeb i sztuk pięknych. Południe pojmuje co to jest panowanie; myśmy się od kolebki wychowali do rozkazywania, — nie nam innego nie pozostaje do czynienia. Wolne Stany mają faktorye, składy towarów, szkoły i wewnętrzne ulepszenia podnoszące ich ducha, a jednak, jeżeli będziemy ostrożni i niepowiemy im zawezesnie o naszych zamiarach, ani się spostrzegą, kiedy wpadną w moc naszą.

— O jednej tylko potężnej sile zapomniałeś w twojém obrachowaniu.

— To jest? — zapytał Russel.

— O Bogu.

— Nieznam go bliżej, — oddarł Russel.

— Może ci się zdarzy kiedy o nim usłyszeć. Ja, bo wierzę w niego! —

Rozdział X.

PLANY TOMA GORDONA.

Tom Gordon objąwszy po śmierci siostry posiadłość ojcowską, zaczął w niej zaraz gospodarować na swój sposób. Szalone jego wybryki były przyczyną, że nigdy niesyty był pieniędzy, — a z jakiego one źródła pochodziły, to mu było równie obojętnem, jak pierwszemu lepszemu łotrowi, co po drogach rozbija.

Przymioty i zdolności któremi go natura obdarowała, czyniły go jeszcze gorszym, — bo jak z dobrego wina najlepszy bywa ocet, tak też i ludzie zdolni, kiedy się zepsują, najokropniejsi są w swoich występkach. — Tom obdarzony był od natury bystrym, przenikliwym rozumem, i żywym, energicznym temperamentem; nie-mógł więc tak jak wielu innych oszukiwać sam siebie, i szedł naprzeciw złemu śmiało i z otwartymi oczyma. Nietroszczył się bynajmniej o publiczną opinią, a szcze-

gólniej o sąd poważnych i pedantycznych ludzi. Robił więc co mu się podobało, niedbając wcale o to, co sobie drudzy o nim pomyślą. Pozwalał im wygadywać na siebie, dopóki im się niesprzykrzy.

Klaytonowi po odjeździe z Kanemy nieraz już przychodziło na myśl ostatnie polecenie Niny: „aby miał pieczę nad jęj ludźmi, i aby powiedział Tomowi, żeby się z nimi łagodnie obchodził.“ Ale między temi dwoma charakterami leżała taka przepaść, że wszelkie porozumienie się między nimi na spokojnej drodze, zdawało się niepodobieństwem. Klayton był pewny, że choćby mu zakomunikował ostatnią wolę Niny, nicby z tego niewynikło dobrego, — a jednak pamięć jęj polecenia ściagała go ciągle. Czyż miał prawo zaniedbywać ten święty włożony nań obowiązek? Niebyłoz jego powinnością próbować wszelkich środków, chociaż nie miał żadnej nadziei, aby jakikolwiek skutek odniosły?

Idąc za natchnieniem tych uczuć, Klayton usiadł jednego dnia przy stoliku, i napisał do Toma list, w którym w najprostszycch wyrazach opisał mu ostatnie chwile Niny. Spodziewał się, że przecież list ten przeczyta; a jeżeli nie, to on przynajmniej będzie miał spokojne sumienie, że zrobił wszystko co było w jego mocy.

Niemożna przeczyć, że śmierć i grób mają swoje święte prawa, i częstokroć posiadają władzę obudzenia w kimś miłości, ku osobie, której za życia nie kochał. Mało jest tak zatwardziałych ludzi, którychby niewzruszył opis ostatnich chwil osoby, z którą za życia w bliższych zostawali stosunkach.

List Klaytona przyniesiono Tomowi jednego wieczora, kiedy dziwnym jakimś przypadkiem był trzeźwy. Towa-

rzysze jego pojechali na jakąś wycieczkę, a on był trochę słaby i pozostał sam jeden w domu. Przeczytał więc list z uwagą. Ale charakter jego zanadto był stanowczy, zanadto miał siły nad sobą, ażeby bolesnemu uczuciu które go po przeczytaniu przejęło, dał się być na dłużej jak na małą chwilkę o władnąć. Człowiek inną obdarzony naturą, byłby się może nad tym listem we łzach rozplątał, byłby się oddał sentymentalnemu żalowi, który uważając za expijacyą swoich grzechów, byłby się nim jak mógł w sumieniu swoim pocieszał. Ale Tom Gordon nienależał do ludzi tego rodzaju.

On niemógł znieść żadnej myśli budzącej moralne jego uczucie. Robił źle ze świadomością, z intencją, i z zuchwalstwem szatana, a jedyny środek którego używał na uspokojenie swego sumienia, polegał na utrzymywaniu się w ciągłym zamęcie, który mu niepozwalał pomyśleć spokojnie. Jakkolwiek z gruntu zepsuty, wiedział on o istnieniu na świecie wszystkiego co czyste, wzniosłe, szlachetne, i walczył przeciwko temu. List ten wydał mu się niby pochodnią anioła zemsty, której światło upadło na brudne łoże szatana. — Niemógł znieść tego światła, — i przeczytawszy list rzucił go natychmiast w ogień; zadzwonił gwałtownie, i kazał sobie podać gorącego groku i świeże cégar pudełko. Najlepszy, najpewniejszy sposób, którym zły duch zwolenników swoich jeszcze mocniej do siebie przywiewuje, leży w takich drażniących środkach, które człowieka o dobrowolne przyprowadzają szaleństwo.

Tom Gordon pijany kazał się zanieść do łóżka, — a jeżeli jaki anioł opiekuńczy stał przy jego boku, kiedy list czytał, to pewnie Tom niesłyszał szumu jego skrzy-

deł, gdy płacząc odlatywał. Nazajutrz obudził się z większą jeszcze do Klaytona nienawiścią, za to, że w nim niemiłe obudził wspomnienie.

Niemożna powiedzieć, żeby Tom w okolicy nie miał być lubiony. Postanowił on sobie opanować wszystkich, i dopiął téż tego; — cała ta nieokrzesana i niestała ludność której tyle jest w Stanach protegujących niewolę, stała się posłuszna jego skinieniu. Były to narzędzia, gotowe wspierać go we wszystkich jego planach, i mścić się na każdym jego przeciwniku.

Tom był stanowczo za utrzymaniem niewoli. Posiadał on dosyć zdolności, aby całe znaczenie téj sprawy ocenić z gruntu, i dla tego postanowił sobie, że dopóki żyć będzie, ani jednej cegielki z politycznej budowy swego kraju usunąć niepozwoili. Przytém był on strasznym przeciwnikiem, — bo co mu brakowało na wykształceniu, to wynagradzał energią, żadnemi względami powściągnąć się niedającą, a gdzie mu brakło na dowodach, tam kijem sztukował.

Frank Russel zgadł rzeczywiście, przypisując mu autorstwo owéj odezwy w „Trąbie wolności“, — odezwy, która już zaczynała działać, budząc powszechną ku Klaytonowi nieufność. Co jednak Toma do szaleństwa niemal doprowadzało, to ta myśl, że mimo wszelkich usiłowań, Harrego dotąd pochwycić niemógł. Nadaremnie rozsłał strzelców i psy — daremnie całe bagna nawskróś przetrząsniono. Wściekał się i pienił, wystawiając sobie, jak to Harry, czując się bezpiecznym, musi się z niego najgrawać i szydzić.

Doszły były także jego uszu jakieś niepewne wieści, o istnieniu pewnego Murzyna, obdarzonego od natury

wielką energią i zdolnościami, który kryjąc się wśród bagien, siał do koła ziarna powstania, a którego miejsca pobytu, mimo usilnych poszukiwań, dotąd nieodkryto. Postanowił zatem niebo i ziemię poruszyć, żeby go wysledzić.

Powziął on był podejrzenie, że Harry ma jeszcze związki z niewolnikami pozostałymi na plantacyi, i naturalnie wiele mu na tém zależało, aby się o tém upewnić. To podejrzenie było przyczyną okropnej śmierci Harka, o której wspomnieliśmy w poprzedzającym rozdziale. Pokaleczonemu trupa zakopano w ziemi, a Tom nieuczul z tego powodu najmniejszego wstydu, ani wyrzutów sumienia. I czegoż się miał wstydzić, kiedy paragrafy prawa wyraźnie upoważniały go do takiego postępowania? — To co się stało, było tylko wypadkiem, który się zdarzył, w czasie prawem dozwolonej kary wymierzonej zuchwałemu niewolnikowi.

— Pawiadam ci, Kite, — rzekł Tom do jednego ze swoich towarzyszy, nazwiskiem Teofil Kite, gdy pewnego dnia siedzieli razem, — powiadam ci, że ja muszę dostać tego łotra! Ogłoszę go za wyjętego z pod prawa, i nałożę cenę na jego głowę; myślę, że to będzie skutkowało. Będę go miał choć zabitego, kiedy żywego nie mogę.

— To jednak wielkie nieszczęście, — rzekł Kite z ubolewaniem, — że go żywcem niemożesz dostać, i ukarać tak, aby drugim za przykład posłużył!

— Zapewne, — westchnął Tom. — Włóczyłbym go za sobą po drodze, — możesz być tego pewnym. Ten hultaj jest mi od dawna solą w oku, — jeszcze od czasu jakem był małym chłopcem. Zdaje mi się, że wszy-

scy djabli którzy we mnie siedzą, — ostrzą na niego pazury.

— To prawda, Tom, że ty koniecznie musisz mieć djabła w sobie.

— Pewnie że mam, i radbym tylko, żeby mi się nadarzyła sposobność pokazania go na jaw. Żebym choć żonę tego łotra dostał w swoje ręce, to już jabym mu dokuczył. I do pioruna, przecież ją muszę kiedyś złapać! Ale powiem ci Kite, że tu musi być ktoś co się z nim znosi; jestem najmocniej przekonany, że tutejsi ludzie wiedzą o nim. Ten stary huncwot Stinkflint prowadzi handel z Murzynami co się kryją śród bagien, — wiem o tém z pewnością. Ale to jest kręt kuty na wszystkie cztery nogi, i nie z nim nieporadzi. Ja kiedykolwiek spalę mu jego gniazdo, i jego zastrzelę, jak się niebędzie miał na ostrożności. Iim Stokes opowiadał mi, że raz uganiając się za Murzynami, nocował u niego; o północy usłyszał, że Stinkflint z kimś rozmawia; — wyjrzał więc, i widział jak on jakimś Murzynowi proch sprzedawał.

— Ale to przecież niemógł być Harry! — zawołał Kite.

— No, nie, — ale zawsze któryś z tej samej co i on bandy. A potem ta historyja z Harkiem. Iim powiada, że go widział jak rozmawiał z jakimś człowiekiem, i dał mu list, który przyniósł z poczty, i jak potem ten człowiek w las pojechał. Myślałem, że wydobędziemy prawdę z tego starego huncwota, ale go prędzej jakoś nizeлим się spodziewał djabli wzieli. —

— Hokum nieumie się wziąć do tego, — rzekł Kite. — Niepowinien był z nim kończyć tak prędko. —

— Hokum tylko dużo gadać umie i nie więcej; — Hark, był to chłop strasznie zuchwały i na wszystko zdeterminowany, i dla tego kontent jestem że sobie poszedł do djabła; tylko ciągle mruczał i drugich buntował. Czy ty wiesz, że Hokum miał oko na jego żonę, a Hark był zazdrosny?

— A, to kompletny romans! — zaśmiał się Kite.

— Teraz powiem ci jeszcze coś innego, Kite; myślę tutaj zrobić pewną reformę. Jest tutaj w okolicy jeden stary pop, który ciągle tylko wyje, śpiewa, włóczy się się między ludźmi, i ustawicznie wrzeszczy na niewolę. Otóż ja tego znieść niemogę, i muszę mu głębę zapieczętować. Powiem mu krótko i węzłowato, że jeżeli tych głupstw niezaprzestanie, to ja mu sprawię suknię ze smoły i z pierza.

— To będzie gratka dla ciebie!

— Słyszałem, że dziś wieczór ma odprawiać jakieś nabożeństwo w tym drewnianym kościółku, tam nad rzeką, gdzie chcą utworzyć nowy kościół oparty na zasadach przeciwnych niewoli. Podła hołota! Wystaw sobie do jakiego stopnia dochodzi ich bezczelność, kiedy śmiają się zgromadzać i wydawać jakieś odezwy przeciw niewoli, — a nawet oświadczyli, że żadnego stronnika niewoli do komunii nieprzypuszczają!

— Iakto? Oni naprawdę chcą taki kościół utworzyć? — zapytał Kite.

— Tak powiadają, — odrzekł Tom. — Ale ja im pokażę, że się porządzili bez gospodarza. Z nimem bo się już porozumiałem. Powiedziałem mu tylko: „nim, mnie się zdaje, żebyś im się ty tam dzisiaj wieczór przydał. — Pomógłbyś im trochę w muzyce.“ — A on

mię zaraz zrozumiał i powiedział, że pojedzie tam z paru psami i cynowemi kociolkami. O, już my im sprawimy orkiestrę, zobaczysz! A trzeba będzie wziąć kilku z naszej bandy, żeby się przyjrzeni tej krotchwili. Bill Ankers, Bob Story i Sim Dexter mają tu być dzisiaj na obiedzie, więc nad wieczorem pojedziemy sobie razem,—dobrze?

Rozdział XI.

PRAWO PIĘŚCIOWE.

Promienie południowego słońca świeciły wesoło wkróś szpilek sosnowych. Pukanie czarnego dzięcioła rozlegało się po samotnym lesie, niby odpowiedź na świegotanie jego towarzyszy. Naraz, daleko na ścieżce odezwał się głos ludzki zabrzmiał śpiew, wśród zdziwionój nim sennój ciszy:

„Ta ziemia cała czémże jest dla mnie,
„I czémże te ziemskie troski?
„Gdy mękę krzyża wycierpiał za mnie,
„Jezus Zbawiciel mój boski!“

„Wszelaka mądrość nędzną jest rzeczą, —
„Cóż czleku za Ciebie stanie?
„Więc tych błogosław, co mi złorzeczą,
„A i mnie błogosław Panie!“

Gdy te słowa przebrzmiały, ukazał się jeździec, który zwolna posuwał się po leśnej drodze. Był to ojciec Dikson. Wśród częstych swoich przejażdżek po samotnych okolicach, poczciwy staruszek przyzwyczaił się uważać zielone lasu sklepienia za to, na co je zdaje się Bóg stworzył: za świątynią, w której modlił się i śpiewał. —

Ojciec Dikson opuścił cugle koniowi na szyję, a w ręce trzymał biblią. Czasami zaśpiewał jakąś pieśń nabożną, jakieś to dopiero widzieli, czasem znów zatapiał się w cichej modlitwie.

A w tych czasach, zacny kapłan potrzebował rzeczywiście umacniać się modlitwą, gdyż szczerze z jaką przekonania swoje wypowiadał i w drugich zaszczeplił, usiłował, zjednały mu niejedną nagane, niejedną przykrość sprawiły, i pozbawiły kilku najlepszych przyjaciół, a zarazem wsparcia, którego w niedostatku swoim tak bardzo potrzebował. — Słaba i chorowita jego żona po całych dniach nad siły pracowała, a mimo tego blady głód nieraz do ich chatki zaglądał. Codziennie prawie musieli go odpędzać modlitwą. Wprawdzie prośba: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj,“ nigdy jeszcze niepozostała bez skutku, ale nazajutrz zawsze te same czekały ich troski. Wielu dobrze myślących radziło mu, żeby zaniechał próżnych swoich usiłowań, a będzie miał wszystkiego podostatkiem, a nawet do zbytku. Starsi kościoła w C*, przy którym właśnie wakowała posada pastora, powiedzieli mu wyraźnie:

— Ojciec Dikson, twój sposób kazania bardzo nam się podoba, i gdybyś tylko dał pokój tym drażliwym kwestyom, i zobowiązał się jedynie na ewangelii się o-

graniczać, tobyśmy cię bardzo chętnie w kościele naszym do służby bożej użyli.

Przedstawiali mu jego ubóstwo, słabość jego żony, rozliczne potrzeby jego dzieci, ale on na to odpowiadał:

— Nie samym tylko chlebem człowiek żyje! — W rękach Boga jest życie nasze, i mam nadzieję że nam z głodu umrzeć nie dozwoli.

Więc mu dali pokój i pomyśleli sobie, że to głupiec, szalony człowiek. — Jadąc tedy drogą przez las, ojciec Dikson zanosił gorące prośby do swego boskiego Mistrza:

— Ty wiesz o Panie, jak ja cierpię! Wiesz jak słaba jest moja żona, i jak to dla nas bolesną jest rzeczą, że musimy patrzeć jak nasze dzieci rosną, a niemożemy im dać żadnego wychowania! Ale oto rzucamy się z ufnością na Twoje łono, — niedaj abyśmy się ciebie zaparli, — nie dozwolaj abyśmy cię zdradzić mieli! Ty sam nie miałeś gdzie głowy złożyć, a więc i my nie szemrzymy, albowiem uczeń nie powinien być nad swego Mistrza, ani sługa nad swego Pana!

Potem zaczął śpiewać:

„Panie! ja krzyż mój na siebie biorę

„I wesół idę za Tobą, —

„Chcę naśladować Twoję pokorę,

„W ubóstwie równiśmy z sobą.“

„Więc świat ten cały niechaj mną gardzi,

„Byleś Ty kochał mię Panie!

„Niech wszyscy ludzie będą mi twardzi,

„Byłem miał Twe zmiłowanie.“

„Dla czegoż drzeć mam przed wrogi memi,

„Kiedyś Ty jest mój obrońca,

„Gdy mię za wszystkie biedy na ziemi

„Darzysz Twą łaską bez końca!“

I kiedy tak modlił się i śpiewał, w sercu jego dziwna powstała radość, podobna do słodkiej woni nocnych fijołków, — radość jaka rodzi się tylko wśród nocy i troski. Ci którzy myślą że najwyższe szczęście polega na spełnieniu życzeń, na dostatkach, powodzeniu i pomysłności, myślą się bardzo. Jest inna radość, która spływa nawet do więzień i pieczar podziemnych, wyższa nad wszelkie szczęście ziemskie; radość dziwna, uroczysta, niepojęta nawet dla tego, kto jej doznaje. Jest to ów święty pokój, który Zbawiciel wziął z piersi własnej, i przekazał tym, którzy krzyż Jego niosą ochotnie.

Taką radością przepelniony ojciec Dikson, jechał dalej i śpiewał:

„Poznaj, o duszo, Twe przeznaczenie,

„Otrząś się z troski i znoju,

„Niedaj się uwieść na pokuszenie,

„Wiecznego doznasz pokoju.“

„Pomnij na Boga co stworzył ciebie,

„Na łaskę Ojca twójego,

„Co miłościwie króluje w Niebie,

„On zbawi cię ode złego!“

W tej chwili Dr. Cushing, mimo dostatków w jakich opływał, mógłby być pozazdrościć biednemu i opuszczo-

nemu ojcu Diksonowi, bo taki spokój wewnętrzny, rzadko bywał jego udziałem. Z wielkim trudem i ciągłym móżolem, włókł on się po ścieżce swoich obowiązków, niedosięgając nigdy swego ideału. Nękany rozlicznymi wyrzutami sumienia, poczytywał on się tylko dla tego za szczęśliwego, że nigdy nie żył wśród innych okoliczności i niewiedział nawet, co to jest prawdziwe szczęście. Co się tyczy ojca Diksona, to czasami potępiał jego zbyt gorliwość, czasami znów własną słabość charakteru. Kilka razy pisał był do niego, ostrzegając go po przyjacielsku. Do każdego listu dołączał zwykle banknot na pięć dolarów, życzenia wszelkiej pomyślności, ale zarazem i prośbę, aby był ostrożnym. Kończył zawsze pobożnym westchnieniem, aby Bóg wszystkich ludzi raczył natchnąć enotą i sprawiedliwością. Jest to modlitwa, którą wielu powtarza, a mało kto rozumie.

Tymczasem mrok wieczorny coraz bardziej zapadać począł, a ojciec Dikson zbliżał się do prostego kościołka stojącego wśród lasu. Z zewnątrz podobny on był raczej do nowo angielskiej stodoły, a jednak modlitwy które się w nim wznosiły, szersze były i gorętsze, a niżeli we wspaniałych świątyniach niejednej stolicy.

Zbliżając się ku drzwiom kościoła, ojciec Dikson zadziwił się niepomału, ujrawszy pełno ludzi uzbrojonych w pałki i pistolety, czekających przede drzwiami. Jeden z nich przystąpił do niego i podając mu jakiś list rzekł:

— Jest tutaj list do pana, chciej go przeczytać.

Ojciec Dikson najspokojniej schował list do kieszeni:

— Przeczytam go po nabożeństwie, — odpowiedział. Człowiek ów chwycił konia jego za cugle.

— Pofatyguj się pan ze mną trochę, — mam z nim coś do pomówienia.

— Dobrze mój przyjacielu, pomówię z tobą, ale później, — odrzekł ojciec Dikson, — bo teraz już czas na mnie zacząć nabożeństwo.

— Kiedy tu właśnie o to idzie, — odezwał się przystępując drugi, któremu bardzo źle z oczu patrzyło, — tu właśnie o to idzie, że my niechcemy żebyś nam tu odprawiał te jakieś tam przekłete abolicyonistowskie nabożeństwa. — Kiedy on niemógł tego wykrztusić, to ja ci mówię za niego.

— Przyjaciele, — rzekł ojciec Dikson łagodnie, — jakim prawem mię zatrzymujecie?

— Bo sądzimy, — odrzekł pierwszy, — że postępowanie pańskie jest szkodliwe dla ogółu, i prawom przeciwnie.

— Czy macie jakie upoważnienie do tego od władz urzędowych? — zapytał duchowny.

— Nie, mój panie, — odrzekł ten, co pierwszy mówić zaczął, ale przerwał mu jego towarzysz, który splunawszy, całą rzecz w sposób właściwy sobie wytłómaczył.

— Wiedźże o tém, stary, że dla nas wszystkie władze urzędowe, jak je tam nazywasz, hetki pętelki nieznaczą, i że robimy co nam się podoba. A właśnie niepodoba nam się, żebyś ty tutaj odprawiał te przekłete schadzki abolicyonistowskie, i Murzynom naszym głupstwami głowy zapychał. No, rozumiesz teraz? co?

Ta mowa podobala się widać reszcie hultajów stojących na stopniach przede drzwiami kościelnymi, bo przybliżyli się, otoczyli mowcę i zaczęli wrzeszczeć.

— Dobrze! dobrze! Tęgo! Powiedzno mu jeszcze lepij na wyrozumienie!

Ojciec Dikson, który ani na chwilę niestracił zimnej krwi i przytomności, dostrzegł teraz o podał, w cieniach lasu, trzech czy czterech młodych ludzi konno, którzy zanosili się dzikim śmiechem i dodawali mowcy otuchy, wołając:

— Brawo! dobrze! Wytłómacz mu to jeszcze jaśniej!

— Moi przyjaciele, — zaczął znów ojciec Dikson, — ja idę za głosem mego boskiego Mistrza, i pełnię tylko mój obowiązek. Niemacie żadnego prawa przeszkadzać mi w tej mierze.

— No i cóż z tego? Chociaż niemamy prawa, to i cóż ci to pomoże, stary trutniu?

— Pamiętajcie moi przyjaciele, że kiedyś wszyscy pociągnięci będziemy przed sąd, do odpowiedzialności za sprawę dzisiejszego wieczora. Jakże się wtedy z tego przed Bogiem usprawiedliwicie?

Głośny, szyderyczy śmiech rozległ się od strony owej grupy z pod lasu, a głos po którym łatwo Toma Gordona poznać można było, zawołał:

— Zobaczycie jaką on wam tu kapitalną wyprawę komedya; chłopcy, otwórcie gęby i nadstawcie uszy!

— Eh, co tam! — zawołał najzuchwalszy z motłochu; — to wszystko są głupstwa i brednie! My tu niewiemy o żadnym sądzie, a co się tyczy Boga, tośmy go już ja-koś dawno niewidzieli. Widać on niemusi się włóczyć po tych okolicach.

— Oko pańskie jest wszędzie, i widzi zarówno złe jak i dobre, — rzekł ojciec Dikson.

W odpowiedź na te słowa jeden z motłochu zaczął miauczeć jak kot, drugi szczekać jak pies, a widzowie stojący pod drzewami, jeszcze bardziej śmiać się zaczęli.

— Powiadam ci, — odezwał się znowu poprzedni mowca, — żebyś zaprzestał zbierać tych łajdackich schadzek, które pobożnemi zgromadzeniami nazywałeś! Twoje kazania są czystym szaleństwem, którego dłużej scierpieć niemożemy. Jeszcze nam Murzynów pobuntujesz. Śliczny mi kościół, do którego niemają przystępu ci, co niewolników trzymają! Ja mam także Murzynów, to wiem o tém, że sam większym jestem niewolnikiem jak oni, i wołałbym o nich niesłyszeć, — ale niepotrzebuję, żeby mi się kto wtrącał do moich interesów! I nikt tu z nas sobie tego nieżyczy, nieprawdaż? Cała rzecz jest taka, że ci co niemają Murzynów, radziłyby przyjść do nich tanim sposobem, i dla tego buntują ich przeciw nam, — prawda chłopcy?

— Tak, tak — prawda! — Dobrze mówisz, — zawołano zewsząd.

— Mamy prawo trzymać Murzynów, — a kiedy do tego mamy i środki po temu, to i będziemy ich trzymać! — krzyczał dalej zawzięty mowca.

— Kto wam nadał to prawo? — zapytał ojciec Dikson. —

— Kto? A oczywiście ustawa Stanów Zjednoczonych. Któżby inny dać nam je mógł? Czyż rząd nasz niejest najliberalniejszy na całym świecie? Mamyż być niedopuszczeni do komunii dla tego, że Murzynów trzymamy?

Zresztą niechodź mi tu o twoją komunię, ale o zasadę! Słuchaj stary, powiem ci wyraźnie: Jesteś w naszych rękach, i musisz nam tutaj bez żadnych ceregielów przyrzec, że odtąd ani słówka niepiśniesz nigdy w tym przedmiocie.

— Mój przyjacielu, takiego przyrzeczenia dać wam niemożę, — odrzekł ojciec Dikson głosem tak łagodnym, ale zarazem tak stanowczym, że na chwilę wszyscy umilkli.

— Lepiejby było dla ciebie, żebyś je dał! — zawołał któryś z tłumu.

— Tylko niedajcie się wyprowadzać w pole! — odezwał się jeden z młodych ludzi stojących pod lasem.

— O, niebój się pan o nas, — opowiedział na to, ów, który dotąd najwięcej perorował. — Już my go tu obsłużymy jak się należy. No, słuchaj stary, ja ci radzę żebyś spuścił z tonu. Niedasz nam rady, bo nas więcej jak dziesięciu na ciebie jednego, — a jak nam dobrowolnie niedasz przyrzeczenia którego żądamy, to się postaramy, żeby je z ciebie wymusić.

— Moi przyjaciele, proszę was, zastanówcie się co robicie. Zdrowy rozum pewnie was przekona, że postępowanie wasze jest nieprzyzwoite i nieprawe. Musicie przecie wiedzieć o tém, że niegodzi się dla własnej przyjemności deptać wszystkich praw boskich i ludzkich. — Zważcie, że takie postępowanie jak wasze, prowadzi prosto do anarchii i zamieszania. Może przyjdzie czas, że wasz sposób widzenia rzeczy będzie tak samo powszechnie nielubiony, jak mój teraz.

— No, to i cóż?

— No, to wtedy będą wami wszyscy tak samo poniewierać, jak wy mną teraz poniewieracie. Wywijacie obosiecznym mieczem, który łatwo was samych skaleczyć może. Pamiętajcie, że ci sami którzy Daniela do lwiej jaskini wrzucili, sami do niej potem wrzuceni zostali!

— Którego Daniela? — zapytał któryś z bandy, — a panowie pod drzewami szalonym wybuchnęli śmiechem. —

— Dla czegoż niepozwalacie mi dzisiaj mieć kazania? zapytał ojciec Dikson. — Przysłuchalibyście mu się sami, a jeżelibyście widzieli że mówię jakie kłamstwa lub fałsze, sprostowalibyście je zaraz. Zła to sprawa, którą żeby wygrać, trzeba wprzód ludziom usta pozatykać. —

— Nie, nie, nie z tego niebędzie. My się tu w żadne rozprawy wdawać niemyślimy. Musisz nam natychmiast uroczyć przyrzec, i podpisać się na to, że nigdy w tej materii ani słówka niepiśniesz, albo kuso będzie z tobą.

— Tego nigdy w życiu nieprzyrzeknę. Niemyślcie sobie, że mię strachem do tego przymusicie, bo ja się niczego nieboję. Musicie mię chyba zabić, jeżeli chcecie żebym milczał.

— Do stu djabłów, stary, ja ci powiem co masz robić! — krzyknął na to jeden z tych, co stali pod drzewami, podjechawszy ku kapłanowi. — Musisz się zobowiązać pisemnie, że w trzech dniach opuścisz północną Karolinę, z całą swoją rodziną, — w przeciwnym razie bezczelność twoja przykładowie ukarana zostanie. — Rozmyśl się, stary, bo masz do czynienia z ludźmi lepszymi aniżeliś sam. Twoje postępowanie jest nieznośne!

Co ty masz za prawo krytykować postęпки ludzi z dobrej familii? Bądź kontent, że ci pozwalamy kraj opuścić bezkarnie, bo twoja beczelność niezasługuje na takie względy.

— Przykro mi, Panie Gordon, że pana słyszę mówiącego w ten sposób, — rzekł ojciec Dikson z godnością. Kto pochodzi z takiej jak pan familii, powinienby wiedzieć, jaka mowa przystoi ludziom ukształconym. Pan odzywasz się do mnie w sposób, w jaki odzywać się nie masz prawa, i czynisz mi pogrożki, które wykonać nie jest w twojej mocy.

— Zobaczmy! — krzyknął Tom, wyzionąwszy okropne przekleństwo. — Héj, chłopcy! — zawołał na dowódców bandy, którzy zbliżyli się i poczęli z nim po cichu rozmawiać. Jeden z nich chciał mu robić jakieś przedstawienia:

— Nie, nie, to za wiele! — szepnął.

— Co za wiele! nie za wiele! — rzekł drugi, i obracając się do towarzyszy zawołał: — Hurra chłopcy! Odprowadzimy starego do domu, i pomożemy mu ogień rozniecić!

Radosny okrzyk zabrzmiał do koła, wykręcono konia ojca Diksona, i cała banda wyjąc jakieś dzikie pieśni, poprowadziła go w kierunku jego chaty.

Ilekoć ojciec Dokson chciał coś przemówić, Tom Gordon i jego towarzysze zagłuszali go natychmiast wrzeszcząc z całego gardła swoje śpiewy rozwiozłe. Nim wyruszyli, Tom Gordon poczęstował ich wódką tak obficie, że do reszty zniknął wszelki ślad człowieczeństwa między nimi, i stali się gromadzie dzikich zwierząt podobni.

Dla ojca Diksona, była to zaista chwila ciężkiej próby. Wleczony przez tę pijaną czeredę, myślał on o Tym, którego niegdyś wściekły tłum po ulicach Jerozolimy oprowadzał, i modlitwą serce swoje umaeniał. —

Gdy stanęli przed jego chatą, usiłował jeszcze do nich przemówić.

— Moi bracia, — rzekł.

— Idź do djabła z twojami braćmi i bądź mi cicho! — przerwał mu Tom Gordon. —

— Tylko słówko, — prosił ojciec Dikson. — Moja żona jest bardzo słaba. Spodziewam się, że niezechcecie zrobić żadnej krzywdy kobiecie, która w życiu swoim nikomu nie niezawiniła.

— No, słuchaj, — rzekł obracając się ku niemu Tom; — jeżeli ci tak bardzo o żonę chodzi, to możesz jęj oszczędzić wszelkiego niepokoju. Daj nam tylko przyrzeczenie którego od ciebie żądamy, a my sobie zaraz pójdziemy, i zostawimy cię w pokoju. W przeciwnym razie, na drobne drzazgi rozniesiemy tę twoję starą jaskinią. Wiedz o tém, że z panem masz do czynienia.

— Niemogę przyrzekać, że niebędę kazał w téj materji. —

— No, to przyrzecz przynajmniej, że opuścisz nasze państwo. Pójdiesz sobie do swoich braci na północ, gdzie będziesz się mógł bez przeszkody włóczyć i szcze-kać co ci tylko przyjdzie do głowy, — ale tutaj dłużej cierpieć cię niemożemy. Ja tak dobrze jak ktokolwiek inny poważam szanownych kapłanów ewangelii, kiedy się ograniczają na swoich obowiązkach; ale kiedy sobie pozwalają intrygować w sprawach świeckich, to naturalnie postępuję z nimi, jak się postępuje z każdym, kto

się mięsza w nieswoje rzeczy. Wasze czarne sukienki niezasłonią was przed nami. Niepozwolimy księżom nad sobą przewodzić, — prawda chłopcy?

Głośny, pijany śmiech, odpowiedział Tomowi z tłumu. —

W téj chwili drzwi chaty się otworzyły, i ukazała się w nich blada, schorowana kobieta. —

— Mój przyjacielu, — rzekła spokojnym głosem do męża, — nietroszcz się o mnie i nieustępuj ani kroku. Ja potrafię znieść wszystko, — niczego się nie boję. — Za prawdę gotowa jestem umrzeć każdéj chwili. — Potém obróciła się do tych, co otaczali ojca Diksona: — Moi panowie, w téj chacie niema prawie nic, co by jakkolwiek wartość miało, wyjąwszy dwoje chorych dzieci. Jeżeli macie ochotę je zamordować, to nie łatwiejszego. Sprzęty nasze prawie nie niewarte, ale możecie je popsuć jeżeli chcecie. Kochany mężu wytrwaj przy swoim, i nieustępuj ani kroku. Jedném z najgorszych następstw niewoli jest to, że ona wytępia w sercu mężczyzn wszelkie uczucie szacunku dla kobiet. Każdy pamięta co się stało z delikatną, słabą żoną Lowejoja, która zasłoniła sobą drzwi do pokoju, w którym jój mąż był ukryty. Pijana zgraja znieważyla ją i zelżyła okropnie, gotowa po trupie jój utorować sobied rogę do jego serca. Ci którzy się przyzwyczaili bić niewolnice, niemogą oczywiście mieć najmniejszego wyobrażenia o szacunku, jakim przejęty jest człowiek wolny dla wolnej kobiety. Szanują oni kobietę, ale tylko wtedy, kiedy ją zdobi piękność, moda i zdrowie, a depeą nogami kiedy uboga i słaba.

— Kobieto, głupia jesteś! — zawołał Tom. — Nie myśl sobie, żebyśmy dla ciebie zaniechać mieli naszych zamiarów. My wiemy dobrze, czego chcemy.

— I Bóg wie także! — rzekła kobieta, utkwivszy w nim wzrok z wyrazem siły, jaką szlachetne uczucie nadaje niekiedy najsłabszej istocie.

Nastąpiła chwilowa pauza, — poczem Tom zaczął kląć straszliwie i nareszcie zawołał:

— Wiecie co chłopcy, — najlepiej skończyć to wszystko od razu. Przywiążcie go do tego drzewa, i wyliczcie mu trzdzieści sześć. On tak bardzo kocha Murzynów, że może choć raz zakosztować ich losu. Już my tu potrafimy wymódz na nim przyrzeczenie!

Tygrysia wściekłość opanowała całą bandę. Podniosły się dzikie okrzyki:

— Daléj! — Daléj! — Brać go! — Niech go djabli wezmą!

W kilka minut odarto ojca Diksona z zwierzechnich sukien, i przywiązano do drzewa.

— No, a co? przyrzeczesz teraz? — zapytał Tom Gordon. — Daję ci pięć minut do namysłu.

Tymczasem dzieci pobudziły się, i płacząc i drżąc stały przed chatą. Żona stanęła przed nim i zasłoniła go sobą.

— Stara, ruszaj precz! — krzyknął Tom Gordon.

— Niepójdę, — odrzekła, obejmując męża za szyję. Niedostąpicie do niego, chyba po moim trupie.

— Ben Hyat, weź ją ztąd! — rzekł Tom, — a jeżeli się rozsądnie zachowa, nierób jéj nic złego.

Ben Hyat oderwał biedną kobietę od męża, a ona zemdlona zwisnęła mu na rękach.

— Połóż ją na ziemi, — zawołał Tom Gordon na swego towarzysza, a potem obrócił się do ojca Diksona. No, stareze pięć minut już minęło. Co nam powiesz?

— Powiem wam, że nie na mnie nie wymusicie.

— Dobrze, — rzekł Tom. — Najlepiej, kiedy się kto wyraźnie tłómaczy. — Cofnął swego konia trochę w tył i przywołał człowieka który miał w ręku bicz, jakim zwykle chłoszczą niewolników.

— Bij!

Oprawca ciał, — ale ojciec Dikson ani pisał. Tymczasem cała pijana tłuszcza poczęła skakać z radości, i wołała śród śmiechów:

— A co? jak ci smakuje? Jak ci się to wydaje? Co? Może nam wytniesz teraz kazanie? No, powiedz jeno jaki text.

— Stać! — zawołał Tom. — No, kochany przyjacielu, widzisz że nieżartujemy, i zaręczam ci, że niemyślimy żartować. Niemożesz rachować na niczyje współzucie ani pomoc. Ani jeden duchowny w całym państwie nieujmie się za tobą, bo oni mają rozum, i niezechcą się wtrącać w nasze interesa. No, jakże? Zgadzasz się czy nie, na to czego żądamy?

W tej chwili scena zmieniła się nagle, gdyż niespodzianie ukazało się kilku panów na koniach, a na ich czele Klayton.

— Co to jest? — zawołał surowo. — Jakto? — Pan Gordon? Ojciec Dikson? Cóż mam myśleć o tém wszystkim?

— A któż u diabła pyta się pana o to co myślisz?— odrzekł Tom Gordon. — To pana wcale nieobchodzi, więc nie zachodź mi w drogę.

— Właśnie że mnie obchodzi, — rzekł Klayton; potem obrócił się do jednego ze swoich towarzyszków: — Panie Brown, pan jest urzędową osobą.

P. Brown, żwawy, nieco nadęty staruszek, przybliżył się na to wezwanie.

— A, jak mi Bóg miły, to coś okropnego! Co to znaczy panie Gordon? Jak pan możesz robić coś podobnego? Moi kochani powinniście się zawsze dobrze namyśleć, zanim coś przedsięwzięmicie!

Tymczasem Klayton zeskoczył z konia i przeciął sznur, którymi ojciec Dikson przywiązany był do drzewa. Ta nagła zmiana położenia, wyczerpała doreszty siły starca, i zemdlony upadł na ziemię.

— Jak wy się samych siebie niewstydzicie! — zawołał Klayton gniewnie spoglądając do koła. — Czyż to przystoi na takich silnych chłopów jak wy, krzywdzić duchownych, kobiety i dzieci które bronić się nie mogą?

— Czy, ta mowa i mnie się tyczy? — zapytał Tom Gordon.

— Pana szczególnie — odrzekł Klayton i bystro spojrział mu w oczy, a wysoka postawa jego, zdawało się że rosła jeszcze wyraźniej.

— To zuchwalstwo wymaga zadosyć uczynienia!

— Gotów jestem dać wszelkie zadosyć uczynienie, jakiego pan za to żądać możesz, — rzekł Klayton zimno.

— Już ja pana znajdę, — zawołał Tom Gordon, —

a wtedy będziesz mi musiał zdać rachunek ze słów swoich.

— Nie jestem przyjacielem pojedynków, — odpar Klayton; — ale gdybym nim był nawet, to niebiłbym się tylko z równymi sobie. A kto się do tyła poniża, że aż rolę renomisty i rozbójnika przyjmuje na siebie! ten sam dobrowolnie wyłącza się z klasy ludzi wykształconych. — Was, bo łatwiej uniewinnić można, — mówił dalej zwracając się do towarzyszy Toma Gordona, — bo wy nie lepszego nieumieciecie. Radzę wam więc: rozejdźcie się, — bo w przeciwnym razie zaniosę na was skargę do sądu, o gwałt i rozbój.

Ukazanie się człowieka imponującej powierzchowności, pełnego powagi i energii, wywarło magnetyczny wpływ na pijany motłoch. Wszysey zawahali się, i nie wiedzieli co począć.

— Chodź Tom, — szeptał Kite, — jużemy się mu i tak dobrze dali we znaki.

— Tak, tak, panie Gordon, rzekł p. Brown, i ja radzę, abyś wrócił do domu. Pan wiesz, że my wszyscy wszelkimi siłami powinniśmy się starać o zachowanie pokoju. Idźcie chłopey, idźcie, — jużecie i tak dzisiaj dosyć jak widzę nabroili, — dajecie pokój staremu. Będziecie mieli i tak o czém pogadać u Abijaha Stinkfint. — Idźcie do domu!

Tom Gordon, zły, zabrał się do odjazdu ze swojemi towarzyszami, — ale nim się oddalił, odezwał się do Klaytona:

— W tych dniach jeszcze usłyszysz pan o mnie!

— Jak się panu podoba, — odrzekł Klayton.

Pozostali usiłowali pocieszyć i uspokoić wystraszoną rodzinę. Żonę zanesiono do domu i położono na łóżku. Sam ojciec Dikson wkrótce przyszedł do siebie, tak dalece, że był w stanie usiąść o swojej mocy; a że wszyscy obecni znali go i kochali, doznawał więc od nich pełno oznak współczucia i politowania.

Jeden z tych panów był starszym, właśnie w tym kościele, w którym ojca Diksona życzono sobie za pastora. Ten więc uważał porę tę za stósowną, do zrobienia mu kilku uwag, odnoszących się do czynionych mu dawniejszej propozycji.

— Otóż, ojeze Dikson, — mówił on, — masz najlepszy dowód, że to wszystko prawda com ci powiadał. Niemożesz dalej tak postępować jak dotąd, — to jest czyste niepodobieństwo. Gdybyś tylko chciał się poczuć do tego, że nietrzeba dotykać tego drażliwego punktu, i gdybyś się ograniczył na wykładzie samej Ewangelii, wydobyłbyś się od razu z biedy. Ewangelia z czasem zapobiegnie i tak temu wszystkiemu; ewangelia więc zawsze główną jest rzeczą, — poco tam ruszać tę materią! My wszyscy, tak samo jak ty ojeze czujemy ile jest zlego w niewoli, i ciężko nad tém boleje dusza nasza, — tutaj z zadowoleniem [obtarł sobie twarz chustką od nosa, — ale zdaje się, jakoby Opatrzność nie chciała nam otworzyć żadnej drogi, na którejbyśmy złemu zaradzić mogli. Ja więc sędzę, że niepozostaje nam nic więcej, jak czekać cierpliwie i zdać się na Pana, który swojego czasu ciemność w światło i zamięszanie w porządek zamieni.

Ponieważ poczciwy starszy kościoła, ostatniego tego frazesu bardzo często używał na pobożnych zebraniach, ku zbudowaniu swych braci, przeto powiedział go jakoś śpiąco, mechanicznie, jak się zwykle mówią rzeczy stare i oklepane.

— Muszę wyznać, — odrzekł na to ojciec Dikson; — że ja niemogę się dopatrzeć choćby najmniejszego wpływu ewangelii na sprawę niewoli, jeżeli ewangelia opowiada się w ten sposób, jakieśmy ją dotąd opowiadali. Zły to znak, kiedy kazania niewywołują żadnego starcia.

— Ależ trzeba zważać na to, — przedstawiał mu p. Brown, — że położenie nasze jest szczególne. Murzyni nasi są ludem ciemnym i burzliwym, tak, że z tego najokropniejsze następstwa wypłynąć mogą. I dla tego też to zaraz powstają takie hałasy, jak tylko kto ten punkt poruszy. Byłem właśnie w Nashville podczas tej nieśczęsnej historyi z Dresserem. On tam ani słowa się nieodezwał, — ust nawet nieotworzył, — ale znano go jako abolicyonistę. Poczęto więc rewidować jego papiery, i znaleziono rzeczywiście jakieś dokumenta, z których abolicyonistowskie przemawiały tendencye. Wtedy wszyscy, kapłani i starsi kościoła wdali się w tę sprawę, i zgodzili się jednomyślnie, żeby go wychłostać. Ja sam przyznaję, że się zadaleko posunęli, — no, ale stało się! Ludzie zwykle w takich razach tracą rozsądek, a nawet trudno wymagać po nich tyle krwi zimnej. To też każdy powinien się mieć na ostrożności. Ja z mojej strony, pragnąłbym bardzo, żeby kapłani ograniczali się na samej ewangelii. Chrystus rzekł: „Królestwo moje nie jest tego świata.“ A potem Pan nieznasz Toma Gordona; — to

okropny człowiek! Niechciałbym nigdy mieć z nim do czynienia. Dla tego starałem się go o ile możności jak najłagodniej do odjazdu nakłonić, bo nieżyczyłbym sobie mieć w nim nieprzyjaciela. Jeżeli chcesz o tém kazać koniecznie, ojeze Dikson, to najlepiejby było, żebyś ten kraj opuścił. Naturalnie, ja niemyślę bynajmniej ograniczać niczyjój wolności sumienia, ale jak skoro czyjeś kazania burzą porządek publiczny, i drażnią opinią powszechną, to uważam za obowiązek stanąć im na przeszkodzie. —

— Tak jest, — rzekł p. Kornet, starszy kościoła, — powinniśmy mówić tylko o takich rzeczach, z których wszyscy zbudować się mogą. —

— Ale zapominacie panowie, — odezwał się na to Klayton, — że w ten sposób prawo wolności mówienia, poddamy pod władzę gminu. Jeżeli taki Tom Gordon śmie komuś dzisiaj przepisywać, co ma mówić w pewnym przedmiocie, to przy zdarzonej okoliczności, posunie się dalej, i ten sam bicz, który dzisiaj świstał nad głową naszego biednego przyjaciela, może kiedyś nad naszymi głowami zaświstać. Niechęć się tutaj wdać w rozbiór zasad ojca Diksona, ale jakiegokolwiek one są, powinien w nich wytrwać, chociażby dla utrzymania prawa wolności myślenia. —

— A kiedy przecież w Piśmie Śtém stoi wyraźnie: „Jeżeli cię prześladują w jednym mieście, to uciekaj do drugiego“ — rzekł p. Kornet.

— To powiedziane było do ludu, który żył pod jarzmem tyranii, i nieposiadał żadnych praw, w którychby obronie mógł być walczyć. Ale my, jeżeli pozwolimy aby

nam gmin przewodził, staniemy się niewolnikami najokropniejszego w świecie despotyzmu.

Ale niestety! Klayton mówił do ludzi, których uszy zatkało lenistwo i miłość życia wygodnego. Wstali i rzekli, że już czas jechać do domu. Klayton oświadczył że pozostanie na noc, aby w razie potrzeby udzielić przyjacielowi pomocy.

prz
wa
syc
żek
sił
św
cho
wto
co
sili
był
sie

Rozdział XII.

DALSZE GWAŁTY.

Obudziwszy się nazajutrz rano, Klayton znalazł swoich przyjaciół o wiele spokojniejszych, aniżeli się spodziewał po wczorajszych wypadkach. Wyglądali nawet dosyć wesoło.

— Niemyślałem, — rzekł do swego gospodarza, — żeby żona pańska była w stanie chodzić dzisiaj. —

— W tych którzy służą Bogu, — odrzekł ojciec Dikson, — siły mnożą się prawie cudownie. Ileż razy ja tego doświadczyłem! — Nieraz moja żona i ja byliśmy tak chorzy, że zdawało nam się, iż sobie już rady niedamy; wtém zachorowało nam dziecko, albo zdarzyło się coś, co wymagało naszych starań i czynności; — wtedy prosiłszy Boga o siłę, i zawsześmy ją znaleźli. Czasami byliśmy zupełnie w takim położeniu, jak Izraelci w czasie ucieczki z Egiptu; drogę przecinało nam morze, a

za nami byli Egipcyanie; ale morze zawsze się rozstąpiło, ilekroć wznieśliśmy ręce do Pana. Jeszczem nigdy Pana mego daremnie niebłagał. Zsyłał ci on na nas ciężkie smutki, ale nas też po nich i pocieszał zawsze.

Klayton przypomniał sobie owego ambitnego niedowiarka, Franka Russela, i porównał go w myśli z tym prostym, prawym człowiekiem, który stał przed nim.—

— Jednak człowiek niejest pustą lupiną, — pomyślał sobie. — Są na świecie prawdziwi ludzie, którzy gardzą najzyskowniejszemi widokami, jeżeli one nie są prawe i uczciwe.

Klayton potrzebował bardzo takich żywych przykładów, gdyż pod względem religii, znajdował on się w stanie, w jakim w owym kraju znajduje się wielu młodych ludzi z wysokiem umysłowem wykształceniem. Widział on jasno politykę i niewolniczą uległość, z jaką wszystkie odcienia wyznań chrześciańskich hołdowały duchowi czasu, i spostrzeżenie to rzuciło na jego duszę cień wątpienia i nieufności, które w pewnych stadyach duchowego rozwoju, z łatwością opanowują człowieka, obdarzonego z natury umysłem bystrym i badawczym. Po wielkim smutku, który duszę aż do najgłębszych jej tajników przeniknie, następuje częstokroć w życiu ludzkim peryód sceptycyzmu. Taki smutek posiada rzeczywiesie siłę rozczarowującą; nadaje umysłowi taką trzeźwość, taką bystrość pojęcia, że żadne złudzenia oszukać jej niemogą. Wtedy człowiek odkrywa w koło siebie tyle fałszu, tyle nieprawdy, że przychodzą nań godziny, w których wątpi o wszystkiem na świecie.

Klayton upatrywał dziwne podobieństwo moralne między Niną a ojcem Dikson. Niebiański obraz zmarłej

jego przyjaciółki, który ciągle, jakby w zwierciadle odbity, stał przed jego oczyma, zlewał się w jedną postać z zacnym kapłanem. W postaci tej jednoczyło się wszystko, co dobre i piękne.

— Co myślisz ojeze począć na przyszłość, — pytał Klayton z troskliwością. — Zaniechaszże swych usiłowań w tym kraju?

— Chyba wtedy, gdy się przekonam, że mię nikt nie słucha, — odrzekł ojciec Dikson. — Mojem zdaniem, kraj sam wkłada na nas obowiązek nieporzucania tej kwestyi, dopóki do dna wyczerpaną niezostanie. — Są przecież tacy, którzy chętnie mnie słuchają, i gotowi są wraz ze mną do dzieła przystąpić. Prawda, że to są ludzie biedni i maluczcy, ale obowiązkiem moim jest nieopuszczać ich, dopóki się przynajmniej nieprzekonam, że prawa nasze niesą w stanie dać mi opiekę, przeciwko tym, którzy mi przeszkadzają w pełnieniu obowiązków mego powołania. Serca ludzkie są w ręku Boga, — on obraca je jako wody strumienia. Złe jest wielkie i do nieba krzyczące; przed niem powoli uniża się nawet chorągiew moralności kościoła, tak że dzisiaj już ludzie niepomną czyjemi są dziećmi. Uważałem więc za mój obowiązek, niepoddać się gwałtowi, i niedawać żadnego przyrzeczenia, że opuszczę kraj ten, zanim będę wiedział wolą Pana mego. —

— Przykra by to dla mnie rzecz była, — rzekł Klayton, — gdybym musiał być tego zdania, że cię ojeze, północna Karolina przed prześladowaniem zasłonić niezdola. Jestem przekonany, że bezprawie którego padłeś ofiarą, obudzi najwyższe oburzenie, skoro dojdzie do publicznej wiadomości. Trzebaby ci się tylko przesiedlić

w inną okolicę, której Pan Bóg nieukarał exystencyą takiego człowieka jak Tom Gordon. Pomówię o tём z moim wujem, a twoim przyjacielem, Drem. Cushing, i zobaczę, czy się nieda dla ciebie wynaleźć jakie miejsce odpowiednie twemu powołaniu. On tutaj bawi teraz w C*, gdzie przyjechał odwiedzić swego teścia; pojedzie więc do niego jeszcze dzisiaj, i rozmówię się z nim. A teraz pozwól mi ojeze, — dodał powstawszy i gotując się do odjazdu, — złożyć mały datek, na poparcie sprawy wolności religijnej, której jesteś wyznawcą. —

I uściskawszy przy pożegnaniu ręce swojego przyjaciela i jego żony, zostawił im sumkę, jakiej oddawna niemieli na swoim gospodarstwie. W kilka godzin potem był już w C*, i opowiedział swemu wujowi wypadki przeszłego wieczora.

— To doprawdy straszne rzeczy! — zawołał Dr. Cushing. — Boże! do czegoż to już doszło! Mój przyjacielu, oto jest dowód, jak modlitwa jest potrzebną. „Gdy nieprzyjaciel nadchodzi jako fala, musi duch Pański wywiesić chorągiew przeciwko niemu!“

— Mój kochany wuju, — rzekł Klayton trochę niecierpliwie, — mnie się zdaje, że Bóg w osobie tego człowieka wywiesił swoją chorągiew, ale ludzie boją się pod nią zgromadzać.

— Mój kochany siostrzeńcze, — rzekł Dr. Cushing, — mnie się zdaje że się trochę unosisz. —

— Że się unoszę? — zawołał Klayton. — Jakże się niemać unosić! I tybys się wuju, zgrozą unieść powinien! Oto człowiek, który podejmuje to, coś ty sam za konieczną uznał reformę, stara się ją na legalnej, spokojnej drodze przeprowadzić, a motloch depce go nogami! A ty

zamiast czego, prosisz tylko Boga, aby wywiesił swoją chorągiew. Cobyś sobie pomyślał o człowieku, które-muby dom gorzał, a onby siedział przy nim i prosił Boga, aby go w swojej mądrości ugasił.

— Nietrafne porównanie, — rzekł Dr. Cushing. —

— Ja myślę że przeciwnie, — odparł Klayton. —

Kraj nasz jest tym domem, a przewaga motłochu nanieciła pożar w tym domu; — zamiast więc prosić Boga aby go zgasił, powinienieneś pracować i sam gasić. Wuju, gdybyście wy duchowni wzięli się wszysey za ręce, i całego waszego wpływu użyć chcieli ku temu celowi, możnaby złemu zaradzić.

— A! jabym tak rad, żeby to można coś zrobić! Biedny ojciec Dikson! To taki poczciwy człowiek! Ale powiem ci Klaytonie, że on był trochę nieuważny. — W taki nieogłędny sposób, jak on sobie poczyna, nieda się nic zrobić. Mojem zdaniem, trzeba się niezmiernie strzedz zbytniego pośpiechu; — za nadto przyzwyczailiśmy się do obcesowego postępowania, i niezważamy na wyroki Opatrzności. Biedny Dikson! A ostrzegałem go, pisząc do niego ostatnią razą. — Ale to wszystko ich nieusprawiedliwia. Ja napiszę o tém do brata Barkera, i umieszczę może jaki artykuł w „Chrześcijańskim świadku.“ Oczywiście niebędę mówił wprost o tej przygodzie, ani broń Boże, imion wspominał; ale będzie można napisać coś o tém w ogólności, jak ważném jest dla nas utrzymanie prawa wolności mówienia, a osoby interesowane, bez wątpienia domyślą się o kim to mowa.

— Doprawdy wuju, przypominasz mi człowieka, który chciał złowić rekina, rzucając za nim gąbką. Ale mnie tu na seryo chodzi o bezpieczeństwo tego zacnego

człowieka. Czyż tu niema gdzie w bliskości ciebie kościoła, przy którym mógłby znaleźć pomieszczenie? Słyszałem go mówiącego na jednem pobożnem zebraniu i zdaniem mojem jest to znakomity kaznodzieja.

— O! — rzekł Dr. Cushing, jest wiele takich kościołów, któreby bardzo szczęśliwe były z posiadania jego, gdyby tylko nie to uieszczęsne stanowisko, z jakiego on się zapatruje na tę kwestyę! Doprawdy, ja niemogę się przekonać, żeby to miało być dobrze z jego strony, że tak wpływ swój marnuje. Miałby w rękach tyle środków nawrócenia niejednej duszy, gdyby tylko temu chciał dać pokój.

— A więc miałby milezieniem pomijać grzechy główne, dla jakichś niepewnych widoków nawracania dusz! zawołał Klayton. — I cóżby to było za nawrócenie tych dusz, gdyby one niebyły gotowe słuchać prawdy pod każdym względem? Przyznam się, że niemogę uwierzyć w nawrócenie, okupione takiem milezieniem.

— A przecież Chrystus i Apostołowie nie powstawali na nadużycia niewoli, chociaż wspominają o niej jako o rzeczy istniejącej naówczas.

— Tak samo niepowstawali też na wielkie igrzyska i walki w cyrku, — odparł Klayton, — a jednak Paweł Śty nieraz kreślił ich obrazy. Ich położenie było inne. A zresztą mamyż wziąć sobie za zasadę, że powinniśmy dzisiaj mileżeć o wszystkiem, o czem wówczas Apostołowie wprost niemówili?

— Niechęć się w tej chwili zapuszczać w dalsze rozprawę, — rzekł Dr. Cushing. — Najlepiej będzie że pojedę do brata Diksona. To jest z gruntu poczciwy, kochany człowiek i ja go bardzo lubię. Chętniebym dla

niego coś uczynił, gdybym się niebał, że mi to za złe wezmą.

Ku wieczorowi Klayton uczuł w sereu niepokój, przypomniawszy sobie w jak samotném ustroniu mieszkał jego przyjaciel, gdzie z nikąd niemógł spodziewać się pomocy; postanowił więc wrócić do niego, i jeszcze tę noc w domu jego przepędzić. Wziąwszy tedy parę pistoletów, puścił się w drogę. Że jednak dzień był niezmiernie gorący, niespieszył się więc bardzo, i dość późno wyjechał, — tak, że noc zapadła, zanim stanął na miejscu.

Zamyślony, jechał z wolną drogą leśną, biegnącą obok bagna, gdy wtém nagle usłyszał tętent koni. Trzech jeźdźców dopędzało go właśnie, a pierwszy z nich poskoczył naprzód, i tak silnie uderzył go gutaperchową laską, że spadł na ziemię.

W mgnieniu oka jednakże stanął na nogi, i uchwycił swego konia za cugle.

— Co wy za jedni? — zapytał, bo choć wśród zmroku, dojrzał że wszyscy byli w maskach.

— Jesteśmy ludzie, — odrzekł jeden z nich, którego głosu Klayton nieznał, — co umieją sobie radzić z zuchwałcami, którzy obrażają zacnych ludzi, a potem nie chcą im dać zadosyćuczynienia.

I wiemy też, — dodał drugi, — jak należy traktować abolicyonistowskich zbiegów, którzy chcą obalić nasze ustawy.

— I wiecie także, — rzekł Klayton z krwią zimną, jak postępują tchórze, bo tylko tchórze mogą we trzech napadać na jednego, i uderzać na niego z tyłu. Podli jesteście! A teraz róbcie co wam się podoba. Pierwszém uderze-

niem odjęliście mi władzę w prawej ręce; jeżeli więc macie ochotę na mój zégarek, albo sakiewkę, to weźcie sobie sami, jak to jest we zwyczajach u rozbójników.

Szyderstwo i wzgarda z jaką te słowa wymówił, do wściekłości widać doprowadziły trzeciego jeźdźcę, który się dotąd nieodzywał. Z okropnym przekleństwem przyskoczył i wyciął znów laską Klaytona.

— Bijcie ile się wam podoba człowieka rannego, który się wam bronić niemoże, — zawołał napadnięty, — czego innego po was spodziewać się niemożna. Wy tylko wtedy jesteście odważni, kiedy napadacie na bezbronne kobiety i dzieci, albo na kapłanów.

Jeszcze jedno uderzenie powaliło Klaytona na ziemię, a Tom Gordon zeskoczywszy z konia, rycerskim obyczajem, w północnej Karolinie przyjętym, począł bić po głowie bezbronnego nieprzyjaciela. Ale w tej chwili cios zadany niewidzialną ręką, ugodził go w rękę prawą, tak, że złamana zwisnęła. Z bólu wyzionął mnóstwo przekleństw, a w tém głos jakiś odezwał się z krzaków:

— Biada krwawemu i zradzieckiemu człowiekowi!

— Łapajcie tego łajdaka! — krzyknął Tom Gordon.

Wystrzał i kula, która tuż nad jego głową świsnęła, odpowiedziały na ten okrzyk od strony bagna, a potem zawołał głos, po którym poznał Harrego:

— Tomaszu Gordon, strzeż się! — Przypomnij sobie Harka!

W tej chwili druga kula zaświstała nad ich głowami.

— Chodźmy, chodźmy! — zawołałi dwaj drudzy. — Tu widać jest ich cała banda. Trzeba uciekać! Tom ze złamaną ręką nie nam niepomocze! — I wsadziwszy Toma na konia odjechali z pośpiechem.

Gdy się oddalili Dred i Harry wyszli z gęstwiny.

Dred między swojemi znany był z chirurgicznój biegłości. Podniósł Klaytona, opatrzył go uważnie, i rzekł:

— Żyje jeszcze!

— Cóż z nim zrobimy? — zapytał Harry. — Czyby go zanieść do chaty ojca Diksona?

— Nie, nie; — tamby go Filistyni najprędziej znaleźli. —

— Do C* jest pięć mil z okładem. Niepodobna go nieść tak daleko.

— Nie, — zaniemiemy go do naszego obozu Engedi. Nasze kobiety będą miały o nim staranie, a gdy pozdrowieje, będzie sobie mógł jechać dalej.

Gdy się oddalił Drob i Harry wyszł z gwałtownością.
 Drob między swoimi żonami był z chynurkami, die-
 głosci. Podział Kłajtonu opatrzył go uważnie i rzekł.
 — Nije jaszele, si... z... i...
 — Co z nim zrobisz? — zapytał Harry. — Czyby
 go zanieść do chary ojca Diksona? — zapytał Drob.
 — Nie, nie; — stanął go Filistyni najprzedz...
 lozia...
 — Do Co? jest bieda mi z okładem. Niepodobna go
 nieść tak daleko...
 — Nie, — zaniesi mi go do naszego szpazu Engedi.
 Nasze kobiety będą tuż, o nim sławie, a gdy pozna-
 wie, będzie sobie mógł jechać dalej.

Rozdział XIII.

OBÓZ ENGEDI.

Już się może nieraz czytelnikom naszym nastęrczyło pytanie, jakim sposobem schronienie, do którego z taką łatwością trafiali okoliczni Murzyni, mogło ująć dotąd oka śledzących ich strzelców.

Jest to rzecz pewna, że ludzie żyjący pod jarzmem ucisku, umieją zawsze wynajdywać tysiące środków zachowania swoich tajemnic. Niemniej niezawodnym jest fakt, że ludność której udziałem jest ciężka praca, ma zawsze nad klasą próżniaczą pewną wyższość, którą jej nadaje siła fizyczna i wielka wytrwałość. Tak samo się też ma rzecz w południowych Stanach Zjednoczonych.

Przyzwyczajenie oswaja mieszkańców bagna ze wszystkimi własnościami miejsca ich pobytu i udziela im tych wszystkich korzyści, jakie góry nadają góralom. — Oprócz tego ci, którym chodzi o życie, poczynają sobie

naturalnie z większą energią, aniżeli ci którym tylko chodzi o pieniądze, — i ta to może okoliczność, głównie podtrzymywała zawsze Murzynów w walce ze strzelcami.

„Obóz Engedi“ jak go Dred nazwał, oddzielony był od reszty bagna, moczarami głębokimi i szerokimi na dwadzieścia łokci, przez które po pas brnąć trzeba było.

Przeciwny brzeg pozornie wydawał się oku, jako nieprzebyty gąszcz głogów i dzikiego wina, wyrastającego z wody. W jednym tylko punkcie wysepka była przystępna od strony wody. Było to właśnie w miejscu, w którym widzieliśmy Dreda wychodzącego na brzeg wtedy, gdyśmy po raz pierwszy miejsce jego pobytu ukazali czytelnikowi. Strzelecy poprzestawali zwykle na przeszkaniu przystępniejszych części bagna, a bez zdrady ze strony kogoś z tych, którym Dred przesmyk ten pokazał, niepodobniestwem prawie było, odkryć kiedykolwiek to schronienie.

Dred jak gdyby w spadku po ojeu swoim Denemarku Veseyu, odziedziczył zdolność przenikania i odgadywania ludzi, a pełne niebezpieczeństw życie jego, zdolność tę do wysokiego stopnia podniosło. Ci których wybierał na swoich powierników, równie jak on sam umieli dotrzymywać tajemnicy; byli to moralnie i fizycznie najsilniejsi ludzie ze wszystkich plantacyj. Religijny entuzjazm, i silne przekonanie wewnętrzne, że go Bóg powołał na wodza i oswobodziciela jego ludu, nadawały mu nad jego zwolennikami przewagę, jaką tylko religijne natchnienie nadać jest w stanie. Usposobienie to, podnosiła jeszcze prostota jego życia. Gardził on wszelkimi wygodami, gorących trunków nigdy nieużywał, i żył

w ogóle bardzo skromnie i oszczędnie. Częstoć po-
ścił po całych dniach, a mianowicie wtedy, kiedy umysł
jego zajmowały ważne jakie plany i zamiary.

Trudno byłoby odgadnąć i zbadać całą głęb, tego po-
tężnego a czynnego ducha, odciętego całkiem od wszel-
kiego towarzyskiego życia.

Powiadają, że w tych samotnych krainach, które on
obrał sobie był na mieszkanie, drzewa, w skutek dziwa-
cznych własności bagnistego gruntu, z którego czerpią
pożywienie, przybierają częstoć potworne formy, zu-
pełnie różne od pierwotnego ich kształtu. Niezliczone
rodzaje olbrzymich roślin, z czarującym wdziękiem roz-
ciągają się u stóp tych drzew.—Niemasz w całej naturze
drugiej tak potężnej siły, jak siła ciągłego wzrostu. —
Jest to tajemniczy, strachem przejmujący warunek wszel-
kiej exystencji, który rozwija się nawet wśród najnieprzy-
jawniejszych okoliczności, a jeżeli jakaś nadnaturalna
przeszkoda na drodze mu stanie, bajeczne częstoć ro-
dzi kształty.

Ten samotny, dziki pas bagien, pokrytych niezmiernym
gąszczem niesłychanie bujnej roślinności, jest wiernym
obrazem ponurego, dziko wybującego ducha tamtejszej
ludności, podobnie jak ów kraj podmokły, odciętej cał-
kiem od wszelkiego towarzyskiego życia.

Owój nocy, którąśmy niedawny skreślili, w duszy tej
dziwnej istoty, będącej przedmiotem naszego opowiada-
nia, śmiertelna odbyła się walka. Zdaje się, że stan je-
go moralny, musiał być naówczas podobny do stanu lu-
dzi porwanych i opętanych przez boga zemsty, o któ-
rych stare opowiadają legiendy. Ta drażliwość moralna,
którą wszyscy w mniejszym lub większym posiadamy

stopniu, a która rodzi w nas ból na widok niesprawiedliwości i budzi żądę słusznej opłaty za zbrodnie i okrucieństwa, w Dredzie pochłaniała wszelkie inne uczucia, tak, że zdawał się być rzeczywiście istotą, przez wyższą jakąś potęgę, na narzędzie zemsty przeznaczoną.

Były chwile, w których myśl o zbrodniach i ucisku gniotącym lud jego, takim bólem przeszywała jego duszę, że podobny do nieszczęśliwej Kassandry, u stopni krwawego gmachu niewoli, straszne wydawał jęki. Takie uczucie sprawiedliwości, taka męczarnia na widok każdego okrucieństwa, są prawdziwymi cechami dusz wzniosłych, — bo cnota tych, którym zbywa na tej drażliwości moralnej, musi koniecznie miękka być i słaba. Ale obok tego uczucia, Bóg zaszczerpił zarazem w sercu ludzkim siłę, która je miarkuje i łagodzi. Przykłady tej siły znajdujemy w Piśmie Śtém, a uosobieniem jój jest sam Jezus Chrystus. Jako zaena, kochająca matka, tłumi w sercu boleść na widok występków swego dziecka, tak samo dobroć Jego znosi cierpliwie grzechy nasze. Ale Pismo Śte uczy nas zarazem, że ta sama boska osoba, będąca symbolem wcielonej bożej miłości, łączy w sobie i ogromną gniewu potęgę, — i pokazuje nam pysznych grzeszników, którzy w dniu sądu ostatecznego wołają aby ich skały i góry przygniotły, i zasłoniły ich przed gniewem Baranka.

Wyobrażenie tego gniewu, z całego Pisma Śgo najsilniej wraziło się w umysł Dredy, i nigdy prawie go nieopuszczało. Do niego po większej części odnosiły się wszystkie jego myśli i mowy.

Obraz miłosierdzia i dobroci boskiej, który Milly w czasie owiej nocnej schadzki, z właściwą sobie prostotą i wiarą nakreśliła, zrobił na nim ogromne wrażenie, stając w zupełnej sprzeczności z owym wyobrażeniem, które się już prawie zrosło z jego duszą. I ztąd powstała w nim owa walka, o której wspomnieliśmy wyżej.

Gdy towarzysze jego rozeszli się na spoczynek, upadł twarzą na ziemię i modlił się:

„Baranku Boży, który znosisz grzechy świata! Dla czegoś napełnił mię gniewem? Patrz, oto krew naszego brata woła do nieba o pomstę! Patrz, oto groby, — groby naszych braci, których oni pomordowali i nieżalują tego! Twoje oczy są za czyste, aby patrzeć na złe, i niemogą znieść niesprawiedliwości. Dla czego patrzysz na tych którzy zdradziecko postępują, i milczysz, kiedy zły człowiek zabija drugiego, który sprawiedliwszy jest niż on? Oni uważają ludzi jako ryby w morzu, jako czolągające się gady, które niemają pana nad sobą, — łapią ich na wędkę, napełniają niemi swoje sieci, — a potem cieszą się i weselą. I dla tego czynią ofiary przed swemi wędkami, i palą kadzidło przed swemi sieciami, bo przez nie stają się bogatemi i mają chleba do zbytku. Czyż więc niepowinni wypróżnić swoje sieci, i przestać zabijać ludy bez ustanku. Czyż ten który ich powołał do życia, nie stworzył i nas tak samo? Czyż nie jeden Bóg wlał ducha w nich i w nas? Ty o Boże, jesteś naszym ojcem, naszym zbawcą, — dla czegoż zapomniałeś o nas, dla czego opuściłeś nas na tak długo? Czyż nierozsądzisz między nami, a naszymi nieprzyjaciółmi? Nie masz ani jednego między niemi, któryby Ciebie wzy-

wał, a ten który się od złego odłącza, staje się ich łupem. Oni czynią zasadzki — zakładają sieci — łapią ludzi — opływają we wszystko — błyszczą — na czynny występny patrzą przez szpary — niechęć sądzić sprawy sieroty i prawa biednego za nic mają. Czyliż ich za to nienawiedzisz o Panie? Czyż niepomścisz się na tym ludzie? Dopókiż będziesz zwlekał? Patrz oto u stóp ołtarzy leżą dusze tych, których oni pobili, i bez przestanku wołają do Ciebie. Dopókiż o Panie, odkładać będziesz twój sąd i pomstę? Czyż jest kto między nimi, coby krwi naszej szczenił? Sprzedają nas za srebro, — cena krwi naszej leży na twych ołtarzach i w skarbcach twoich. Patrz, oto oni budują ci świątynie, za to, co my w pocie czoła zapracujemy. Patrz, oto każdy kamień w murze krzyczy głośno, a sklepienie mu odpowiada, bo oni budują miasta swoje ze krwi, i rządzą się w nich niesprawiedliwością. Wszyscy idą tą samą drogą. Nie masz ani jednego, coby się ujął za krzywdę biednego. Jesteś Bogiem sprawiedliwości? Kiedyż powstaniesz i zatrząsiesz ziemią, aby przyszedł Ten, którego oczekują wszystkie ludy? O Panie! przyspiesz dzień sądu twego!“

Słowa te wyrywały się gwałtownie z piersi jego, przerywane jękiem i łkaniem. Ale noc była cicha, jasna, spokojna; gwiazdy błyszczały tak pięknie, tak uroczo, jakgdyby żadna modlitwa nieunosila się ku ich namiotowi bez końca, — nareszcie od wschodu zabłysnął ranek. —

Harry także bezsennie noc przepędził. Śmierć Harka kamieniem leżała mu na sercu; — znał go zawsze jako człowieka dzielnego ducha i silnej woli, i przez wiele lat Hark był jego wiernym przyjacielem i doradcą, a

teraz dla niego, skonał w męczarniach, niewyrzekłszy ani słowa.

Idąc za wewnętrznym popędem, Harry byłby natychmiast zrobił powstanie, bo jemu niechodziło już o życie, a dusza jego łaknęła za sprawiedliwością. Budzący się ranek wydawał mu się czerwony krwią przyjaciela. — Chciał koniecznie bez zwłoki chwycić się kroków gwałtownych, ale sprzeciwił mu się Dred, wierny swoim natchnieniom, utrzymując, że trzeba czekać znaków na niebie, któremi Bóg obwieści, że dzień łaski przeszedł, a nastął dzień sądu.

W tém oczekiwaniu, przysposobił on tylko przy pomocy swych powierników, umysły ludu do wykonania swoich planów, i ciągle wzdłuż i wszerz przechodził bagna, naznaczał tu i owdzie schadzki Murzynom, i czytał im, i objaśniał po swojemu, różne prorocтва z Pisma Śgo.

Gdy się dzień zrobił, Harry ujrzał Dreda siedzącego przed chatą, znękanego, z twarzą pochmurną.

— Ciężką walkę przebyłem dla ciebie, — rzekł Dred, — ale jeszcze czas nieprzyszedt. Trzeba jeszcze jaki dzień przeczekać, bo wyroki Pańskie zakryte są jeszcze przed memi oczyma, i niemogę ani mniej, ani więcej uczynić, dopóki mi Pan nieda rozkazu. A gdy Pan odda ich w nasze ręce, wtedy jeden popędzi przed sobą tysiąc, a dwóch, dziesięć tysięcy zmusi do ucieczki.

— Gdzie tam! Dla nas niema żadnej nadziei! — jęknął Harry. — My jesteśmy tylko garstką wygnańców, którzy niemają gdzie głowy złożyć, a ich jest dużo — i żyją w blasku i potędze. Któż jest między całym tym

ludem, ktoby niebył przeciwko nam? Któż z nich niezawołalby Amen, gdyby nas pochwycono i jak psów powieszono? Północ w niczém nielepsza od południa;— oni mordują nas a północ milczy, usprawiedliwia ich okrucieństwa, i całe swoje bogactwo, całą potęgę i religiją, przeciwko nam obraca. — My jesteśmy temi, których każda partya wydać gotowa. — Każdy, czy to członek kościoła, czy członek rządu, gotów jest bez wahania rzucić krew naszą i kości nasze jako gwiacht na szalę. Gdy ich widzę jak jeżdżą w pysznych pojazdach, gdy pomyślę, jak domy ich pełne są wszystkiego co wspaniałe i świetne, — jak oni uczyć i kształcić się mogą, a potem spojrzę na nasz lud nędzny, biedny i czolgający się w prochu, niemogę wierzyć, że Bóg jest!

— Milcz! — rzekł Dred, kładąc rękę na jego ramieniu. Słuchaj co mówi Pan: „Kraj ich pełen jest srebra i złota, i skarbow ich niema końca;—kraj ich pełen jest koni, a wozom ich niema końca; — kraj ich pełen jest bałwanów, i oni modlą się dziełu rąk swoich. — Idź między skały! Ukryj się w prochu! Albowiem lękaj się Pana i wielkości Jego majestatu! Hardy wzrok ludzki będzie upokorzony, i duma ludzka ugięta będzie, i tylko Pan w ów dzień wywyższon będzie! Albowiem dzień Pana Zastępów przyjdzie na tego, który dumny i pyszny jest, i będzie upokorzony. I zadrżą wszystkie cedry Libanu, i wszystkie góry wysokie, i wszystkie wysokie pagórki i każda wieża wysoka, i każdego mur wysoki. I pycha ludzka będzie upokorzona i duma ludzka poniżona zostanie. I uciekną w jaskinie i podziemia ze strachu przed Panem i wielkością Jego Majestatu, kiedy On powstanie i wstrząśnie ziemią!“ —

Wysokie sosny i szumiące dęby, kłyszając się wśród świeżego rannego powietrza, podobne były do skrzydlatych aniołów, jakoby dających świadectwo prawdziu tych słów natchnionych.

Po chwili, jakiś wyraz niepokoju przebiegł po twarzy Dreda.

— Harry, — rzekł, — Bóg, zaprawdę kryje przed nami oblicze swoje. Nikomu niedaje objaśnienia w tej sprawie. Być może, że ja mego ludu nieprzeprowadzę za Jordan, i kości moje pogrzebione zostaną na pustyni. Ale z pewnością nadejdzie dzień, w którym w powietrzu ukaże się znak Syna Bożego, i wszystkie ludy ziemi zawołają: biada! — Widzisz, ja widziałem duchy białe i czarne, które w powietrzu walczyły. I gromy grzmiały, i krew płynęła a głos mówił: „Pójdźcie wy silni, i wy słabi, albowiem dzień się zbliża. — Ale modlitwy świętych mają jeszcze swoją siłę, albowiem oto są Aniołowie trzymający złote kadzielnice, z których wznosi się woń modlitw świętych, i dla tego Pan zwleka jeszcze dzień Sądu.“ — Patrz, — oto ja nieraz poczułem ciężar ręki Pańskiej. Nieraz w dniach gniewu swego okrywał mię obłokiem, i napelniał mię gniewem swoim, a słowo Jego trawiącym ogniem przenikało kości moje. Oku memu kazał czuwać, i kości moje postarzały się wśród ciągłej włóczęgi. I wtedy mówiłem: „O Panie, ukryj mię w prochu, i przechowaj mię, dopóki gniew Twój nieprzemienie!“

W tej chwili ponad ich głowami wzleciał dziki gołąb, i unosił się ku niebu, i kapał się w złotym świetle poranku, — a tak lekko, tak regularnie poruszał skrzydłami, jak gdyby w takt śpiewu aniołów. Dred, którego o-

ko zamglone i zapadłe było od nocnego czuwania, ściagał go długo wzrokiem, w którym jakaś słodka radość, mieszała się z wyrazem niewysłowionej tęsknoty.

— O, gdybym miał skrzydła gołębie! — rzekł, — wzleciałbym w górę i miałbym pokój wieczny! Uciekłbym przed szturmem i burzą. — Poszedłbym daleko i zostałbym na pustyni!

Człowiek ten obdarzony szczególną siłą i energią uczucia, z łatwością porywał za sobą drugich, podobnie jak wielki okręt, który płynąc po morzu, wszystkie pomniejszych statki w ślad za sobą pociąga.

Harry poddał się też podobnemu jak on smutkowi i z równą jak on namiętnością, powtarzał za nim w myśli następującą modlitwę:

— Wiem, — tak się modlił Dred, że będzie nowa ziemia i nowe niebo, i że wybrani Pańscy otrzymają je w posiadanie. Ale ja jestem człowiek nieczystych warg, i Pan przygnębił mię uciskiem mego ludu. Jednak chociaż twarde jarzmo mię gniecie, lecz dzień ten przyjdzie z pewnością.“

Harry powstał, i odszedł od Dreda w inną stronę polany, gdzie stary Tiff, Fanny, Teddy i Lizeta rozpalili na ziemi wielki ogień, i gotowali śniadanie. Dred zamiast iść do domu, zniknął w gęstwinie. Milly poszła z człowiekiem, który przybył z Kanemy.

Nazajutrz Harry i Dred polowali na bagnach, i przypadkiem, kiedy już wieczorem wracali do domu, usłyszeli hałas, i chociaż trochę za późno, przybyli na pomoc Klaytonowi.

Rozdział XIV.

TOM I JEGO PRZYJACIELE.

Tom przez kilka dni po owęj niefortunnej dla siebie wyprawie, cierpiąc na rękę, podobny był do ranionej hijeny. Co godzina, co minuta zachciewało mu się co innego, i nikt mu dogodzić niemógł. Biedne dziewczęta, którym się pielegnować kazał w chorobie, dręczył ciągle coraz to nowemi zacheceniami, zwyczajnie jak człowiek niecierpliwy i namiętny.

Po śmierci swojej Pani, Milly przeszła także na własność Toma, który ciągle odwoływał ją od roboty, zasięgając jej rad, które za chwilę klnąc i wyzywając straszliwie, odrzucał.

— No, prawdę powiedziawszy — mówiła ciotka Katy, stara gospodyni, — Master Tom tak gonić człowieka, że mi nogi chcą odpaść. — W przeciągu dwóch godzin, akurat cztery razy gotowałam mu kaszę owsianą, — starałam się zrobić jak tylko umiem najlepiej,

ale on i tak kłać i cisnąć ją precz. No, on ma gorączkę, i jakże jemu ma co smakować. To inaczéj być nie może, więc niema za co kłać mię djablami i przezywać; Mnie się przynajmniej zdawać że to wcale niepotrzebne. Gordonowie chociaż czasem bywali grubijanie, zawsze jednak mieli rozum; ale on to niema go ani odrobiny. Ja myśleć, że jego chyba stary Sam o czarował. Cokolwiek kto zrobić, on zawsze tylko wymyśla. Już doprawdy, niewiedzieć jak głowę nosić. Gordonowie, to zawsze była taka dobra familia. Mój Boże! My niewiedzieli co mamy, kiedyśmy mieli Mis Ninę. A teraz te nowe dziewczęta stroją się w jej suknie i falbany! — Ja tylko ciekawam, jak one tam wytrzymają! —

Wkrótce jednak Tom mimo swéj drażliwości, i mimo tego, że całkiem na lekarskie przepisy niezważał, począł przychodzić do siebie. Zdaje się że ta sama siła, która tak bujny wzrost daje trującym roślinom, i jemu wracała zdrowie. Niemając co robić, tworzył ciągle plany zemsty, które postanowił wykonać natychmiast, jak tylko na konia wsiąść potrafi.

Między innemi zaprzysiągł także okropną zemstę Abijahowi Stínkflint, bo utrzymywał, że on musi Murzynom na bagna amunicyi dostarczać. Zresztą niechodziło mu wcale o to, czy domysł jego był uzasadniony, czy nie. W obliczu prawa pięściowego, takie drobnostki niemają żadnego znaczenia. Tam każdy, wedle upodobania swego mocniejszego sąsiada, może być zaskarżony, osądzony i ukarany. Tom przypuszczał, że tak być może, i niepytał się o resztę; — zresztą był chory i w złym humorze, — jeszcze jedna racya więcej do potępienia obwinionego.

Tom wiedział, że Jim Stokes miał od dawna złość do Abijaha Stinkflint, i umyślił jęj téż użyć za narzędzie do wykonania swego planu.

Pierwszą zatem rzeczą, którą zajął się Tom, kiedy powrócił o tyle do zdrowia, że mógł się na koń, była wyprawa na sklep Abijaha. — Sklep bez żadnych ceremonij zrabowano i zburzono, poczem hałastra rozochocona wódką do której się dobrała, wzięła się do ulubionęj zabawki, która polegała na tém, że Abijah Stinkflint umaczany najprzód w smole, a następnie pierzem obsypany został. Nareszcie wymógłszy na nim przyrzeczenie, że w przeciągu trzech dni kraj opuści, cała ta rozbójnicza banda wróciła do domu, z najmocniejszym przekonaniem, że się znakomitą okryła chwałą. Na drugi tydzień, rozbój ten, pięknie ubarwiony, figurował w „Trąbie wolności,” w artykule pod napisem:

„Szybka sprawiedliwość:“

Nikt naturalnie niełitował się nad Abijahem, i nikt nieszczęścia jego niebrał do serca, bo wiadano powszechnie, że on każdego czasu gotów był drugiemu zrobić to samo, co jego spotkało. Najzacniejsi nawet ludzie w okolicy, lubo w ogóle niepotakiwali takim nadźyciom zuchwałego motłochu, jednak na ten szczególny wypadek patrzyli z widoczném pobleżaniem. A głupi motłoch pysznił się i przechwalał ze swego bohaterskiego czynu, niepomnąc na to, że lada dzień od téj samęj broni zginąć może.

Zaprawiwszy w ten sposób swoję bandę, Tom postanowił korzystać z jęj zapalu, i urządzić polowanie na Murzynów wśród bagien, spodziewając się zaspokoić

wreszcie swą zemstę. W piersi rozbestwionego człowieka spoczywa tygrys krwi chciwy; Tom więc postanowił, zbudziwszy tego tygrysa wśród swojej bandy, wypuścić go na swych nieprzyjaciół.

Harry był już ogłoszony za wyjętego z pod prawa, a zatem bezkarnie wystawiony na wszelkie okrucieństwa, jakieby tylko pijana srogość wymyśleć była w stanie. Ażeby czytelnikom naszym dać poznać, tę odrębną gałąź amerykańskiej literatury, przytoczymy tutaj jedno takie ogłoszenie na przykład: —

„Państwo północnej Karoliny — Chowa County.“

W skutek zanesionej przed nas Sędziów Pokoju wyżej rzeczonego Państwa i Counthy, przysięgą stwierdzonej skargi, że należący do Toma Gordona niewolnik, imieniem Harry, z professyi cieśla, około trzydzieści pięć lat mający, pięć stóp i cztery cale wysoki, twarzy ciemnej, kwadratowego czoła i dosyć mocnego głosu, zbiegł od swego Pana, i prawdopodobnie ukrywa się wśród łąk, gdzie dopuszcza się czynów podejrzanych i gwałtownych: rozkazujemy w imieniu wyżej rzeczonego Państwa, ażeby wzmiankowany niewolnik natychmiast się stawił i do domu swego Pana powrócił, i ogłoszamy niniejszém, na mocy zapadłej w tej mierze uchwały, iż w razie gdyby pomieniony niewolnik Harry, bezzwłocznie po ogłoszeniu niniejszego postanowienia, niestawił się i do domu niepowrócił, każdemu służy prawo pochwycenia i zabicia tegoż niewolnika, w sposób jaki uzna za najstósowniejszy, nienarządzając się na żadną skargę, ani odpowiedzialność za swoje w tej mierze po-

stępowanie, ani wystawiając się na jakąkolwiek bądź za to karę.“ —

„Postanowienie powyższe utwierdzamy naszymi podpisanymi i pieczęciami.“

„James T. Muller (m. p.)“

„T. Buttercourt (m. p.)“

Ubolewać trzeba nad położeniem ludu, który żyje pod wpływem takich praw i zwyczajów, gdyż ci którzy mają nad nim władzę, znajdując w prawach tych usprawiedliwienie wszelkich gwałtów swoich, bez wyrzutów sumienia dopuszczają się nad nim najstraszliwszych okrucieństw, na które wzdryga się ludzka natura. —

Tom Gordon sprosił do siebie wszystkich tych, których zamierzał użyć za narzędzie swój zemsty. Wszyscy ci ludzie, jeszcze za szczęśliwych jego czasów nienawdzili Harrego za to, że chociaż był niewolnikiem, lepiej jednak ubierał się, i lepiej od nich był wychowany, a familia Gordonów, i ci co u niej bywali w gościnie, traktowali go z większym aniżeli ich szacunkiem. Czasami też zdarzało się, że niejednego z nich skarcił surowo za to, że przyjmowali na przechowanie u siebie rzeczy, które niewolnicy skradli na plantacjach. Dopóki mu dobrze szło, mieli oni przed nim wielkie uszanowanie, jako przed znakomitym człowiekiem, do znakomitej należącym familii, i byli uniżonemi jego sługami. Ale teraz Harrego znaczenie przepadło na zawsze, a oni postanowili mu dawniejsze swoje upokorzenie w dwójnasób odplacić.

Jim Stokes szczególniejszą miał złość do Harrego, bo niemógł mu darować, że się nieraz z oburzeniem i po-

garda wyrażał o jego rzemiośle, i dla tego tém chętniej ofiarował pomoc swoją do tego przedsięwzięcia.

Jednego ranka, ujrzano przeddrzwiami pańskiego domu w Kanemie jakąś pstrą zbieraninę ludzi, których powierzchowność niebyła w stanie wielkiego obudzić zaufania; nawpół pijani, brudni, wyglądali jak Harpie które się Eneaszowi ukazały. Tom Gordon miał tylko tę jedną wyższość nad niemi, że lepsze trochę wychowanie i wyższe stanowisko jakie w świecie zajmował, dało mu sposobność nabrania lepszego obejścia i czystszej wymowy, które mu nadawały powierzchowność wykształconego człowieka. Atoli tyle znów było w nim dzikości, że kiedy zechciał, z łatwością przychodziło mu stanąć na równi z towarzyszami.

Tom nosił jeszcze rękę na temblaku, ale że brak energii do wad jego się nie liczył, postanowił więc mimo tego wyruszyć osobiście na czele wyprawy. Adherenci jego stali przed domem, śmiali się, kleli i pili wódkę, która lala się strumieniami.

Psy, którym bez namysłu pierwszeństwo przed owemi ludźmi przyznać należy, z niecierpliwości gryzły i targaly smycze, na których były posforowane.

Tom Gordon, wzorem wielkich starożytności bohaterów stał na werandzie, i usiłował armią swoją zagrzać wżrokiem i słowami.

— No, chłopcy, zarobicie sobie na sławę znakomitą! Jużecie dokonali jednego dobrego uczynku, boście dali uczuć staremu, skomlącemu księdzu, przedsmak nauki, która go w przyszłości nieminie. Długonosemu Stinkflintowi zapaliliście także światło, przy którym zapewne poznał swoje błędy, i potrafi znaleźć drogę do poprawy.

Powstał śmiech powszechny i krzyki:

— Tak, tak, prawda! Cośmy zrobili, tośmy zrobili!
Nieprawdaż? —

— Naturalnie żeście dużo dobrego zrobili, — mówił dalej Tom. — Jestem pewny, że owój nocy, ten stary grzesznik, bez światła byłby wszystkie swoje grzechy obaczył. Czyśmy to nie ładną zrobili pochodnią, z téj jego staréj psiej budy? Czyśmy mu nie ładny strój sprawili, w którym mu pewnie ciepło było? O, doprawdy chłopcy, to był djabelnie ciepły strój! To był strój, który mu na długo wystarczy, i będzie się go trzymał doskonale! Nie łatwo go będzie za arak przeschachować, nieprawdaż chłopcy? —

Grzmiący oklask zagłuszył mowę, którego słuchaczy gorzałka na poły zmysłów pozbawiła.

— Szkoda, żeśmy do niego nieprzytknęli zapalki! — zawołał jeden.

— No, no, — na ten raz było tego dosyć. Poczekaście, jak złapiecie tego lotra, co się po bagnach włóczy, to będziecie z nim robić co wam się podobać będzie. Nikt wam w tém nieprzeszkodzi, bo prawo będzie za wami. Już nas dosyć te lisy nazwodziły i naokradały naszych kurników, w czasie kiedyśmy spali. Teraz im za to damy ducha, jak ich złapiemy, — a musimy ich złapać! Nie ma kwestyi, że ich złapiemy. Te przeklęte bagna, to prawdziwe mysie gniazdo, które wybrać musimy. Tylko słuchajcie chłopcy: jeżeli się da, to go chwytajcie żywcem, a jak nie, to zabijcie choć na miejscu. Pamiętajcie, że za jego głowę sto pięćdziesiąt dolarów obiecuję.

Obietnica ta przyjęta została głośném: „Hurra!“, a

Tom z tryumfującą miną zeszedł z werandy, i siadł na konia.

Dawniej niktby był niewierzył, gdyby mu opowiadano taką historią; — ale w tych czasach zdarza się, że własni nasi synowie i bracia, takim samym ludziom, takimi samymi środkami, do takich samych czynów nakłaniać się dają.

Ogień który dawniej niszczył tylko stare, suche pniaki, dzisiaj objął i młode, zielone drzewa. —

Niech żyje wielka, chrześcijańska ustawa!

Rozdział XV.

KLAYTON WRACA DO ZDROWIA.

W napadzie, któryśmy powyżej opisali, Klayton otrzymał w głowę ranę, która go zmysłów pozbawiła.

Gdy nareszcie odzyskał przytomność, najprzód uczuł tylko lekki powiew ciepłego, letniego powietrza. Otworzywszy oczy, zamglonym jeszcze wzrokiem popatrzył w górę, w lazurowe niebo, które tysiącami otworami przeglądało przez zielony dach z liści, rozłożony ponad cierpiącym. Jak gdyby przez sen, usłyszał śpiew ptaków, które pytały się i odpowiadały sobie na wzajem. Jakaś ostrożna, delikatna ręka opasywała mu głowę bandażem; jakieś kobiece postacie, których poznać nie mógł, szepcząc z cicha uwijały się około niego, pielęgnowały go i czuwały nad nim. —

Po chwili zapadł napowrót w sen i przez kilka godzin pozostał w stanie ciężkiego ogłuszenia.

Harry i Lizeta ustąpili mu swojej chaty; ale że to były właśnie owe przepyszne dni październikowe, w czasie których niebo i ziemia zdają się łączyć na utworzenie wspólnymi siłami jednej wielkiej świątyni piękności i pogody, większą część dnia zostawiano go na wolnym powietrzu, i zapewne żadne lekarstwo, niebyłoby mu pomogło tak prędko i tak stanowczo. —

Ponieważ ciepło, powietrze i woda mają tę zbawienną własność, że wsiakają i wypełniają każde miejsce próżne, łatwo pojąć, że i gasnące życie ludzkie zaczerpuje nową siłę, przez zetknięcie się z temi uzdrawiającymi żywiołami. Wszystkie drzewa, które Jan Śty widział nad brzegami niebieskiej rzeki życia, miały na sobie uzdrawiające liście; pod pewnym względem i liście naszych drzew ziemskich, posiadają siłę leczącą ciało i duszę. Ten kto opuści miasto chory i znudzony, i rozciągnie się w lesie w ojcowskim cieniu rozłożystego dębu, może podслуchać, jak liście jego szepcą o tém do siebie.

— Patrz, — rzekł Dred do Harrego, gdy czuwali nad Klaytonem, który leżał jeszcze bez pamięci, — patrz jak słowo Pańskie wypełnia się na tych ludziach: „Oddam każdego z nich w ręce jego bliźniego, a ten co się od złego odłączy, stanie się lupem drugich.“

— Prawda, — ale to jest dobry człowiek; on ujmuje się za naszą sprawą. Gdyby to od jego woli zależało, sprawiedliwość niezwłocznie wymierzoną by nam została.

— Być może, — odparł Dred; — to też wszystko dzieje się po dawnemu: „Patrzcie, — oto ja wam posłałam proroki i mądre ludzie, a wy zabijacie je; bo serca tego ludu są zatwardziałe i zatkali uszy swoje. Dla tego Pan rzuci na głowy tego plemienia krwę wszy-

stkich pomordowanych, począwszy od krwi sprawiedliwego Abla, aż do krwi Zacharyasza syna Bacharyaszowego, którego zabili między świątynią a ołtarzem.“

Po kilku dniach Klayton pozdrowiał o tyle, że przynajmniej mógł usiąść i patrzeć w około siebie. Pogodny dzień październikowy, czarodziejskim urokiem działał na jego duszę.

Wśród dzikiego, samotnego bagna, była tu bezpieczna wyspa, na której natura przyjmowała człowieka na swoje opiekuńcze łono. Tysiące ptaków pozdrowiały się tutaj wzajemnie, skacząc, to po kołyszących się drzew wierzchołkach, to po powiewnych gałązkach dzikiego wina. Białe obłoki, podobne do lotnych wysep, żeglowały ponad zielonemi szczytami lasu. Szemrząca piosenka, którą jesienny wiatr przyśpiewywał, zdawała się cieszyć chorego. Zaczął uważać życie, jako sen długi, niespokojny. Cierpienia które przebył, — godzina skonu, o której dawniej bez pewnego dreszczu pomyśleć niemógł, teraz przybrały w jego oczach jakąś inną, jaśniejszą postać. Tak wielka i cudowna jest potęga, którą się Bóg w pięknych i wечно świeżych cudach natury objawia. —

Dred począł interesować Klaytona, jako psychologiczne studium. Z początku był względem niego mileżący i ostrożny, chociaż wszystkie życzenia i potrzeby swego gościa zaspokajał z widocznym uszanowaniem i przychylnością. — Powoli jednakże przemogła w nim chęć podzielenia się z drugimi swemi myślami i uczuciami, chęć wrodzona człowiekowi; a że Klayton chętnie go słuchał i okazywał mu współczucie, Dred z czasem polubił go bardzo. Dzika mieszanina

hebrajskich frazesów, imion i porównań, miała dla osłabionego Klaytona jakiś dziwny, poetyczny urok. Porównywał w myśli swego gospodarza do jednej z owych starych, gotyckich bram, starych europejskich kościołów, na których można widzieć obrazy biblijne, oplecione tysiącami fantastycznymi arabeskami, — i nieraz z żalem myślał o tém, do jakiegoby to stopnia doskonałości dojść była mogła taka ognista dusza, w połączeniu z tak silnym ciałem, gdyby należycie kształcona, i dobrze kierowana była.

Gdy chłód wieczorny zapadać począł, Dred przychodził zwykle do Klaytona, kładł się przy nim na trawie, i po całych godzinach rozmawiał z nim swoim tajemniczym językiem, błyskając niekiedy iskrami potężnych zdolności i wielkiego doświadczenia.

Całe życie pędząc wśród nieustannej prawie włóczędzy, był on w takich miejscach, które powszechnie za nieprzystępne ludzkiej nodze i oku uważano. Znał nie tylko cały szeroki, bagnisty pas atlantyckiego morza, ale i wielkie łąki Florydy, z całą ich dziką, bujną, podzwrotnikową roślinnością. Przeszedł na wskrós cały ten straszny, niebezpieczny piaszczysty pas, zamykający południowe wybrzeża atlantyckiego oceanu. Tutaj to zatapiał się w myślach nad wieczną tajemnicą przyływu i odpływu morza. Nieświadomy rezultatów filozofii i umiejętności w tej mierze, chciał on własną myślą dociec przyczyny tego cudu natury, i utworzył sobie zupełnie odrębne o nim teorye. Cały ten czas przepędził w tulołwie rozbitego okrętu, który fale na ten brzeg niegospinny wyrzuciły, i tam pościł i modlił się, i zdało mu się że w szumie fali i wyciu wiatru słyszy głos Boży.

W tój chwili leżał on spokojnie wyciągnięty w trawie obok chaty Harrego i Lizety. Dzieci z Lizetą i innymi kobietami zajęte były zbieraniem winogron w oddalonej części polany, a Harry z innymi zbiegami poszedł był po niektóre zapasy, które będący z nimi w porozumieniu niewolnicy z plantacyj, zostawili dla nich w wiadomym miejscu śród bagien. Stary Tiff niedaleko okopywał ziemniaki, i przysłuchiwał się pilnie toczącej się rozmowie.

— Tak, — mówił Dred, a oczy jego błyszcząły przyśmionym ogniem, zwyczajnym u entuzjastów; — tak, Pan ociąga się, ale nareszeie się ukaże. Teraz jest czas jęków i wzdychania. To zostało mi objawione, gdym przez trzy tygodnie sypiał w kadłubie okrętu, którego całą załogę pochłonęło morze.

— To było szczególne mieszkanie, mój przyjacielu, — rzekł Klayton, który chciał dalszą zawiązać rozmowę.

— Duch zapędził mię tam; albowiem błagałem Pana, aby mi przyszele rzeczy objawił, i Pan kazał mi się od mieszkań ludzkich oddalić, i szukać opuszczonego miejsca nad brzegiem morskim, i mieszkać w opustoszałym tułowie okrętu, na znak nieszczęścia tego ludu. A więc poszedłem i mieszkałem tam, i Pan nazwał mię Amrafalem, albowiem skryte rzeczy zostały mi objawione. — I Pan objawił mi, że naród ciemięców tak samo zniszczony zostanie, jako ten okręt na brzeg morza wyrzucony. —

— I jakże ci to Pan objawił? — zapytał Klayton.

— Moje ucho usłyszało to w nocy, — odrzekł Dred, — i słyszałem jak cała natura jęczała, czekając, aby ją

przyjął za swe dziecię, i dla tego téż Pan uczynił przy-
pływ i odpływ morza.

— Niemogę pojąć, jaki to ma związek ze sobą? Dla
czego tak sądzisz?

— Bo każdy dzień pełen jest trosk, ale troski te to-
ną w morzu, tak, że wszystkie grzechy rodzaju ludz-
kiego leżą na dnie jego, i będą tam leżeć dopóki nie
przyjdzie Ten, którego cały świat oczekuje. A on przyj-
dzie z ogniem i sądem i z straszliwém trzęsieniem zie-
mi, — ale na końcu pokój będzie. Dla tego téż stoi
napisano, że w nowém niebie i na nowój ziemi, żadne-
go morza niebędzie.

Słowa te wyrzekł głosem tak silnego przekonania, że
dziwne wrażenie zrobiły na Klaytonie. Był on właśnie
wtenczas w stanie, w jaki częstokroć wpadają ludzie zo-
stający w walce ze światem, w stanie jakiegóś dziwnój
żądzy, jakiegóś omdlenia.

— Więc ty wierzysz, — rzekł do Dreda, — że to nie-
bo i ziemia na nowo stworzone będą?

— Tak jest! I król będzie sprawiedliwie panował.—
Będzie ratował ubogiego, gdy ten go wzywać będzie,—
ubogiego i tego, który z nikąd niema pomocy. Przed o-
szukaństwem i gwałtem, będzie dusze nasze zasłaniał.
I będzie siedział na białym obłoku, a tęczę będzie miał
do koła swój głowy; — a wybrani Jego będą królami
i kapłanami na ziemi.

— Spodziewaszże się i ty być jednym z nich?

Dred jęknął z głębi duszy.

— Nie każdy, który przemawia w Jego imieniu, za
godnego uznany będzie! Modliłem się do Pana o to, ale
mi żadnej nieadał pewności. Ja jestem biczem Jego gnie-

wu, który chłoszcze jego nieprzyjaciół. Czyż siekiera może się chlubić z tego, że nią ktoś wywija.

Rozmowę tę przerwał Harry, który nagle zeskoczył z drzewa, i przybiegł do nich.

— Straszne rzeczy się dzieją! — zawołał. — Tom Gordon z całą swoją bandą poluje na bagnach. Niewiedziałem jeszcze nigdy takich pijanych i tak dzikich ludzi. Wpadli na trop biednego Iima, i ścigają go bez miłosierdzia.

Oczy Dreda dzikim zabłysnęły ogniem; zerwał się:

— Głos Pański wstrząsa pustynią! — Pójdę i uwolnię go!

Pochwycił strzelbę i róg z prochem, i za chwilę zniknął. —

Harry chciał iść za nim, ale Lizeta objęła go płacząc i wyrzekając:

— O, niechodź, niechodź! Cóżbyśmy tu wszyscy bez ciebie poczęli? Zostań z nami! Oniby cię z pewnością zabili, a tybyś nie niepomógł. —

— Zważ Harry, — rzekł Klayton, — że ani nieznasz tak dobrze tych bagien, ani nieposiadasz takiej nadzwyczajnej fizycznej siły jak ten człowiek. Daremniebyś tylko życie swoje narażał.

Smutnie się wlekły godziny przez resztę dnia tego. Niekiedy polowanie tak blisko ocierało się o ową wysepkę, że można było słyszeć wystrzały, ujadanie psów a nawet przekleństwa pijanej tłuszczy; — ale potem ucichło wszystko do koła, i tylko słyhać było szelest listków i radosne świągotanie ptaszków, które niedomyślając się nawet okropności, które się obok nich działy, niewinne nuciły piosenki.

— Już słońce zachodzić miało, kiedy zbiegi usłyszeli szelest gałęzi na dębie i zeskoczył z niego Dred, przemożony, zawalany i osłabiony. W mgnieniu oka wszyscy zgromadzili się około niego.

— Gdzie jest Jim? — zapytał Harry.

— Zabity! — odparł Dred. — Oprawcy ścigali go zajadle i poległ w puszczy.

— Wszyscy krzyknęli przerażeni.

Dred chciał usiąść na ziemi, ale wtém stracił równowagę i upadł. Wtedy dopiero otaczający go spostrzegli, co wprzód uszło ich uwagi, że Dred miał w piersiach głęboką ranę, z której krew płynęła strumieniem. Żona jego z krzykiem rozpaczy rzuciła się obok niego na ziemię, — ale on podniósł rękę, odepchnął ją łagodnie od siebie i rzekł:

— Cicho! Cicho! Dostyc tego! — Ja idę połączyć się z owemi świadkami, którzy dzień i noc wołają.

Wszyscy otoczyli go kołem, niemi z żalu i przerażenia. Jeden tylko Klayton miał tyle przytomności, że ukląkł przy nim, i usiłował krew zatamować. Dred spojrział na niego, — jego wielkie, spokojne oczy, nadprzyrodzonym jaśniały blaskiem.

— Wszystko się skończyło! — rzekł.

Przycisnął ręką piersi tak mocno, że krew na nowo trysnęła, — nabrał jój na dłoń, wyrzucił w powietrze, i z dzikim zapamię, zawołał słowami proroka:

— O ziemi — ziemi — ziemi! Nieprzykrywaj krwi mojej!

Słońce zachodziło pogodnie po za zielone drzew ściały. Długie smugi lekkich, srebrzystych obłoczków, które cały dzień przeciągały po niebie, przybrały zwolna ró-

zową barwę, i niby jaskrawe fale po lazurówem morzu płynęły. A ptaki śpiewały jak zwykle, — nie ich ludzkie boleści i skargi nieobchodziły.

Wszyscy którzy otaczali Dreda, czuli w tej chwili obecność Tego, który potężniejszy jest, aniżeli wszyscy królowie ziemscy; — i nikt niewątpił, że wkrótce to potężne ciało, które przed chwilą takim silnym kwitnęło zdrowiem, niebawem martwą zostanie bryłą, a nieśmiertelna dusza zerwie więzy swoje.

— Harry, — rzekł Dred, — złóż mię pod pagórkiem świadków, — i niech Bóg ich ojców rozsądzi pomiędzy nami! —

Rozdział XVI,

NOCNY POGRZEB.

Śmierć Dreda rozpaczą napełniła serca zbiegów na bagnach i serca niewolników z pobliskich plantacyj, bo oni go uważali jako proroka i oswobodziciela swego.

Umarł ten, w którym oni całą ufność pokładali. Ta wspaniała, atletyczna postać, tak pełna niegdyś życia, — to potężne ramie, to doświadczone, śmiałe oko, straciło na zawsze siłę; — ten uroczysty głos, brzmiały poezją starych czasów, pełnemi natchnienia symbolami i proroczymi snami, zamilkł, a z nim razem i owe fantastyczne obrazy, których wspomnienie tylko pozostało w sercach jego zwolenników i przyjaciół, niby echo burzy, lub pamięć po widzeniu przepysznego wieczornego o-
błoku.

Téj saméj nocy kiedy szczekanie psów i przekleństwa pijanej zgrai ucichły, i tylko listki drzew szemrały z lek-

ka, a las podobny do czarnego obłoku spokojnie leżał wśród nocnej ciszy, na owęj polanie wśród bagna dały się słyszeć ostrożne stapania i stłumiony płacz tych którzy czarnego swego wodza nieśli do grobu, pod owo drzewo strzaskane.

Najodważniejsi z owych śmiałków, którzy niedawno temu, zebrali się byli tutaj o tój samej godzinie, mimo grożących im niebezpieczeństw, przybyli i tego wieczora. — Dowiedziawszy się o wielkiem polowaniu, gdy wszystko w głębokim śnie było pograżone, wykradli się ze swoich chat na plantacyach, obeszli ostrożnie czuwające do koła patrole, i pospieszyli do lasu, aby się pewniejszych wiadomości o losie swych przyjaciół dowiedzieć. Jakiż ból i przestрах opanował ich dusze, gdy się dowiedzieli o tём co się stało.

Smutno pomyśleć, że ten sam wypadek, który jednę częśći dzieci tego samego ojca, do gorzkich skarg jest powodem, dla innych staje się przyczyną radości i tryumfu. Niestety, świat od tysięcy lat już istnieje, a jeszcze nienauczył się dwóch pierwszych wyrazów Modlitwy Pańskiej, — a dopiero wtedy, gdy wszystkie ludy i plemiona, tych wyrazów się nauczą, dopiero wtenczas przyjdzie Jego królestwo i wola Jego stanie się tak w niebie jak i na ziemi.

Pomiędzy wszystkimi, którzy grób otaczali, nikt nie zdawał się być w takiej pograżony rozpaczy, jak ten, któregośmy pod imieniem Hannibala dali poznać czytelnikowi.

Był to dobrego wzrostu, wspaniale zbudowany Murzyn, którego wysokie, wypukłe czoło i odznaczające się rysy twarzy, świadczyły o wielkiej energii i wysokich zdol-

nościach umysłowych. Całe życie był on własnością człowieka zostającego na bardzo niskim stopniu wykształcenia i niezmiernie chciwego, który w postępowaniu z nim, ciągle wahał się między chęcią korzystania o ile możliwości z przymiotów i energii swego niewolnika, a obawą, aby przymioty te nierozwinięły się w sposób nieodpowiadający jego położeniu.

Hannibal nauczył się był sam, bez niczyjej pomocy czytać i pisać, — ale umiejętność tę taił z taką przeczornością, z jaką podróżny zostając wśród złodziei, kryje na piersiach kamień kosztowny, bo wiedział, że odkrycie jęj nabawiłoby jego pana takiego strachu, żeby go był natychmiast za znaczną summę sprzedał jednemu z tych okropnych domów handlowych, exystujących na głębokiem południu, i tym sposobem jeszcze go raz z żoną i dziećmi rozłączył.

Hannibal był zwykle używany jako sternik przewozowego statku, który należał do jego pana, i tam to w czasie kiedy oczekiwał na podróżnych, znalazł sposobność zaspokojenia, chociaż bardzo niedostatecznie, swojej żądzy nauki.

Ci, którzy każdego czasu mogą mieć na zawołanie więcej książek aniżeli ich przeczytać potrafią lub mają ochotę, niemają wyobrażenia o tęg chciwości, z jaką ucisniony i skąpo żywiony duch, chwyta każdy pokarm, jakiego ukradkiem dopaść potrafi. W jednę szparze swego statku, Hannibal miał ukrytą biblią, Robinsona Kruzoę, i kilka numerów jakiegś staręj północnej gazety, którą jeden z podróżnych był raz upuścił. A gdy wieczorem wrócił do swęj chaty, drzwi zamknął i zarygłował, i smolną szczapę miasto pochodni zapalił, dobywał

dopiero swoich skarbów, i czytał po całych godzinach. — Jakże często tęschnił wtedy za ową pustą wyspą, i prznosił myślą siebie, żonę i dzieci do bezpiecznej siedziby Robinsona; — polował, robił sobie suknie ze skór, zbierał owoce z drzew, których nazwiska były mu obce, a przytém wystawiał sobie że jest wolnym człowiekiem.

Naturalna rzecz, że Dred na tak uciśnionego a silnego ducha wielki wpływ wywierał. Zagłębianie się w biblii, wywołało w jego duszy dziwną walkę żądz i nadziei. Wierzył niezłomnie, że Pan który Izraela z Egiptu wyprowadził, wysłuchał także i jego błagania, które z głębi swój niewoli ku niemu zasęłał, i zesłał jego ludowi proroka i oswobodziciela. Nadzieja ta świeciła mu ciągle jak pochodnia wśród burzliwej nocy; ale zimny oddech śmierci powiał na nią i zagasił na zawsze.

Stał wpośród tych którzy otaczali grób i osłupiały wzrok utkwiał w twarzy nieboszczyka.

Na grobowcu, któremu Dred nadał wschodnią nazwę: „Jegar Sahadutha,“ to jest „Wzgórek świadków,“ zatknięta była gorejąca sosnowa głownia, której czerwone światło padało na wyciągnięte zwłoki. Dred leżał podobny do wyrwanej z korzeniem królewskiej jodły, w której gałęziach wietrzyk już nie za szeleści, ale która nawet w upadku swoim wspaniała jest i majestatu pełna.

Jakiegokolwiek jednak były walki, które niegdyś wstrząsały duszą, która w tém ciele mieszkała, to pewna, że w tej chwili na ciemnym obliczu majestatyczny jaśniał pokój, i znać było, że lihościwy Bóg, którego sprawiedliwości zmarły przed śmiercią przyzywał, miłosiernym się mu sędzią okazał.

Wielkość bólu, zdawała się powściągać żywość, z jaką Murzyn zwykł się oddawać wybuchom swego smutku. Gdy zwłoki nad grobem złożone zostały, panowało jakiś czas tak głębokie milczenie, że słyhać było tylko szmer liści, żalosne wołanie żab i żółwi na bagnie, i szum wiatru kołyszącego szczytami sosen. Nawet żona zmarłego owinięta szalem, stała milcząca uginając się pod nadmiarem boleści.

Jakiś starzec, który tymczasowo przyjął na siebie obowiązki i rolę kapłana, zanucił nareszcie znany powszechnie, w czasie pogrzebów murzyńskich zwykle używany hymn, którego język mistyczny i bogaty w obrazy, odpowiadał zupełnie bujnej fantazy Murzynów. I wśród ciszy nocnej, uroczyście brzmiały jego słowa:

„Czy wy słyszycie ten okrzyk boleści,

„Od grobu w ucho nam grzmiący?

„W przybytek śmierci co i was pomieści,

„Pójdźcie, o ludzie żyjący!“

Podczas tej zwrotki, Hannibal stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, milczący, z wzrokiem ponuro w martwe oblicze trupa utkwionym. Zwolna ducha jego owładnęło uczucie jakiegoś dziwnego tryumfu; podniósł głowę i głos swój do śpiewu przyłączył.

„Nawet i księcia grób nieominie

„Mimo całej jego mocy, —

„Mądry i wielki zarówno zginie

„W otchłani wieczystej nocy.“

— Tak, bracia! — odezwał się nareszcie: — Tak się stanie! Oni teraz tryumfują i panują nad nami, ale państwo ich w grób zapadnie razem z dźwiękiem ich instrumentów, — robak się pod nimi zagnieżdży i po nich czołgać się będzie; — a gdy kiedyś staniemy razem przed Sędzią wiecznym, świadectwo nasze przyjęte tam będzie, nie tak jak tutaj, — i Pan rozsądzi między nami, a ciemieczkami naszymi. To niech nam będzie pociechą. A teraz bracia, złożmy go w grobie, a kto się czuje lepszym od niego, albo kto na jego miejscu inaczej byłby działał, niechaj sądzi, jeżeli ma odwagę.

Podjęli trupa i położyli go w grobie, a w kilka minut później zniknęły śmiertelne zwłoki w których dzielna dusza mieszkala, aby się jawnie okazać aż w dniu sądu ostatecznego.

Rozdział XVII.

REZULTATY.

Klayton nie był wcale obojętnym, ani nieuważnym świadkiem tych wypadków. Jakkolwiek nieznał gruntuwnie całego stanu rzeczy, jednak list Harrego i jego własne uwagi przekonały go, że niektórzy z tych którzy byli obecni na pogrzebie Dreda, tak byli rozdrażnieni i przejęci oburzeniem, iż trzeba się było smutnych obawiać następstw, jeżeli im jakaś droga do wyjścia z obecnego ich położenia otwartą niezostanie.

Nazajutrz po pogrzebie rozmówił się rozsądnie i szczerze z Harrym, omijając starannie drażliwą stronę jego stanowiska i okoliczności w których się znajdował. — Wykazał mu tylko po prostu, że wszelkie kuszenie się o zwalenie siłą, niesprawiedliwości nad nimi ciążącej, wśród obecnych okoliczności byłoby czystym nierozsądkiem, i wskazał mu, równie jak jego towarzyszą, pewną drogę do ucieczki.

Niemozna zaiste dosyć nadziwić się determinacyi i sile charakteru człowieka, który zajmując takie jak Klayton stanowisko w społeczeństwie, — bo zawsze jeszcze w obliczu prawa, sam był właścicielem niewolników, mógł odważyć się na podobne rady. Żadnego występku niekarzą ustawy południowych Stanów Zjednoczonych z taką bezwzględna surowością, jak udzielenie pomocy niewolnikowi w czasie ucieczki, albo zachęcanie go do niej. Kto się tego dopuszcza, sądzony jest jako złodziej Murzynów, i w jednych państwach śmiercią, w drugich długiem i ochydnem więzieniem karany bywa.

Ktoby się w takich razach najmniejszej pomocy lub wsparcia zbiegowi udzielić poważył, — ktoby się ośmielił przemocować go u siebie, albo mu łyżkę stawy podać, zostaje odarty z całego majątku, i na cztery wiatry wygnany. Inni za ten sam występki, przez długie lata jęczą w niezdrowych więzieniach, a najświętsza cierpliwość i najszlachetniejszy charakter tych ofiar, niemogą złagodzić ani skrócić ich kary.

Klayton zatem potrzebował całej siły i janości swego pojęcia, całej bystrości swego sądu o ułomnościach ludzkich, aby wyrobić w sobie przekonanie, że dobrze czyni, pomiatając w ten sposób ustawami i zwyczajami swego kraju. Ale oprócz silnej wiary w równość praw wszystkich ludzi, Klaytona do tego kroku spowodowało jeszcze i to przekonanie, że tylko jak najrychlejszym wydaleniem tych kilku, którzy najbardziej zżymali się pod jarzmem, można zapobiedz wybuchowi krwawego powstania.

Żadna z instytucyj Stanów północnych niebudzi w Stanach południowych takiej zgrozy i oburzenia, jak pe-

wna tajemna, nieodgadniona, ale przytém pełna niezmiernéj energii instytucya, znana pod nazwiskiem: „podziemnej kolei żelaznej,“ — a jednak bliżej tę rzecz rozważywszy, przekonać się można, że ona do ich spokojności koniecznie jest potrzebna, i że przez nią, niejedno już niebezpieczeństwo od południowych Stanów odwrócone zostało. Dostyc jest pomówić tylko z jednym z tych nieustraszonych ludzi, którzy za pośrednictwem téj kolei utorowali sobie drogę do wolności, aby się przekonać, jak niebezpiecznemi składami prochu pod gorzącą pochodnią niewoli, staliby się z czasem ludzie tacy. Dzięki téj tajemniczéj kolei, ludzie, którzy już dłużej niewolnikami być niemogą, znajdują drogę do wolności, okupionéj własnego życia niebezpieczeństwem. — Opowiadanie o dziwnych i strachem przejmujących środkach, za pomocą których takie przedsięwzięcia pomyślnym uwieńczone bywają skutkiem, daje wysokie świadectwo o determinacyi tych, którzy się na nie odważyli. —

Zgodzono się niebawem, że większa część zbiegów, połączonemi siłami utoruje sobie drogę do zupełnéj wolności.

Ponieważ Harry miał tak jasną cerę, że oddaliwszy się tylko trochę od okolicy w której był znany, mógł być pewny że nie stanu jego niezdradzi, przeto wysłany został naprzód, aby poczynić pewne przygotowania, w którym to celu Klayton chojnie opatrzył go pieniędzmi.

Wiadomo, że handlarze drzewa przez większą część roku zajęci są na bagnach zbieraniem i rznięciem drzewa na gonty. Ludzie ci w różnych punktach zakładają

swoje obozowiska, i po całych miesiącach żyją wśród bagien. Obozowiska takie składają się z chat zbudowanych z surowego prawie drzewa, a stawianych na dylach, w kształcie platformy na bagnistą ziemię rzuconych. Takimi samymi dylami wyłożone też są i drogi, w odległe części bagna wiodące, po których się gonty prowadzą; — środek znów bagna przecznięty jest kanałem, po którym pływają małe statki żaglowe z gontami i innymi produktami. — Na usługach takich handlarzy drzewa zostaje mnóstwo niewolników, wynajętych z okolicznych plantacyj, którzy tam żyją prawie w stanie wolności, gdyż obowiązani są tylko w pewnym czasie dostarczać oznaczoną ilość gontów i klepek, i w żywność dostatecznie są zaopatrzeni. Zdaje się, że ten rodzaj życia, zbliżonego do życia ludzi wolnych, przyczynia się do tego, że niewolnicy ci są energiczniejsi i więcej rozwinięci umysłowo, aniżeli inni.

Obóz naszych zbiegów, zostawał w stosunkach z jednym z takich obozów handlarzy drzewa, blisko o pięć mil od niego oddalonym. W razach potrzeby, otrzymywali oni z tamtąd ukradkową pomoc, a śmielsi z niewolników, w służbie handlarzy będących, bywali nawet na nocnych schadzkach u Dreda. Postanowiono więc porozumieć się z jednym z tych niewolników, przełożonym nad małym statkiem, który dostawiał gonty do Norfolku, i na którego pomoc w ucieczce rachowano.

Po głębszém jednak zastanowieniu się, zauważano, że liczba zbiegów zanadto była wielka, ażeby bez ściągnięcia na siebie podejrzewania, razem drogę odbywać mogli. Postanowiono zatem podzielić się na mniejsze partye.

Milly zdecydowana była dzielić los innych zbiegów, nietyle ze względu na siebie, jak raczej ze względu na swego wnuka, małego Tomtita, którego niesłychana lekkomyślność, w szczególnej stała sprzeczności z powagą i głębokiem przywiązaniem starzejącej się jego babki. Dla Milly dziecko to było jedynym szczałkiem, jedynem wspomnieniem licznój rodziny, którą w skutek rozlicznych zmian i wypadków wypływających z niewoli, utraciła zupełnie, i dla tego z tém większą siłą przywiązała się do tego chłopca. Co się jój samėj tyczyło, byłaby wszystko zniosła cierpliwie, byłaby wytrwała na stanowisku, na którém ją los postawił, byłaby cierpiała ucisk i niesprawiedliwość, uważając je jako środek do swego moralnego udoskonalenia, i byłaby się starała czynić dobrze, o ileby to było w jój mocy.

Każdy człowiek, skoro taka jest szczera jego wola, ma niezaprzeczone prawo zrzeczenia się swych praw i przywilejów. Ale całkiem inaczej rzecz się ma, kiedy zrzeczenie się takowe byłoby ze szkodą tych, z którymi człowiek ów związkami krwi jest połączony, i za ich dusze liczbę oddać ma.

Na Milly, która na wszystko patrzała okiem prawdziwej chrześcianki, nie tyle robiły wrażenia srogość i okrucieństwo Tomasza Gordona, jak straszliwe zepsucie obyczajów, które postępowaniem swoim szerzył na plantacyi między niewolnikami. —

Ponieważ Tomtit był pięknem i wesołem dzieckiem, więc pan jego szczególnie sobie w nim upodobał. Chciał go zawsze mieć przy sobie, i obchodził się z nim z taką samą mieszaniną względów i złego humoru, z jaką byłby traktował psa faworyta. Najbardziej lubił uczyć

go pić i kłać, bo go to niezmiernie bawiło, gdy widział tak młode dziecko w takim stanie. Naprózno Milly, która śmielsza była do niego aniżeli inni słudzy, robiła mu w tej mierze pzedstawienia; wyśmiała ją zawsze, albo skłął i zwymyślał, — stósownie do humoru.

Z tego powodu, Milly zdecydowała się połączyć się ze zbiegami, i zabrać ze sobą swego ulubieńca. Możeby jój nie tak łatwo było ten zamiar doprowadzić do skutku, gdyby Tomtit niebył na szczęście właśnie naówczas popadł u swego pana w niełaszkę. Za jakieś małe wykroczenie, chłopiec ukarany został z surowością równie okrutną i nierozmyślną, jak pobłażanie, z jakim kiedy indziej na rzeczywiste wady jego patrzano. Drżący i do krwi osmagany Tomtit, oświadczył, że gotów jest ucieczką ratować się przed takimi przygodami. —

Wszyscy dziwili się niepomału, gdy się pokazało, że powiernik i kamerdyner Toma Gordona, Im, był jednym z tych, którzy z największym zapalem zgadzali się na ucieczkę. Człowiek ten, przy pomocy dziwnej mieszanki śmiałości, przebiegłości i śmieszności, którą nieradko w Murzynach dostrzedz można, przez długi czas utrzymywał się na stanowisku pierwszego, najulubieńszego sługi swego pana. Nigdy mu niezabrakło pieniędzy, ani niczego, czego można dostać za pieniądze, a prócz tego, na mocy przywileju wszystkim błaznom służącego, miał prawie nieograniczoną wolność mówienia wszystkiego, co mu się żywnie podobało. —

Jeden z niewolników, objawił swoje zadziwienie, że on, zajmując tak korzystne stanowisko, mógł myśleć o czemś podobnym. Im pokiwał głową z miną znaczącą i odrzekł:

— Prawdę powiedziawszy, już mi się ta współka sprzykrzyła. To prawda, że ja i Massa wszystko mamy wspólne, ale jabym już wolał mniej mieć, a mieć coś swojego. To też dla tego i żenić się niemyślę, dopóki niebędę mógł mieć żony, któraby do mnie tylko należała, a do nikogo więcej. W téj mierze jestem okropnie uparty.

Sprzysiężeni odbywali swoje schadзки w lesie, niedaleko bagna, gdzie się umawiali i przygotowywali do ucieczki.

Iim takie zaufanie umiał zyskać u swego pana, że bez obawy zdradzenia się, mógł wychodzić i wracać ile razy mu się podobało, i zawsze miał na dorędziu jakąś wymówkę, na przypadek gdyby się go o to zapytano. Trzeba przyznać że wcale niebył nabożny, a na pobożne zgromadzenia i inne religijne obrządki po to tylko chodził, ażeby pana swego i jego towarzyszków, komiczném ich naśladowaniem zabawić. Za każdym więc razem, gdy spostrzeżono jego nieobecność, tłumaczył się chytrze przymrużając oczy, że był na pobożném zgromadzeniu.

— Zdaje mi się Iim, — rzekł jednego dnia Tom, w nadzwyczaj złym będąc humorze, — zdaje mi się, że od jakiegoś czasu, nie nierobisz, tylko latasz na te pobożne zgromadzenia. Dłużej tego nie ścierpię, i powiadam ci, żeby mi tego więcej niebyło. Widzę że ty jakieś szelmstwo masz na myśli, i muszę temu koniec położyć. Pamiętajże sobie co ci powiadam, i nie włócz mi się tam więcej, albo sprawię ci taką kąpiel, że ją długo popamiętasz.— Pomijamy tutaj dalsze groźby Toma, których w takich razach zwykł był używać.

Dla Iima było to prawdziwe dylemma, bo trzeba mu

było być koniecznie jeszcze na jednej, ostatniej naradzie, która się właśnie tej nocy w lesie odbyć miała. —

Postanowił więc tego dnia wszystko czynić, co było w jego mocy, żeby się o ile możności panu przypodobać. Śpiewał, tańczył, prawił komiczne kazania, przedrzeźniał zgromadzenia pobożne, i nieprzepuszczał nawet najświętszym rzeczom, które mógł na swoją korzyść obrócić.

Gdy więc Tom wieczorem leżał wyciągnięty na werandzie, wypuszczając ogromne kłęby dymu z cęgara, myślał sobie o tém, co by on robił na świecie, gdyby nie miał Lima, który zawsze podtrzymywał jego dobry humor. Jim też, ufny w chwałę, którą się dnia tego okrył, odważył się prosić swego pana o godzinę wolnego czasu, z której korzystając, pośpieszył do swoich towarzyszy. Ze względu na surowy zakaz który właśnie tego samego dnia z rana otrzymał, był to krok wielce śmiały; ale Jim pomodlił się serdecznie do swego dowcipu, jedyne Boga, którego wyznawał, i prosił aby go i tą razą ratował.

Wracał do domu szybkim krokiem, ażeby zdążyć jeszcze na czas, gdy Pan jego będzie chciał się położyć, i oddawał się słodkiej nadziei, że uniknie pytania, gdzie chodził? Na owej ostatniej naradzie postanowiono, że wszyscy między drugą a trzecią godziną tej samej jeszcze nocy, mają się puścić w drogę, ażeby nim dzień zabyłśnie, stanąć na pierwszej stacyi tej pielgrzymki do wolności.

W limie poczęło już świtać poczucie nowego życia, — życia poważnego i prawdziwie ludzkiego, które otwierało się dlań w przyszłości, w miejsce dotychczasowych bla-

żeńskich igraszek; — serce biło mu dziwną, nieznaną dotąd nadzieją.

Wtém, w chwili gdy właśnie dochodził do miejsca, w którém las graniczył z plantacją, na zakręcie drogi nagle zeszedł się oko w oko ze swoim panem, którego tu jakaś nieszczęśliwa gwiazda Lima zesłała.

— Niechże mi teraz Bóg dopomoże, jeżeli jest jaki Bóg! — zawołał Iim po cichu. — No, trzeba się będzie, jak można najgladziej wysliznąć z téj łapki!

I ze zwykłą pewnością i gęstą miną szedł prosto na swego pana.

— Gdzie to chodziłeś, Iim? zapytał Tom, — szukałem cię.

— Oh, mój Boże! Byłem na pobożném zgromadzeniu, mój najśłodszy panie.

— Czym ci niepowiedział psie jeden jakiś, — krzyknął Tom, — żebyś mi się nieważyl więcej chodzić na te zgromadzenia.

— O mój najśłodszy Panie, jak mi Bóg miły, tak nie pamiętam ani słowa z tego wszystkiego coś mi Pan powiedział! Ja się tak włóczyłem tu i owdzie, i jakoś tak przypadkiem stało się, żem tam zaszedł.

Śmieszne grymasy i głos pełen przesadzonej pokory i skruchy, z jaką wymówił te słowa, zabawiły Toma, i chociaż na pozór udawał jeszcze zagniewanego, jednak przebiegły Murzyn poznał się na tém od razu, i dodał:

— Ja tylko tyle wiem, że ledwie żyję! — Stary Pomp miał kazanie, i tak mię łaską napelnił, że o mało niepęknę. Doprawdy, musiałem zrobić coś bardzo bezbożnego, bo inaczej jużbym zapewne dawno jak Elias, uniósł się był do góry na ognistym wozie. A któżby wtenczas mojego Massa obsłużył?

— Niewierzę ja tam, żebyś ty był na pobożnym zgromadzeniu, rzekł Tom z udaną nieufnością. Musiałeś chodzić gdzieindziej. —

— Nie, najśłodszy Panie, doprawdy, — Pan ranisz boleśnie moją miłość własną! Ja spodziewałem się, że Massa z daleka zobaczysz jak ze mnie łaska świeci. Ja doprawdy cały wieczór byłem w zachwyceniu. A! ten stary Pomp! On każdego zbudować by potrafił!

— Pewny jestem, że niewiesz ani słowa z tego wszystkiego co on mówił, — rzekł Tom. — Jakiż był text?

— Text? — powtórzył lim z wielką pewnością. — Text był z dwudziestego czwartego rozdziału, z Jeruzalem, wiersz szesnasty.

— No, ale jakież to ten text, — zapytał Tom; — radbym wiedzieć. —

— Może go i potrafię powtórzyć, Massa — odparł lim z wyrazem nieopisaną beczelności. — Otóż taki był: „Jutro szukać mię będziesz, a nieznajdziesz mię.“ To strasznie uroczysty text, i Massa powinienbyś się nad nim zastanowić.

Jakoż rzeczywiście Tom miał nazajutrz sposobność zastanowienia się nad tém, gdyż pomimo tego że dzwonił, kłął, a nawet ze złości urwał taśmę od dzwonka, lim niepokazał się. Niewdzięczny pies! Bezwstydnny nikczemnik! Całe życie miał podostatkiem wszystkiego, czego tylko zapragnął, i uciekać mu było!

Tom całą okolicę przewrócił szukając zbiega. Na sąsiednich plantacyach brakło także wielu niewolników, tak, że wielkie powstało z tąd zamieszanie. „Trąba wolności“ poczęła dać w najżałośniejsze molowe tony, i ukazały się w niej artykuły z napisami: „Rezultaty nauk

abolicyonistowskich“ albo: „Pożar utajony“ itp. Polecano w nich, ażeby przetrząść kraj cały, i wyszukać w nim osoby z abolicyonistowskimi tendencjami, — a zarazem bez ogródki podawano środki, jakimi wypada je zmusić, aby bezwłocznie kraj opuścili.

Kilku zacnych ludzi, którzy trzymali pismo „National Aera“ doczekali się odwiedzin członków Komitetu nadzorczego, który im oświadczył, iż muszą się zdecydować, albo pismo to oddać i nadal go nieprenumerować, albo kraj opuścić. A gdy jeden z tych ludzi, począł im mówić o prawach przysługujących wolnemu obywatelowi, i zapytał, w jaki sposób potrafiliby poprzeć swoje żądania, wraże gdyby on chciał się upierać przy swjej wolności, komitet odpowiedział mu krótko:

„Jeżeli nas pan usłuchać nie zechcesz, to pańskie żyto, pszenica i pasza zimowa zostaną spalone, bydło pańskie zniknie, — a jeżeli i wtedy jeszcze upierać się będziesz, to dom pański ogniem zgoreje, a pan niedowiesz się nigdy kto to wszystko uczynił.“

A gdy pocziwiec pytał się ich jeszcze potem, czy to taka ma być wolność, — odpowiedzieli mu, że wolność polega właśnie na służącej im władzy i prawie zmuszenia każdego, aby był posłusznym ich woli, — i że co do tego punktu, przekona się, że w kraju wolnym, każdy sobie pozwoli dopóty go dręczyć i prześladować, dopóki, się woli ogółu sprzeciwiać będzie.

Tom Gordon, który był jednym z najgorliwszych przywódców tego komitetu, powziął był podejrzenie, że Klayton miał udział w zniknięciu jego niewolników, i ze zręcznością psa gończego, szedł za jego tropem.

Ochydny napad na Klaytona w lesie, niebył wcale uważany jako postępek niekzemny, ani go téż chowano w tajemnicy, — ale owszem stał się przedmiotem sławy i tryumfu. Tom z ręką na temlaku jeździł po całej okolicy, niby raniony bohater, a znajome mu damy, okazywały mu tkliwe objawy współzucia i podziwiała jego bohaterską odwagę. Gdy się przekonał, że tą razą musi się pożegnać z wszelką nadzieją odszukania swoich niewolników, wściekłość jego i gniew nie miały granic, i postanowił użyć wszystkich swoich zdolności i całego swego wpływu, aby między właścicielami plantacyj w południowej Karolinie, w okolicy Magnoliahain, obudzić jak największą niechęć ku Klaytonowi.

Przedsięwzięcie to niebyło zbyt trudne do wykonania. Powiedzieliśmy już, jaką zgrozę i strach wywołało postępowanie Klaytona, i sposób, w jaki on i siostra jego zarządzali swoją plantacyą. Tom Gordon miał znajomość datującą się jeszcze od kollegium, z najstarszym synem jednej z sąsiednich familij, młodym człowiekiem, który z nieporządnego i występnego życia, zupełnie doń był podobny. Dowiedziawszy się więc, że Klayton powrócił do Magnoliahain, przyjął zaprosiny owego przyjaciela, i pojechał do niego na jakiś czas w gościnę. — Oczywiście rzecz, iż głównym powodem tych odwiedzin było to, iż się spodziewał, że tam znajdzie łatwiej sposobność szkodenia swemu nieprzyjacielowi.

Rozdział XVIII.

DESPOTYCZNA WOLNOŚĆ.

Dla poratowania nadwreżonego zdrowia i pokrzepienia znużonego, zmordowanego umysłu, Klayton zamieszkał w Magnoliahain, dokąd na jakiś czas pojechał z nim i Frank Russel.

Nieraz zapewne czytelnikom naszym dało się spostrzedz, jak wielką jest w ludziach siła nalogu i przyzwyczajenia. Osoby, które przez długi czas żyły z sobą poufale, chociaż obiorą potem zupełnie odmienne drogi moralnego postępowania, długo jednak odwyknąć i zapomnieć o sobie niemogą. Siła żywiołów moralnych w człowieku jest tak wielką, że ambitny i samolub, nie może iść ręką w rękę z tym, który dobre kocha dla tego tylko, że dobre. A jednak na tym świecie, na którym nie niedosięga zupełnego swego rozwoju, zdarza

się częstokroć, że ludzie najrozmaitszych charakterów, przez długi czas żyją ze sobą w przyjacielskich stosunkach.

Dla Russela niepodobieństwem prawie było obejść się bez Klaytona. Właśnie to czego jemu samemu niedosta- wało, podziwiał on w Klaytonie, a napomnień jego słu- chał równie chętnie i cierpliwie jak zawsze, niemyśląc jednak nigdy stósować się do nich.

Dowiedziawszy się o słabości Klaytona, przybył na- tychmiast do niego, i z serdecznością i wylaniem ofia- rował mu się towarzyszyć do Magnoliahain. Klayton od śmierci Niny niewidział się był jeszcze z Anną, już to dla tego, że czas miał bardzo zajęty, — już téż dla te- go, że ludzie, którzy nie lubią wywnętrzać cię ze swoim smutkiem, lękają się spotkania z osobami, których przy- wiązanie i troskliwość, mogłyby ich zniewolić do zwró- cenia rozmowy na niemiły przedmiot.

Niestety! Przeznaczenie jego chciało, żeby i w tém astroniu, nieznalazł spodziewanego pokoju.

Czytelnicy przypomną sobie, że już na jakiś czas przed- tém, siostra Klaytona, doznała rozmaitych oznak nieu- kontentowania, jakie postępowanie jój i brata, obudziło w okolicy.

Obecność Toma Gordona, wkrótce téż uczuć się dała.

Podobny do konduktora, który zostając w zetknięciu z atmosferą przepelnioną elektrycznością, cały ten plyn absorbuje w siebie, stał on się środkowym punktem, o- koło którego gromadziło się powszechne nieukontento- wanie.

Jeździł na wielkie obiady, gdzie dużo rozprawił, pisał do różnych gazet artykuły i umiał podniecać dra-

żliwość ludzi niespokojnych. Niedługo téż udało mu się z młodych i zapalonych swoich towarzyszy, utworzyć związek podobny do owego nadzorczego komitetu, który sobie wziął za zadanie, wynajdywać i wytepić skrytych abolicyonistów.

Anna i jej brat spostrzegli, że nagle ustały dla nich wszystkie te objawy sąsiedzkiej przyjaźni i życzliwości, w które tak chojni są południowi Amerykanie, gdy z kim w dobrych żyją stosunkach.

Jednego dnia dano znać Klaytonowi, że kilku znajomych panów oczekuje go w salonie. Gdy wszedł, powitał go najprzód najbliższy jego sąsiad, sędzia Oliwer, miły, wiekowy już człowiek, należący do znakomitej rodziny, i rozległe posiadający stosunki. Towarzyszyli mu p. Bradshaw, z którymeśmy już wprzód zapoznali czytelnika, i p. Knapp, człowiek bardzo bogaty i obdarzony wielką energią i zdolnościami, który przez kilka lat był reprezentantem swego kraju na kongresie.

Pewne pomięszanie, malujące się w twarzach i obejściu tych panów, okazywało jawnie, że w drażliwym jakimś przyjechali interesie.

Żeby niewiem jak był człowiek na kogoś obruszony niełatwo jednak przychodzi mu gadać rzeczy niemiłe i obrażające, gdy ten ktoś przyjmuje go w domu swoim ze spokojną i uprzedzającą grzecznością. Gdy więc panowie ci usiedli, i wymienili kilka zwyczajnych uwag o pogodzie i zbiorach tegorocznych, nastąpiła długa i ambarsująca pauza, podczas której przybyli nawzajem spoglądali po sobie, wyraźnie niemogąc się zdecydować, który z nich pierwszy ma zacząć mówić o rzeczywistym powodzie ich odwiedzin.

— Panie Klayton, — odezwał się nareszcie sędzia Oliwer, — z żalem widzimy się spowodowani, niemiłych udzielić Panu wiadomości. My wszyscy byliśmy zawsze z najwyższym szacunkiem dla pana i jego rodziny; — ja sam znam od dawna i poważam ojca pańskiego, i zapewniam pana, że sobie bardzo wiele przyjemności obiecywałem z pańskiego pobytu tutaj, i z jego sąsiedztwa. Dla tego nieskończenie mi przykro, że muszę panu coś niemiłego powiedzieć, ale widzę się zmuszonym oświadczyć panu, że postępowania pańskiego z niewolnikami dłużej cierpieć niemożemy, bo jest prawom i zwyczajom naszym przeciwnie. Pan wiesz, że uczenie niewolnika czytać i pisać pod surową karą jest zakazane. Tłumaczenie tego prawa, zawsze uwzględnialiśmy bardzo. Niekiedy pomijano je, ucząc tych zakazanych wiadomości ulubionych niewolników, którzy dobrą sprawowaniem się usprawiedliwiali położone w nich zaufanie; a jeżeli tylko działało się to z przyzwoitą ostrożnością, niezwracaliśmy na to uwagi, aniśmy się temu sprzeciwiali. Ale zaprowadzenie tak formalnej, systematycznej nauki, w takim stopniu i zakresie, w jakim jej pan na swojej plantacyi udzielasz, jest tak wbrew prawom naszym przeciwnie, że dłużej tego znosić niemożemy, i postanowiliśmy, jeżeli pan postępowania swego niezmienisz, postarać się o to, aby prawo weszło w wykonanie.

— Miałem tak dobre wyobrażenie o moim rodzinnym kraju, — odrzekł Klayton, — że prawa te uważałem tylko jako pozostałość po barbarzyńskich czasach, które dzisiejsze chrześcijaństwo za martwe litery uważać winno. W dobrej zatem wierze poczyniłem u siebie pewne zmiany, które uważałem za potrzebne, i ani mi przez

myśl nieprzeszło, żeby się mógł znaleźć ktoś, coby się sprzeciwiał rzeczom tak wyraźnie z ewangelii płynącym i przez dzisiejszego ducha czasu wywołanym.

— Mylisz się pan bardzo, — rzekł na to p. Knapp tonem stanowczym, — jeżeli myślisz, że te prawa są dla nas obojętne, i że je kiedykolwiek za martwe litery uważać pozwolimy. Te prawa, mój panie, są ściśle powiązane z naturą naszej ustawy; one koniecznie są potrzebne do utrzymania naszej własności i bezpieczeństwa naszych rodzin; — proszę dać tylko Murzynom naukę, a cały nasz porządek domowy zniszczony zostanie. Nasi Murzyni, już i bez tego, przez samo zbliżenie się do nas, nabrali tyle rozumu i pojęcia, że trudno ich na wodzy utrzymać; otwórzże im pan teraz jeszcze wrota nauki, a ciekawym, kto zgadnie, gdzie to ich i nas zaprowadzi? Co się mnie tyczy, to ja nieaprobuję nawet tych wyjątków, o których wspomniał sędzia Oliwer. — Zwykle bywa, że właśnie tym Murzynom, którzy sprawowaniem się swoim i zdolnościami, zdają się na pewne względy zasługiwać, ufać niemożna, bo zaufanie ich psuje. Przypatrz się pan tylko historii tego powstania, które o mało wszystkich mieszkańców Charlestown życia niepozbawiło. Cóż to byli za jedni ci co je wywołali? Właśnie ci zdolni i ukształceni ludzie, — właśnie ten rodzaj niewolników, których niektórzy czytać uczą, dla tego, że ich mają za tak dobrych, iż przekonani są, że ztąd nie złego niewyniknie. Mój ojciec należał do sądu, który prowadził śledztwo z tych ludzi, i słyszałem nieraz jak opowiadał, że ani jeden z nich niebył znany ze złego prowadzenia się; owszem, wszyscy odznaczali się chwalebny^m postępowaniem. Naprzykład Denemark

Vesey, herszt całego tego spisku; — przez dwadzieścia lat służył swemu panu jako najwierniejsze na świecie stworzenie, — a gdy wolność uzyskał, powszechnie był szanowany, tak dalece, że go władze zrazu niechciały imać, tak mocno były przekonane, że on do tój sprawy nienależał. Wszyscy naczelnicy tego spisku umieli czytać i pisać, mieli listy z imionami wszystkich sprzysiężonych, ale nikt się nie dowiedział, ani się nigdy nie dowiedzieć, ilu ich tam było, bo ludzie ci milczeli jak grób, i niemożna było z nich nic wycisnąć. Umarli, mój panie, nie zdradziwszy się ani jednem słowem, — ale my nie-umiemy i tak korzystać z tój przestrogi.

— A czy pan myślisz, — zapytał Klayton, — że ludzie z taką determinacją i z takimi zdolnościami, gdy im zabronimy przystępu do nauki, nieznajdą sobie sami sposobnych ku temu środków i drogi? A jeżeli je osiągną pomimo naszych zakazów i środków ostrożności, to bezwątpienia przeciwko nam ich użyją. To pewna, moi panowie, że obcowanie z nami, musi im nadawać koniecznie pewien stopień ukształcenia, i że są między nimi ludzie, ciągłym, nieprzewartem pragnieniem coraz szerszej wiedzy płonący. Wszystkie zapory jakie im stawimy, posłużą tylko do tego, aby pragnienie to jeszcze powiększyć, a gdy wbrew naszej woli nabędą wiadomości, bez żadnego skrupułu przeciw nam ich użyją. Według mnie, jedynym pewnym środkiem, mogącym nas zabezpieczyć od powstania, jest systematyczne ich wychowanie, za pomocą którego z czasem osiągniemy nad nimi wpływ, jaki zawsze wyższego ukształcenia jest udziałem. Jak skoro więc do używania praw swoich okażą się zdolni, musimy im je przyznać.

— Niemusimy! — krzyknął p. Knapp, uderzając laską w ziemię. — Niemyślimy tak łatwo władzy naszej z rąk wypuszczać, ani pozwalać na podobne postępowanie. Nam trzeba trzymać ich krótko i ostro. Co się mnie tyczy, to ja nawet tego systematu ustnego nauczania ich religii cierpieć niemogę; — to rozwija ich umysł i budzi w nich pragnienie umienia więcej; — ja zawsze powiadam, że to jest rzecz niebezpieczna. Uczą ich biblii, a biblia jest to właśnie najniebezpieczniejsza książka, jaką kiedykolwiek napisano, — podżega tylko umysł, i nie więcej.

— Nieuważasz pan, — rzekł Klayton, — do jakich rezultatów twierdzenia pańskie prowadzi. Cóż to musi być za system, który aby się utrzymał, do takich środków uciekać się musi.

— To darmo; — ja tego odmienić niepotrafię, — odrzekł p. Knapp. — Miliony wartości spoczywają w niewoli, a my summ takich niemożemy wystawiać na igraszkę, dla jakichś urojonych zachciałek. Nasz system jest tak dobry jak tysiące innych systematów, które istniały i istnieją do tego czasu. My budowy społeczności naszej burzyć niemożemy, i rzeczy muszą dalej iść swoim trybem. — A teraz panie Klayton, mam panu jeszcze coś innego do powiedzenia, — dodał p. Knapp, powstawszy z miną nadzwyczaj surową, i przechadzając się po pokoju. — Dostrzeżono, że pan odbierasz pocztą buntownicze pisma, a tego panu czynić niewolno.

Klaytonowi krew uderzyła do twarzy, oczy mu się zaiskrzyły, założył ręce na piersiach i wyprostowawszy się w krześle, rzekł:

— Któż to i jakim prawem śmie przetrząsać papiery, które ja pocztą odbieram? Czyż niejestem człowiekiem wolnym?

— Nie, mój panie, niejesteś nim tak dalece, — odrzekł p. Knapp. — Niewolno panu trzymać pism, które całą okolicę podają w niebezpieczeństwo, tak jak niewolno panu składać na swoim gruncie beczek z prochem, jeżeli one i naszój własności grożą wysadzeniem w powietrze. — Wiedz pan o tém, że widzimy się spowodowani czuwać nad pocztą i niepozwałać, aby podejrzane osoby, odbierały korespondencye bez naszój wiedzy. Czy pan zapomniałeś o tém, że główną pocztę w Charlestown odbito, że zabrano i zniszczono wszystkie abolicjonistyczne pisma, i że czyn ten, przez powszechne zgromadzenie, na którém przydywali duchowni, za dobry uznany został?

— Zdaje mi się p. Knapp, — wmięszal się do rozmowy sędzia Oliwer, chcąc rzecz tę ułagodzić, — zdaje mi się, że się pan unosisz dalej, aniżeliś sobie zamierzył. P. Klayton zapewne da się przekonać o słuszności naszego żądania, i zgodzi się na to dobrowolnie, żeby buntowniczych pism nietrzymać.

— Ja nietrzymam żadnych pism buntowniczych, — odparł Klayton gorąco; — to tylko prawda, że czytuję jedną gazetę, powstającą na niewolę, — a wychodzącą w Washingtonie, która przedmiot ten spokojnie i rozsądnie traktuje. Ale ja uważam, że obowiązkiem jest każdego, wszystko obustronnie rozważyć.

— No, widzisz pan, — rzekł p. Knapp, — jak to źle, żeś pan swoich niewolników czytać nauczył. Gdyby oni niebyli w stanie czytać pańskich gazet, niechodziło-

by nam wcale o to, czy pan sobie trzymasz te lub owe. Ale pan nauczyłeś ich myśleć i sądzić o tój kwestyi, i teraz wszystkiego obawiać się musimy.

— Zważ pan na to, — odezwał się sędzia Oliwer, — że każdy z nas ma moralny obowiązek, rzec się pewnych ofiar osobistych na korzyść dobra powszechnego. Ja przeglądałem gazetę, o której pan mówisz, i wyznaję, że mi się bardzo podobała. Ale że w dzisiejszym naszym położeniu, trzymanie jój mogłoby się stać niebezpiecznym, więc jój też nietrzymam.

— To mię tylko dziwi, — odparł Klayton, — że panowie własnych swoich gazet trzymać niezakażecie; bo dopóki tylko rozprawy kongresowe, odezwa z czwartego lipca, albo jakiegokolwiek mowy senatu umieszczane w nich będą, dopóty zawierać one będą w sobie przedmioty podlegające naszym niewolnikom. Nasza historia, nasze prawa, życie naszych przodków, pełne są takich rzeczy. Chcąc uniknąć niebezpieczeństwa z tój strony, musieliśmy zniszczyć całą naszą literaturę.

— Ależ pan nieuważasz, — rzekł pan Knapp, — że właśnie przytoczyłeś mnóstwo powodów, dla których niewolnicy nasi niepowinni umieć czytać.

— Zapewne, gdyby przeznaczeniem ich było na zawsze zostać niewolnikami, — gdybyśmy mieli zamiar nigdy ich nieamancypować.

— Bo też tak jest! Oni muszą na zawsze zostać niewolnikami! — zawołał p. Knapp. z uniesieniem. — Położenie ich nigdy zmienić się niemoże; niepozwolimy sobie nigdy nawet mówić o tém.

— Ha, kiedy tak, to niechże się Bóg nad wami zlituje, — odrzekł Klayton głosem uroczystym. — Ja bo-

wiem jestem najmocniej przekonany, że nastając na wolność ludzką, samemu Bogu się przeciwicie.

— Ale kiedy tu niechodzi o wolność ludzką! — zawołał p. Knapp, — bo oni przecież nienależą do ludzkiego rodzaju; oni stanowią tylko podrzędną klasę, stworzoną do służebności i poddaństwa. Pismo Śte jasno tego dowodzi!

— A dla czegoż nie dacie im go w ręce, i nie każecie im go czytać? — zauważał Klayton z krwią zimną.

— Koniec końców, — rzekł p. Knapp opryskliwe, — przekonasz się pan, panie Klayton, że my tutaj wcale nieżartujemy. Przybyliśmy do pana jako przyjaciele, aby go ostrzedz, a więc, jeżeli pan naszych rad i napomnień słuchać niezecheesz, my umywamy ręce od wszelkiej odpowiedzialności, za wszystko, co z tego nadal wynikać może. Ale jeżeli pan na siebie niezważasz, to powinienbyś przynajmniej mieć wzgląd na swoją siostrę.

— Przynaję, — odparł Klayton, — że zanadto honoru wyświadczyłbym rycerskiemu duchowi obywateli południowej Karoliny, gdybym przypuszczał, że kobieta niepotrzebuje się nieczego obawiać z ich strony.

— W ogólności, pleć piękna doznaje u nas wszelkich oznak winnego jój szacunku, — rzekł sędzia Oliwer, — ale w tym względzie opinija publiczna tak dalece stała się już drażliwą, że ręczyć za nie niemożemy. Przypominasz sobie pan zapewne owego senatora, który będąc przysłany z Massachusetts do Charlestown, przyjechał tam z córką swoją, młodą i wysoko wykształconą damą. Lud wtedy był tak rozdrażniony, żeśmy mu rady dać niemogli i widzieliśmy się spowodowani prosić tych przyszźów, aby miasto nasze opuścili. Ja przynajmniej,

niechciałbym był wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co mogło nastąpić, gdyby byli zostali.

— Przyznam się, panie sędzio, — rzekł Klayton, — iż niemogę wyjść z podziwienia, słysząc, jak mężowie tak znakomici jak panowie, możecie bronić czynów takich jak odbijanie poczt, i usprawiedliwiać takie postęпки jak obraza senatora państwa sąsiedniego, który przybył do was w najspokojniejszych, przyjacielskich zamiarach, i obraza całej pleci niewieściój w osobie ukształconej kobiety. Czyż ta hydra, ten lud, ma być panem naszym?

— To téż to był tylko ten jeden, szczególny wypadek! — zawolali jednogłośnie trzej panowie. — To jedyny wyjątek!

— A czy panowie sędzicie, — zapytał Klayton, — że nanieciwszy pożar, będziecie w stanie poskromić go gdy zechcecie? O, bądźcie pewni, że niedokażecie tego. Lud, do którego się teraz uśmiechacie i któremu przyklaskujecie, gdy się dopuszcza czynów, które wam są mile, z czasem ogłosi się waszym panem, w sposób, który wam weale niebędzie przyjemny. —

— Widzisz pan, panie Klayton, — odezwał się p. Bradshaw, — jest to rozmowa w ogólności bardzo nie-miła. Myśmy tu rzeczywiście przybyli do pana, chcąc mu dać dowód naszej przyjaźni. My wszyscy umiemy cenić pańskie osobiste zasługi, pański charakter i powody pańskiego postępowania, — ale wierzaj pan, oburzenie wzrasta i opinija powszechna staje się coraz drażliwszą. Już przed kilku miesiącami mówiłem o tém z Mis Anną, i oświadczyłem jój szczerze co o tém myśle. Gdybyś nam pan chciał przyrzec, że zmienisz nadal swoje postępowanie, mielibyśmy przynajmniej oprzec się

na czém, i moglibyśmy jako tako ułagodzić opinią publiczną; — gdybyś pan na jakiś czas przestał pisać, i trzymać tę gazetę; — gdybyś tak jakoś nieznacznie dał do zrozumienia, że zamierzasz zmienić system na swojej plantacyi, to cała ta sprawa samaby się powoli ułożyła i uspokoiła.

— Moi Panowie, — rzekł Klayton, — żądacie odemnie rzeczy bardzo ważnej, — rzeczy, która głębszego potrzebuje namysłu. Jeżeli rzeczywiście naruszam ustawy państwa, jeżeli ustawy te trwają jeszcze podziśdzich w całej swojej sile, to muszę naturalnie być im posłuszny; ale z drugiej strony związany jestem moralną odpowiedzialnością za wykształcenie tych, którzy zostają pod mojem zwierzchnictwem. Dla tego też, niewidząc sposobu pogodzenia tak przeciwnych obowiązków, będę chyba zmuszony kraj ten opuścić.

— Jakkolwiekby nam przykro było, gdyby do tego przyjść miało, — rzekł sędzia Oliwer, — to jednak spodziewamy się, że pan przyznasz, iż tylko konieczność spowodowała nas do kroku, któryśmy do pana uczynili. —

— Konieczność jest wymówką tyranów, — zauważał Klayton z uśmiechem.

— Ale słuszną jest tutaj, — odrzekł również z uśmiechem sędzia Oliwer. — Zresztą kontent jestem, żeśmy się z panem porozumieli; mam nadzieję, że teraz będziemy przynajmniej w stanie uspokoić naszych zapalonych młodych sąsiadów, i zapobiedz złemu, któreby było mogło z ich gwałtowności wynikać. —

Nareszcie po krótkiej, obojętnej rozmowie, odjechali trzej panowie, pożegnawszy się pozornie w najlepszej

harmonii z gospodarzem, a Klayton poszedł do siostry i Franka Russel, żeby się zniemi naradzić. —

Anna była tém wszystkiém do głębi oburzona; — było to szczere, jawne oburzenie, właściwe kobietom, które zwykle z większą stałością i odwagą obstają przy swoich zasadach, aniżeli mężczyźni. — Ona nieobawiała się bynajmniej tego, czego się Klayton dla niej obawiał. — Klayton, który już raz był świadkiem dzikości rozuzdanego motłochu, drżał na samę myśl, że siostrę jego mogłoby spotkać coś podobnego.

— Ja myślę, — rzekła Anna, — że kiedy tak rzeczy stoją, to lepiejby było dać pokój całemu temu kłamliwemu pozorowi, który naszemu rządowi w oczach świata, postać wolnego rządu nadaje. Lepiejby było niewspominać całkiem o owój wolności mówienia, wolności sumienia, i o innych wolnościach, które czczem tylko są urojeniem! —

— To prawda, — dodał Russel, — że ta nasza rzeczpospolita, podobna jest zupełnie do rzeczypospolitej weneckiej. U nas niema demokracji, tylko oligarchia, a gmin jest jój panem. — Wszyscy, jak jesteśmy, zostajemy pod władzą Rady Dziesięciu, której oka nie nieujdzie. Dopóki postępowanie nasze jest jój na rękę, dopóty dosyć wolni jesteśmy; ale w przeciwnym razie, natychmiast czujemy powróż na szyi. To jednak bardzo jest pięknie ze strony tych panów, że przyjechali do ciebie, powiedzić ci, że niemogą brać na siebie odpowiedzialności, za skutki oburzenia które sami podzegli; bo ściśle rzecz zważywszy, kogóż może obchodzić to co ty robisz, jeżeli nie ich? — Wielcy właściciele ziemscy są jedynie interesowani w tej sprawie, a biedny lud, jest

tylko ich psiarnią. Przyjechawszy więc do ciebie z ostrzeżeniem o powszechném oburzeniu, chcieli ci tylko powiedzieć;;, Mój panie, jeżeli się nieupamiętasz, to puścimy na ciebie nasze psy, a wtedy niemożemy odpowiadać za skutki jakie z tąd wynikną!“

— I to nazywasz pan wolnością? — zawołała Anna z uniesieniem.

— Proszę pani, cały ten świat jest wielką farsą i nie więcej, — odparł Russel. — Nazywamy to wolnością, bo to ładne i wdzięcznie brzmiące imię. Bo i cóż to jest właściwie wolność, o którą ludzie tyle robią hałasu? Pięknne imię, i nie więcej! My wszyscy jesteśmy niewolnikami, jeżeli nie tój, to innej okoliczności lub rzeczy; niemasz na świecie człowieka doskonale wolnego; był nim chyba Robinson Kruzoe na swój pustej wyspie, — a i on potargał na kawałki wszystkie swoje koszule, i zawiesił je nad brzegiem jako sygnał, pragnąc aby go dostrzegł i przyjechał go zabrać jaki okręt, — tak mu tęszno było za niewolą!

— Mimo tego, ja jednak przekonana jestem, że jest na świecie wolność prawdziwa! — zawołała zapalając się Anna. — Miałaby nie mieć żadnej podstawy ten popęd wewnętrzny, to pragnienie, którym pałają ludzie od najdawniejszych czasów? — a to wszystko co mowcy, filozofowie i poeci powiedzieli i napisali o wolności, miałyby pustą tylko być plewą?

— Są to wszystko ładne bajeczki, które jednak bliższego rozbioru wytrzymać niemoga. Przez wolność w ogólności, rozumie się ta wolność, która mnie, mojemu narodowi, lub mojej klasie, nadaje prawo czynienia co nam się podoba; co zapewne bardzo dobrą jest rzeczą

dla tych których fortuna na wierzchu koła postawiła, ale dla tych którzy pod niem leżą, z wielu nieprzyjemnościami musi być połączone.

— Trzeba mieć serca ani wiary w sobie, żeby tak mówić, — rzekła Anna ze łzami w oczach, — Ale ja to wiem lepiej jak pan, ja wiem że są ludzie prawi, szlachetni, miłujący sprawiedliwość, którzy pragną aby każdy miał to, co mu się z prawa należy. Takim ludziom niechodzi o wolność moją, lub naszą, ale o samą zasadę wolności.

— Żeby zasadę tę loicznie przeprowadzić, cały świat musiałby się rozpaść w drobne kawałki. Pytam się, gdzie jest na świecie rząd, wolny wedle tego pojęcia? Który naród szanował kiedy prawa słabszego, — który je szanuje, albo będzie szanował, zanim królestwo boże zstąpi na ziemię? A ten wypadek zaudto jest jeszcze daleki, żeby nad nim praktyczne uwagi robić można. Na co się zatem mamy rozbijać o cześć nazwę? Co do mnie, to w tej chwili bardziej mi stoją na myśli owe pogrożki, które ci panowie czynili Edwardowi, bo, jak to już powiedziałem, widzę w tém wszystkiem rękę Joaba. Tom Gordon jest tutaj w sąsiedztwie w gościnie, i bądź pewien Edwardzie, że niejest obcy tej sprawie. To jest zuchwały szalenie, i dla tego boję się, czy mu nieprzyjdzie ochota podzęgnąć lud, do jakiego gwałtu. — Cokolwiekby się stało, niemożesz na niczyją pomoc rachować. Najlepsi twoi przyjaciele będą załamywać ręce i powiedzą: „Biedny chłopiec! A przepowiedzieliśmy mu, że się tego doczeka!“ — a inni z radością powsadzają ręce do kieszeni, i zawołają: „Dobrze mu tak!“

— Niespodziewam się, żeby się dopuścili jawnego

gwałtu, — rzekł Klayton. — Przecież, o ile ich zrozumiałem, przy odjeździe zobowiązali się, że mię zostawią w pokoju.

— Ależ Tom Gordon jest tutaj, — odparł Russel. — Bardzo więc łatwo być może, że pokaże się, iż panowie ci, dając ci takie przyrzeczenie, zrobili rachunek bez gospodarza. W okolicy jest tutaj dosyć takiej młodzieży, która, jeżeli ją tylko ktoś z energią poprowadzić potrafi, przed niczem się nie cofnie, a prócz tego jest mnóstwo motłochu, który każdego czasu za kieliszek wódki mieć można na usługi.

Pokazało się później, że Russel miał słusność.

Sypialny pokój Anny położony był od tyłu domu, a okna z niego wychodziły prosto na ów gaik, w którym była jej szkoła. O pierwszej godzinie w nocy, przebudził Annę jakiś blask jasny, czerwonawy. Zerwała się, myśląc zrazu, że się dom pali.

W tej chwili doszedł do jej ucha jakiś gwar, jakiś hałas przepelniający powietrze, podobny do dźwięku miedzianych kociolków, do rżenia koni, zmieszanego z wybuchami dzikiej wesołości i przekleństwami. Opa miętała się niebawem i przystąpiwszy do okna, przekonała się, że to jej szkoła stoi w płomieniach. Ogień poopalał liście pięknych drzew otaczających budynek, i rażącym światłem błyszczał wśród nocnej ciemności. Anna ubrała się prędko, a po chwili Klayton i Russel zapukali do jej drzwi. Obadwa wyglądali bardzo blado.

— Nie bój się Anno, — rzekł Klayton obejmując siostrę; ale słowa te powiedział tonem, który świadczył że wszystkiego lękać się wypadało. — Ja wyjdę i pomówię z niemi. —

— Daj też pokój, — odezwał się na to Russel głosem stanowczym, — tu nie czas ani miejsce po temu, żebyś miał popisywać się ze swoją bohaterską odwagą. Ta hołota pijana jest wódką i szaleem, a cały ten napad, przeciwko tobie zapewne głównie jest skierowany; widok zatem twój, jeszczeby ich do większej pobudził wściekłości. Pozwól więc mnie wyjść do nich, ja lepiej od ciebie potrafię sobie radzić z tym motłochem. Zresztą niebędę sobie robił żadnych skrupułów i będę mówił i robił to, co w takich razach mówić i robić należy. Zobaczysz jak ja tu całą tę zgraję, wnet z tryumfem z tą wyprowadzę. A ty tymczasem, mój kochany Edwardzie, pilnuj tylko swojej siostry, dopóki niewrócę, co może nastąpić jutro rano między czwartą a piątą godziną. Myślę bowiem całą tę czeredę zaprowadzić do Mugina, i tam ich tak popoić, że żaden ręką ani nogą nieruszy.

Wyłożywszy w ten sposób swoje plany, Frank począł się przebierać z pośpiechem; — odział się w stary, wyszarżany płaszcz, starą, wypłowiałą chustkę jedwabną zawiązał na szyi z zuchwałą fantazyą, i dopełniwszy tego stroju starym połamanym kapeluszem jednego ze służących, wymknął się cichaczem z domu, przedarł się przez krzaki, i nieznacznie wnięszal się w tłum który otaczał płonący budynek. Wkrótce z wielką poaciechą przekonał się, że Toma Gordona tam niebyło, i że tylko z białemi z niskiej klasy miał do czynienia.

— No, to pół biedy, — pomyślał sobie, — wskoczył na pniak i począł coś prawie w ordynaryjnym dyalekcie, którym mówi lud prosty, a który on znał doskonale. Ponieważ był obdarzony bystrym dowcipem i każdego

zabawić umiał, niebawem udało mu się więc zgromadzić w około siebie cały tłum, który słuchał go zanosząc się od śmiechu. Pochwały których nieszczęśliwie mężstwu i dzielności swoich słuchaczy, tak podehlebili ich próżności, że wkrótce miał ich wszystkich w swoim ręku, i gdy zaproponował, żeby iść do sklepu Mugina, w którym był prosty szynk, o milę od plantacyi oddalony, i tam dopiero dokonane zwycięstwo uroczyście i godnie obchodzić, tłum z okrzykami radości zgodził się na ten projekt. Jak przepowiedział, tak się stało, — wszyscy pociągali za nin ochoczo, — a on dotrzymał słowa, bo nieopuścił ich dopóty, dopóki wódka niewywarła na nich takiego skutku, że się niczego z ich strony obawiać niemożna było.

Wróciwszy nazajutrz rano około godziny dziewiętej zastał Klaytona i Annę siedzących przy śniadaniu.

— No, mój Edwardzie, — rzekł siadając przy nich, — teraz chciałbym z tobą zupełnie na seryo pomówić. Nie ma kwestyi, że jesteś całkiem zamatowany. Twoje plany powolnej emancypacyi, są niepodobne do wykonania, — a jeżeli je zamysłasz jeszcze na swoich ludziach przeprowadzić, to musisz ich wysłać do Liberyi, albo do północnych Stanów. Przed pięćdziesiątu laty był czas, w którym na takie rzeczy patrzano na południu z po-
błażaniem — ale ten czas już przeminął. Od tej chwili, gdy dla niewoli otwarło się nowe terytorium, cena własności tego rodzaju tak wysoko wzrosła, że emancypacya stała się moralnym niepodobieństwem. To się zmienić nieda, jak ci to wczorajsi twoi goście powiedzieli, i sam to powinieneś być zauważać, jak oni wszystko ku temu kierują, aby stosunki nasze *in statu quo*

zostały. Właściciele ziemscy w naszych Stanach południowych, stanowią tylko trzy dziesiąte części całej ludności, a jednak pozostałe siedm dziesiątych, rzeczywiście żadnej niemają exystencyi. Wszystkie ich prawa ograniczają się na tém, że dają głosy, wedle tego jak im z góry jest polecone, i wiedzą o tém, że czynić to muszą, bo sami niewiedzieliby co z niemi zrobić. Północy zatkaliśmy usta bawełną, i będzie je miała zatkanie, dopóki nam się podobać będzie. Poczciwi ci panowie z północy, tak są zadowoleni z poduszek i innych wygódek, które mają w swoich wagonach, że sobie wcale nie zadają pracy, aby pomyśleć nad tém, że my jesteśmy inżynierami, lub aby się zapytać, dokąd ich wieziemy. A jeżeli który z nich czasem się obudzi, i wydzwoni z powozu jakie melancholiczne zapytanie, to zatraskujemy mu drzwiczki przed nosem i odpowiadamy: „Mości Panie, patrz pan swoich własnych interesów!“ A on opada nana powrót w bawełniane poduszki, zasypia znówu, i najwięcej jeżeli mruknie sobie pod nosem że: „moglibyśmy być trochę grzeczniejsi.“ Mają oni wprawdzie niekiedy i fanatyków, ale my nietrudzimy się wcale nimi, — staramy się tylko, aby oni sami w ryzie ich trzymali. Dla nas, oni sami podlegają swoje pospólstwo, aby niespokojnych pisarzy i kapłanów, z ich miast wypędzało, a owi mężowie, których na kongres wysyłają, zawsze są z nami w znmowie. Naturalnie, trafiają się czasami wyjątki, ale te służą tylko do tego, aby tém mocniej utwierdzić regułę. Gdyby na północy opinija publiczna była tego rodzaju, żebyście się wy reformatorowie na niej oprzeć mogli, to mimo trudności które wam stają na drodze, możebyście czego i okazali;

ale o tém mowy nawet niema. Oni wszyscy uwikłani są w nasze interesa, wyjąwszy takich jak ty, urodzonych już fanatyków, którzy idą tą wąską i niewygodną ścieżką, o której nam tylko czasami w kościele słyszeć się zdarza.

A więc, — rzekła Anna do swego brata, — opuśmy ten kraj. Gotowa jestem iść na koniec świata, byleby tylko nieporzucać dzieła, którem rozpoczęła. —

Rozdział XIX.

UCIECZKA I WOLNOŚĆ.

Zbiegi, którzy zdążali ku północy, podzielili się na dwie partye.

Harry, Lizeta, Tiff i dwoje jego dzieci, tworzyli ni-
by jedną familią, której Harry był ojcem, gdy tymcza-
sem Lizeta odgrywała rolę ochmistrzyni, a Tiff służące-
go. Ponieważ przy pomocy pieniędzy, które otrzymali
od Klaytona, mogli się utrzymywać przyzwoicie, bez
żadnej zatem trudności dostali w Norfolku miejsca na
małym, nadbrzeżnym przewozowym statku, który od-
pływał do Nowego Jorku. Nigdy dotąd Harry niedo-
znał tak miłego uczucia własnego bezpieczeństwa, jak
kiedy się ujrzał na tym statku, nad którym białe po-
wiewały żagle, i który ich wszystkich miał zanieść do
dalekiej, bezpiecznej ostoi.

Nim jednak dopłynęli do Nowego Jorku, w położeniu ich znaczne zaszły zmiany. Lazurowe niebo zachmurzyło się, a morze z początku tak zdradliwie spokojne, poczęło się burzyć gwałtownie. Okropna burza, wyjąk straszliwie, poczęła niby piłką, rzucać małym statkiem.

Gdy tedy wichur zaczął miotać okrętem z jednego boku na drugi, Lizeta i dzieci poczęli płakać ze strachu. Stary Tiff robił wszystko co tylko było w jego mocy, aby ich uspokoić. Siadł sobie w kajucie na ziemi z założonemi na krzyż nogami, i trzymając mocno dzieci w swoich objęciach, przypominał im, jak im Mis Nina czytała jednego razu o owęj burzy, która powstała na jeziorze Genezaret, i jak Chrystus podczas niej spał spokojnie na tyle statku; a wreszcie dodał: „On tam i teraz także spi.“

— Jakby to dobrze było, żebyś go ty obudził, — zawołał na to Teddy żalonym głosem; — ja niemogę znieść tego okropnego hałasu. Ciekawym, dla czego on na to pozwala?

Nim noc zapadła, niebezpieczeństwo na okręcie do wysokiego doszło stopnia, i tylko ci, którzy sami tego doświadczyli, mogą mieć wyobrażenie o okropności téj noocy. Straszliwe rzucanie się okrętu, jęki i skrzyp masztów, okropne grzmoty fal bijących o boki okrętu, przestraszonych, jakim zdawał się za każdym uderzeniem wali drząc statek, niby żyjąca jakaś istota, były dostateczne aby przyjąć śmiertelnym strachem najdoświadczonego żeglarza, a cóż dopiero naszych drżących zbiegów.

Gdy ranek zaświtał, ujrzeli podróżni, że okręt bez ratunku zapędzony został na jakiś brzeg niegościny, którego samo imię niedobłą było dla żeglarzy wróżbą. Nie-

długo straszny łoskot rozległ się na okręcie, który utkwiony między skałami, ruszyć się niemógł, i ciągle zalewały go fale. Wszyscy wybiegli na pokład, próbować wszelkich środków, jakie im jeszcze pozostały do uratowania życia. Spuszczano łodzie jedną po drugiej, ale rozhukany żywioł porywał wszystkie. — Gdy nareszcie ostatnią łódź spuścić miano, wszystko poczęło się cisnąć aby się na nią dostać, bo to był ostatni środek ratunku. W takich chwilach, mimowolny strach śmierci usuwa wszelkie inne względy; to też łódź zajęta była niebawem przez majtków, bo im łatwiej się było dostać na nią, niż podróżnym, którzy ani tak silni, ani tak jak oni oswojeni niebyli z podobnym położeniem.

Na okręcie pozostał tylko sam kapitan, a z nim Harry, Lizeta, Tiff i dzieci.

— Naprzód! naprzód! — zawołał kapitan na Lizetę, która mu pierwsza wpadła pod ręce, i wsadził ją w łódź.

— Na miłość boską, — błagał Tiff, — dzieci mi weźcie! Niech się tam już dla mnie miejsca niezostanie, mniejsza o to! Ale dzieci zabierzcie i miejcie o nich staranie! — I to mówiąc porwał Harrego w silne ramiona i wepchnął go do łodzi.

Harry mechanicznie pozwolił robić ze sobą wszystko. Za nim skoczył kapitan i łódź się napełniła.

— O! weźcie biednego Tiffa! weźcie go! — prosiły dzieci, wyciągając rączki do swego starego przyjaciela.

— Odbijać chłopcy! Łódź już pełna! — wrzasnęły dzikie głosy, i łódź odplynęła od okrętu, pograżyła się w przepaść, potem wydobyła się znów na wierzch, i tak

to wznosząc się w górę, to w głąb zapadając, na wzdętych, spienionych falach, niosła się ku brzegowi.

Gdy się osada łodzi obejrzała za siebie, ujrzała olbrzymi zielony balwan, z koroną z piany na głowie, który pochwycił na siebie okręt, wyniósł go w górę jako lupinę z orzecha, a potem rozbił w drzazgi, uderzywszy nim o skały.

Tyle tylko pływacy na łodzi widzieli, bo sami przemoczeni na wskrós morską wodą, ale przynajmniej żywi, na brzeg wyrzuceni zostali.

Wielki tłum ludzi stał na brzegu, a biedne przemokłe rozbitki, ze zwykłą w takich razach ludzkością, przyjęci zostali w chatach nadmorskich, gdzie posiłek, ogień i sucha odzież na nich czekały.

Dzieci szczególnie były przedmiotem ogólnego współczucia i zajęcia; — każda matka przychodziła do nich i przynosiła im coś do ubrania, tak, że im się stracona garderoba prawie całkiem wynagrodziła. Ale nie niebyło w stanie pocieszyć ich po stracie starego ich przyjaciela. Napróżno starano się uspokoić ich placuszkami, ciasteczkami i tym podobnemi przysmakami; — niebożęta usiadły na ziemi, i objąwszy się rączkami cicho plakały. —

Jakkolwiek niewidzialny jest ten węzeł, którym miłość spaja pewne istoty na téj ziemi, jednak jest on tak silny, a zarazem słodki, że niemasz nic na całym świecie, coby go zastąpić mogło.

Tiffa przywiązanie do dzieci było tak stałe, tak pełne troskliwości, i z takim zaparciem się samego siebie połączone, że Fanny i Teddy niemogli sobie wystawić, jak potrafią choć jeden dzień bez niego przepędzić, a

pojęcie osamotnienia, w jakim ich brak jego pograżył, zdawało się coraz to jaśniej malować w ich umyśle. Nie niemogło ich zatrzymać, — wyszli i patrzyli wszędzie, czy go gdzie niezobaczą, ale nadaremnie. Harry, który wyszedł za nimi, zaledwie potrafił ich odprowadzić do domu.

— Powiedz mi Fanny, — zapytał Teddy, gdy zmówiwszy modlitwy spać się pokładli, — czy Tiff poszedł do nieba?

— Zapewne, — jeżeli kto, to on zasłużył na to, — odrzekła Fanny.

— To on tu pewnie niedługo przyjdzie i nas zabierze, — mówił dalej Teddy; — onby tam bez nas niewytrzymał. Nieprawdaż?

— Alboż ja wiem? — westchnęła Fanny. — Jabym tak rada była pójść za nim, — świat taki samotny!

Tak rozmawiając, zasnęły dzieci nareszcie. Ale dobrze to powiadają, że po deszczu pogoda, a po smutku radość następuje. Tak się też stało i tą razą. Nazajutrz rano Teddy podskoczył na łóżku z radości:

— Fanny! Fanny! Tiff nieumarł, — słyszałem go jak się śmieje.

Fanny usiadła i wkrótce przekonała się, że po za przepierzeniem, które ich pokoił sypialny od kuchni oddzielało, rozlegał się rzeczywiście oryginalny, jemu tylko właściwy śmiech Tiffa. Trudnoby było zaiste znaleźć drugie takie płuca, któreby się tak serdecznie, tak wesoło, i tak głośno śmiać potrafiły.

Dzieci ubrały się czémprędzej i otworzyły drzwi.

— No, Bogu dzięki, to wy tu jesteście moje pieści-delka! Ho! ho! ho! — zawołał Tiff wyciągając ku nim

ręce, — a dzieci pobiegły do niego, poczęły go ścisnąć i pieścić.

— Ach Tiff, jakże my jesteśmy kontenci! Myśmy myśleli żeś się ty utopił! Całą noc takeśmy myśleli.

— Nie, nie, Bogu dzięki! Stary Tiff was w ten sposób nieopuści, — on nieopuści was, dopóki niedorośnięcie, i niebędziecie mogli radzić sami sobie! — zawołał Tiff drżąc od radości.

— Ależ, mój Tiff, jakżeś się ty z tamtąd wydostał?

— Ha, moje kochane dzieci to tak było: — Ja się zaraz z Panem Bogiem rozmówił.—Ja Jemu powiedział: „Dobry Panie, Ty wiesz że o siebie mi wcale niechodzi, ale dzieci są jeszcze tak młode i delikatne, że ich opuścić na żaden sposób niemogę.“ I prosiłem go potem, aby mię raczył ratować, bo ja wiem że On ma władzę nad wiatrami i morzem. I widzicie, jedna taka ogromna fala wyrzuciła mię na brzeg, i oto jestem. Ale cała ta historia tak mię pozbawiła zmysłów, a nawet tchn, że niewiedziałem zupełnie gdzie jestem. Ludzie, którzy mię znaleźli, zanieśli mię ogromny kawał drogi do domu, i dużo mi dobrego świadczyli; tarli mię gorącą flanelą, obmywali wódką i tym podobnemi rzeczami, tak, że na dziś na rano byłem już całkiem zdrów i rześki, i pobiegłem poszukać moich pieścidełek, bo wiedziałem z pewnością, że was znajde. Słuchajcie dzieci! Pan Bóg łaskaw na nas; z tylu smutków i utrapień nas wydobył, zobaczycie, że on nas jeszcze bardzo szczęśliwemi uczyni. Ja w to wierzę najmocniej, — tak mocno, że nawet morze ze mnie tego niewypłukało, choć mną tak trzęsło i rzucało.

I Tiff zachichotał się z całego serca, i niewyczerpany był w figlach i uciesznych żarcikach.

Słowa jego o tyle się spełniły, że przyjaciele nasi wypocząwszy sobie i nabrawszy nowych sił, a stratę sukien wypełniwszy niezgorzej przyjacielskimi darami, niezadługo ujrzeni się w Nowym Jorku, gdzie pod dachem poczciwych ludzi, znaleźli przyjęcie i opiekę.

Wkrótce potem przybyła szczęśliwie i reszta zbiegów, która pod dowództwem Hannibala utorowała sobie drogę do wolności, za pomocą środków, których zdradzać tutaj niebędziemy, bo zapewne jeszcze niejednemu, zostającemu w takim jak oni położeniu, i nadal służyć będą.

Przy pomocy życzliwych ludzi, udało się wkrótce Harremu wyszukać zajęcie, które dostateczne było na przyzwoite utrzymanie jego i żony.

Milly ze swoim wnukiem, i Tiff z dziećmi, stanowili osobny dom. Milly znalazła w jednej cukierni zatrudnienie jako paszтетniczka, które tak było korzystne, że była w stanie utrzymać wszystkich jako tako, gdy tymczasem Tiff zajmował się domowem gospodarstwem.

Po kilku latach zaszło zdarzenie tak romantycznej natury, że nieumieszczalibyśmy go w tej naszej prawdziwej historii, gdybyśmy o rzeczywistości jego jak najmocniej niebyli przekonani.

Matka Fanny, w rodzinie Peytonów, między innymi miała jedną ciotkę, kobietę niezamężną i dziwaczного charakteru. Ta przez wielką oszczędność, zebrała ogromny majątek, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na to jedynie był przeznaczony, aby kiedyś przejść w ręce krewnych, którzy będą umieli użyć go co się

zowie. Na krótki czas przed śmiercią poróżniła się ona była z całą rodziną, i aby się nad nią pomścić, znalazła sposób na to, aby się jej majątek niemiłym jej krewnym nie dostał. Zapisała testamentem całe swoje mienie spadkobiercom swój siostrzenicy, matki Fanny, a w razie, gdyby takowi nieistnieli, cały majątek miał przejść na rzecz domu sierót. Przypadkiem adwokat zmarłej udał się w tej mierze po objaśnienia do Klaytona, a ten natychmiast tym się zajął, przesłał mu dowody wykazujące prawo naszych dzieci do tego dziedzictwa, i postarał się o to, że niebawem w posiadanie jego wprowadzone zostały.

Możnaż sobie wystawić szczęśliwszego człowieka, jak był Tiff wtedy?

— Ja bo wiedziałem, — powtarzał, — że dzieci Mis Sues będą szczęśliwe, i że Bóg uczyni nad nimi miłosierdzie! Ja to zawsze mówiłem.

Fanny, która wtedy już miała lat dwanaście, obrała swoim opiekunem Klaytona, który ją oddał do jednej z najlepszych szkół Nowej Anglii, gdzie umysł jej i ciało, z nadzwyczajną rozwijały się szybkością.

Brat jej Teddy, również do szkoły był oddany.

Po długim wywiadywaniu się i szukaniu, Klayton zakupił wielki, i znacznej wartości kawał kraju, w tej części Kanady, gdzie klimat jest najłagodniejszy, a ziemia najżyźniejsza.

Tam przesiedlił się ze swemi niewolnikami i utworzył osadę, która dziś liczy się do najbogatszych i najpiękniejszych.

Zbudował sobie wspaniały dom, w którym wraz z sio-

strą wiódł życie szczęśliwe; obydwójce bowiem znajdowali szczęście w pomyślności tych, którzy ich otaczali.

Najoczywistszym dowodem, jak dalece przedsięwzięcie to udało się Klaytonowi, jest to, że biali osadnicy, którzy z razu spoglądali na niego zimno i z nieufnością, obawiając się, że on tylko próżniaczego ludu do kraju naprowadzi, teraz całkiem się z nim pogodzili, — i że w skutek ulepszeń, które Klayton i jego towarzysze zaprowadzili, wartość ziemi w tych okolicach podwoiła się prawie.

Szkoły jego tak się wkrótce wslawiły, że biali osadnicy mieszkający w jego sąsiedztwie, poodbierali dzieci swoje ze szkół, w których dawniej były, pragnąc, aby korzystać mogły z nauk pod nadzorem samego Klaytona, i jego siostry udzielanych.

Harry stoi na czele osady Klaytona, i wzrasta szybko w dostatki i szacunek powszechny.

Wielki folwark około którego rozciąga się wielki łąk falującej się pszenicy, porządne płoty i czyste zabudowania gospodarskie, świadczą o pilności i energii Hannibala, który zamiast ludzi zabijać, ścina drzewa i lasy karczuje. W zimie, czytuje sobie po całych wieczorach, nieobawiając się już teraz, żeby mu kto przeszkodził. Najstarszy jego syn tłómaczy w szkole Cezara, i czytuje zachwyconemu ojcu, który chętnie palmę uczoności w ręce jego oddaje, wypracowania swoje, które po wieczorach wyrabia.

Co się tyczy naszego wesołego przyjaciela Iima, ten jest duszą osady. Wolność, a jeszcze więcej ucziwa i pracowita żona, uczyniły go o wiele rozsądniejszym, ale mimo tego posiada on jeszcze dosyć talentu do figlów,

aby być prawdziwą rozkoszą społeczności, wśród której żyje.

Pracuje niezmordowanie na swoim folwarku, i gniewa się niezmiernie, gdy mu kto żartem powie, że zapewne szczęśliwszy był zostając na usługach Toma Gordon, bo wtedy zawsze miał pieniędzy do zbytku.

Chociaż obawiamy się, aby przytoczenie następującego wypadku, nie dało powodu do różnych domysłów, jednak przez miłość prawdy, niemożemy go przemilczeć.

Anna Klayton będąc w gościnie u pewnej rodziny z którą zostawała w przyjaznych stosunkach, w New-Hampshire, poznała Liwią Ray, o której tyle od Niny słyszała. Naturalnie, między temi paniami zawiązała się wkrótce przyjaźń, — odwiedziły się wzajemnie, a gdy Klayton przy tej sposobności przedstawiony został Liwii, poznał w niej tę samą kobietę, z którą spotkał się w więzieniu w Alexandryi.

Najściślejsza przyjaźń panuje między temi trzema osobami, a jak to zwykle bywa w takich razach, ludzie rozmaicie to sobie tłumaczą. Jednakże my z naszej strony możemy zapewnić czytelników, że zupełnie niewiemy, jak dalece obiegające pogłoski mogą być autentyczne; wolno więc każdemu myśleć o tém, co się podoba.

Rozdział XX.

PO DESZCZU POGODA.

Klayton zniewolony interesami musiał jechać do Nowego Jorku. Za każdą bytnością w tém mieście, przywoził on Milly pełno upominków i oznak przywiązania od jej przyjaciół w jego kolonii osiadłych.

Milly jakkolwiek dobrze już w wiek podeszła, nie jednak niestraciła z dawniej żywości i siły.

Klayton znalazł ją w bardzo miłym mieszkaniu, na jedném z przedmieść Nowego Jorku, otoczoną kilkunastu dziećmi, częścią czarnemi, częścią białemi. Były to dzieci całkiem zaniedbane, które ona zebrała z ulicy, i otoczyła prawdziwie macierzyńską miłością i pieczą.

— A niechże pana Bóg błogosławi, panie Klayton! — zawołała z radością ujrzawszy go we drzwiach. — Ja taka szczęśliwa ilekroć pana zobaczę! Co porabia Mis Anna?

— Zdrowa jest, moja kochana Milly i posłała ci ten mały pakiecik, w którym znajdziesz także coś od Harrego, od Lizety i od reszty twoich przyjaciół z kolonii. A czy to wszystko twoje dzieci Milly?

— Tak, mój najdroższy panie, — to są dzieci moje i boskie. To już drugi tuzin; — pierwszym dwunastu obmyśliłam już stósowne miejsca i sprawują się bardzo dobrze. Chociaż ja i tak mam jeszcze na nich oko, i zaglądam na nich jak mi tylko czas pozwoli.

— A cóż się dzieje z Tomtitem?

— O, dziękuję Panu, Tomtitowi doskonale idzie. Stał się prawdziwym chrześcianinem i zostaje teraz w służbie, przy towarzystwie mającém za cel zniesienie niewoli; — kontenta jestem z niego.

— Ale jak widzę, to ty tu masz czarne i białe dzieci, — zauważał Klayton, spoglądając na małych jej wychowalców.

— A tak, — odparła Milly z prostotą. — U mnie cerra żadnej niestanowi różnicy; ja tam wcale na to nie zważam. Kiedy się białe dzieci dobrze sprawują, to dla mnie równie są dobre jak czarne, i jednako ich kocham.

— Czy to jednak niezaciężko już na ciebie, w takim wieku tak pracować?

— A, broń Boże! Pieniądze które zarabiam, tyle przynoszą mi przyjemności, że zdaje mi się, iż mi coraz życia przybywa. O, ja jeszcze dużo sił mam w sobie, — rzekła uśmiechając się stara. — Spodziewam się, że wychowam już tę dziatwę, i że jeszcze innéj sobie na jéj miejsce dobię, zanim umrę. Widzisz pan, w tém zajęciu znalazłam środek na zagojenie ran i pokrzepienie mego serca; — dawniej, to zawsze ogromna zdejmowała

mię boleść, ilekroć pomyślałam o moich dzieciach, które mi zabrali. A im się bardziej starzałam, tém częściej nagabaly mię te myśli; ale od czasu jak mam przy sobie te dzieci, ulżyło mi się znacznie. Ja je wszystkie nazywam swojemi, i tak mnóstwo mam dzieci.

Jakoż Milly, wierna swemu postanowieniu, przez ciąg swego życia, za oszczędzone ze swego dziennego zarobku pieniądze, wychowała przeszło czterdzieści zaniedbanych dzieci, które wzięła z ulicy, i odchowawszy, obmyśliła dla każdego z nich zajęcie *)

Przyjechawszy do Bostonu, Klayton odebrał list, kobiecą ręką ładnie pisany, w którym Fanny oświadczała mu wdzięczność za jego dobroć dla niej i dla brata, i prosiła, aby był łaskaw jaki dzień przepędzić u nich, na ich posiadłości, która tuż pod miastem leżała.

W skutek tego zaproszenia, nazajutrz rano Klayton siedział w wagonie kolei żelaznej, który go niósł wśród zielonych pól, kwiecistych łąk i prześlicznych wiosek. Wysiadłszy na stacyi N, wypytał się o drogę, która go zaprowadziła na mały wzgórek, z kąd otwierał się widok na jedno z tych pięknych jezior Nowej Anglii, które wszędzie niby błękitne oczy uśmiechają się do człowieka.

Nad jeziorem, stał mały, gotycki domek wiejski, prawdziwe cudo fantastycznej nieregularności i piękności romantycznej, otoczone do koła wieńcem drzew kwitną-

*) Przytoczony tutaj fakt jest rzeczywisty. Murzynka zamieszkała w Nowym Jorku, która w młodości swojej była niewolnicą, pierwsza założyła w tém mieście szkołkę niedzielną dla zaniedbanych dzieci.

cych. Główną bramę stanowiły cedry, z kory nawet nie-
obrane, po których ogromne mnóstwo róż się wspinało.

Od téj bramy, skromny, leciuchny mostek, rzucony
na niewielkim przekopie, prowadził do rozkosznego domu,
który niby ptasie gniazdeczko, zbudowany był wśród
gałęzi dębu, który z owego przekopu wyrastał.

Jakaś wdzięczna postać, w białej rannej sukience,
wybiegła na most, w chwili gdy Klayton wstępował na
schody wiodące do bramy. Po gładko zaczesanym brun-
natnym włosie, po wielkich niebieskich oczach, po dzie-
wiczym a poważnym wyrazie twarzy, czytelnik pozna
może w téj postaci dawną naszą przyjaciółkę Fanny; a
jeżeli nie, to pewnie nie będzie wątpił, że ów śmiech ser-
deczny, który się od bramy rozlega, pochodzi z płuc
starego Tiffa, który w bardzo przyzwoitym czarnym stro-
ju, przybliży się z głębokimi pokłonami.

— Bogu dzięki, Master Klayton, że przecież pana
oglądamy. Bóg zapłać panu, żeś przyjechał odwiedzić
Mis Fanny, która odzyskała swój majątek, i zajęła
miejsce które jéj się należało od dawna. Ha! ha! Stary
Tiff wiedział, że tak być musi! On to przewidział! On
był pewny, że to Pan Bóg jakoś na dobre pokieruje, —
i tak się też stało! Ho! ho! ho!

— To prawda, — rzekła Fanny, — i nieraz zdaje
mi się, że ja nietyłe cieszę się z tego, co wuj Tiff. On
też prawdziwie zasłużył na to, żebyśmy teraz mieli
o nim staranie, bo się dosyć na nas napracował. Nie-
prawdaż, wuju Tiff?

— Napracował! Bóg z tobą moja duszo, — prawda,
prawda! — odrzekł Tiff zanosząc się od śmiechu. —
Prawda, że się trochę napracowałem, a dziś chociaż pra-

wie nie nie robię, jednak widzę, że się praca moja na coś przydała. Master Teddy jest dzisiaj duży, piękny panicz, i jest w kollegium. Niech go Pan Bóg kocha, jak on też gada po łacinie! Zresztą, okolica tutaj bardzo jest piękna; wszystkie familie na około, pochodzą z czystej krwi staro-wirgińskiej i bardzo są dla nas uprzejme.

Fanny zaprowadziła swego gościa do domu, a gdy pobiegła na górę do swego pokoju, żeby ranny strój na inny zamienić, Tiff, pod pozorem że musi przyrządzić ciasta i owoce w srebrnym koszyku, pozostał w pokoju.

Kontent że mu się tak udało, korzystał z tej sposobności, aby się pożądanemu gościowi zwierzyć z pewną tajemnicą, która mu na sercu ciążyła. Wyjrawszy więc za drzwi z miną tajemniczą i z wielką ostrożnością, gdy się przekonał, że Mis Fanny rzeczywiście poszła do siebie, wrócił do Klaytona. i pociągnawszy go za rękaw szepnął:

— O tém niemożna głośno mówić. Ja z początku byłem bardzo niespokojny, ale teraz, dzięki Bogu, uspokoiłem się już zupełnie, bom się przekonał, że to porządny człowiek, należący do jednej z najlepszych w tym kraju familij; a tutejsze familije, to prawie tak dobre są jak staro-wirgińskie. Doprawdy, to chłopiec jak szkło!

— Jakże się nazywa?

— Seymour, — odrzekł Tiff z cicha kładąc palec na ustach.—Zdaje mi się, że on tu dziś przyjedzie, bo właśnie dziś spodziewamy się Mastera Teddy, a on zawsze z nim przyjeżdża. Ale proszę pana, panie Klay-

ton, niedaj pan poznać Mis Fanny, że pan coś wiesz o tém; bo ona zupełnie tak jak jój matka, — zaraz staje cała w ognjach, jak tylko spostrzeże, że ktoś na nią uważa. A muszę też panu coś pokazać, — mówił dalej z widoczném ukontentowaniem, dobywając z kieszeni futerał, a z niego ogromne, w złoto oprawne okulary. — Patrz pan, com to dostał od niego, ostatnią razą jak tu był. Te okulary kładę tylko co niedziela, kiedy sobie usiędę, i czytam biblią.

— Doprawdy! — zawołał Klayton, — więc i czytać się nauczyłeś.

— Aj, nie, najdroższy panie, — niemogę właściwie powiedzieć, żebym się czytać nauczył, bo to trochę już dla mnie za trudno; — ale nauczyłem się przynajmniej najlepszych słów, jak na przykład: Chrystus — Pan — Bóg itd.; — i gdy są wyraźnie wydrukowane, potrafię je doskonale odróżnić. —

Niebędziemy czytelnika nudzić szczegółowym opisem, jak Klayton dzień ten przepędził, jak przyjechał z kolegium Teddy, który wyrósł na pięknego i tęgiego młodzieńca, jak wprawiał w podziwienie łacińskimi i greckimi frazesami ucho poczciwego Tiffa, który uczoność swego młodego pana uważał jako ósmy cud świata. Niemyślimy również opisywać przyjazdu Jerzego Seymour, przystojnego młodzieńca, który dopiero co otrzymał stopień Seniora; — napomkniemy tylko z lekka o tém, jak Fanny drżała i rumieniła się, zwierając się swemu opiekunowi z pewnej tajemnicy, i obyczajem innych dziewcząt, pytając się go o radę, chociaż wybór jój dawno już był uczyniony.

W trzy miesiące później, Klayton, siostra jego Anna i Liwia Ray, zjechali się do téj lubéj wiejskiej siedziby, na wesele Fanny, a Tiff promieniał szczęściem, widząc ostateczne tyloletnich swoich nadziei spełnienie.

Gdyśmy go ostatni raz widzieli, szedł z miną pełną godności, ze złotymi okularami, trochę na bakier na nos nasadzonemi, ciągnąc za sobą mały wózek, w którym leżała mała, różowa Mis Fanny, która wedle jego wyobrażenia, kością z kości i krwią z krwi Peytonów była.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW,

Tom I.

ROZDZIAŁ	I. Pani na Kanemie	str.	3.
"	II. Klayton	"	18.
"	III. Rodzina Klaytona i siostra Anna	"	35.
"	IV. Rodzina Gordonów	"	50.
"	V. Harry i jego żona	"	77.
"	VI. Dilemma	"	101.
"	VII. Narada	"	116.
"	VIII. Stary Tiff	"	123.
"	IX. Śmierć	"	150.
"	X. Przygotowania do pogrzebu	"	157.
"	XI. Konkurenci	"	171.
"	XII. Wyjaśnienia	"	190.
"	XIII. Tom Gordon	"	213.
"	XIV. Strata ciotki Nesbit	"	236.
"	XV. Odkrycie pana Jekyl	"	246.
"	XVI. Opowiadanie Milly	"	253.

Tom II.

ROZDZIAŁ	I. Stryj John	str.	3.
"	II. Dred	"	21.
"	III. Spiskowi	"	31.
"	IV. Znowu w Kanemie	"	43.
"	V. Przygotowania Tiffa	"	58.
"	VI. Zgromadzenie pobożne	"	67.
"	VII. Nabożeństwo	"	86.
"	VIII. Życie wśród bagien	"	117.
"	IX. Jeszcze w Kanemie	"	127.
"	X. Powrót Milly	"	142.
"	XI. Tryumf Klaytona	"	151.
"	XII. Magnoliahain	"	163.
"	XIII. Trubadur	"	181.
"	XIV. Ogród Tiffa	"	199.
"	XV. Ostrzeżenie	"	211.
"	XVI. Jutrzenka	"	218.
"	XVII. Wyrok sądu	"	226.
"	XVIII. Grom uderza	"	240.
"	XIX. Głos wołającego na puszczy	"	256.
"	XX. Gwiazda wieczorna	"	262.
"	XXI. Węzeł stargany	"	273.

Tom III,

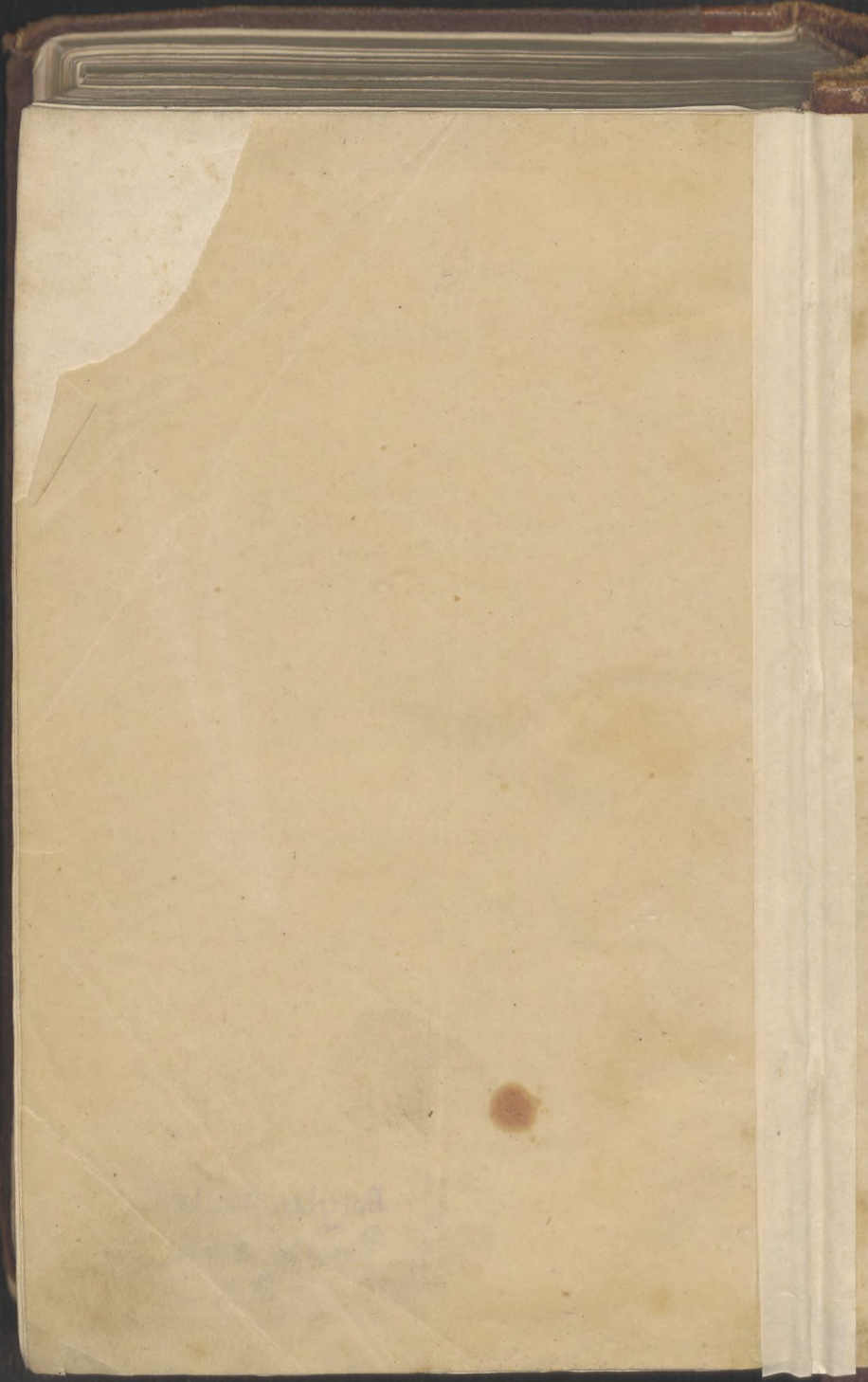
ROZDZIAŁ		str.	
	I. Dalsze zamiary	3.	str. 3.
"	II. Macocha	15.	" 15.
"	III. Ucieczka do Egiptu	24.	" 24.
"	IV. Duchowna narada	40.	" 40.
"	V. Rezultat	54.	" 54.
"	VI. Kora Gordon	67.	" 67.
"	VII. Puszcza	82.	" 82.
"	VIII. Jegar Sahadutha	92.	" 92.
"	IX. Frank Russel	107.	" 107.
"	X. Plany Toma Gordona	120.	" 120.
"	XI. Prawo pięściowe	128.	" 128.
"	XII. Dalsze gwałty	149.	" 149.
"	XIII. Obóz Engedi	158.	" 158.
"	XIV. Tom Gordon i jego przyjaciele	168.	" 168.
"	XV. Klayton wraca do zdrowia	176.	" 176.
"	XVI. Nocny pogrzeb	185.	" 185.
"	XVII. Rezultat	191.	" 191.
"	XVIII. Despotyczna wolność	201.	" 201.
"	XIX. Ucieczka i wolność	223.	" 223.
"	XX. Po deszczu pogoda	233.	" 233.



Table des Matières

101	XXI	De l'usage de la langue
102	XXII	De l'usage de la langue
103	XXIII	De l'usage de la langue
104	XXIV	De l'usage de la langue
105	XXV	De l'usage de la langue
106	XXVI	De l'usage de la langue
107	XXVII	De l'usage de la langue
108	XXVIII	De l'usage de la langue
109	XXIX	De l'usage de la langue
110	XXX	De l'usage de la langue
111	XXXI	De l'usage de la langue
112	XXXII	De l'usage de la langue
113	XXXIII	De l'usage de la langue
114	XXXIV	De l'usage de la langue
115	XXXV	De l'usage de la langue
116	XXXVI	De l'usage de la langue
117	XXXVII	De l'usage de la langue
118	XXXVIII	De l'usage de la langue
119	XXXIX	De l'usage de la langue
120	XL	De l'usage de la langue

Antyken Kawkony
Pawani 87.06.20.
- 800, - 25.



221



1567279

T. 1-3

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020081285